BIBLJOTEKA i MUZEUM Z.N.P.

1514-1520 W. DIVISION STREET

WAŻNA UWAGA:

10 PRÓŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier!

II. Nie dotykaj mnie brudnemi rękami.

III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!

IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.

V. Nie mnij kartek i nie zaginaj rogów.

VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.

VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!

VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiedniem!

IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.

X. Nie wyrywaj i nie niszcz obrazków i kartek.

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Bibljoteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych próśb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

DYREKCJA.

GROM MACIEJOWICKI

WALERY PRZYBOROWSKI

GROM MACIEJOWICKI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z R. 1794.

Wydanie nowe
z przedmową prof. Henryka Mościckiego

Dozwolone do bibljotek szkolnych rozporządzeniem
Ministerstwa W. R. i O. P. III — 483.

WARSZAWA 1930
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA

20.000—24.000 egz

ODBITO 4200 NUMEROWANYCH EGZEMPLARZY
Z RYCINAMI PROF. STANISŁAWA BATOWSKIEGO

№ 0828

Czcionkami Drukarni Narodowej w Krakowie, Wolska 19

PRZEDMOWA.

„Grom maciejowicki“ — straszna klęska powodująca upadek powstania kościuszkowskiego, a z niem całej Rzeczypospolitej Polskiej, — czarną chmurą przesłoniła nasze dzieje porozbiorowe. Tyle było przedtem i później okrutnych ciosów godzących w pierś narodu, ale żaden z nich tak głęboko nie utkwił w pamięci i uczuciach ogółu, jak przegrana maciejowicka w ów ponury dzień 10-ty października r. 1794-go. Wkrótce po tej katastrofie młody Adam Czartoryski pisał w bolesnych dumaniach *„Barda polskiego“:* „Widzieć te okolice gorzko nam i miło, tu jeszcze męstwo Wodza Ojczyzny broniło“. I nie tyle przegrana bitwa, ile niewola ciężko ranionego Kościuszki, powszechnie uwielbianego przedstawiciela i sternika narodu, rozpaczą przejęła najmężniejsze serca i przyczyniła się do rychłego końca ostatniej wojny niepodległej Rzeczypospolitej.

Autor niniejszej opowieści wiernie, na podstawie wiarogodnych opisów i wspomnień, odtworzył przebieg tego okresu powstania i samej bitwy maciejowickiej. Do słów jego niewiele można dodać. To chyba tylko raz jeszcze mocniej należałoby podkreślić, że żołnierz polski spełnił swój obowiązek do końca i uległ przeważającym siłom nieprzyjaciela dopiero po ostatecznem wyczerpaniu środków. Gdy już chwiać się poczęły szeregi i „wszyscy po-

trzebę cofania widzieli", Kościuszko groźnie rozkazywał: „Nie masz tu miejsca rejterady, tu się zagrzebać, albo zwyciężyć potrzeba!" I walka trwała dalej. „Każdy krok ziemi broni żołnierz uporczywy, z błonia wchodzi na wzgórza, a z wzgórzów na niwy". Lecz opór słabł — liczba przemagała. Padały pokotem szeregi, wybijane co do nogi; dzielnie zwłaszcza walczył pułk Działyńskich, a „linja ich różowych rabatów i żółtych naramienników na pobojowisku świadczyła, że nie ustąpili kroku".

Nieugięte męstwo polskie potwierdzają też urzędowe raporty rosyjskie. „Polacy do ostatka trzymali się na miejscu i prawie wszyscy padli trupem, — mówi ówczesny pułkownik kozacki, Denisow — muszę przytem powiedzieć na honor ich kanonierów, że opadnięci przez naszych kozaków i strzelców konnych, bez osłony, jeszcze obracali w różne strony swe działa i pracowali jeszcze dalej."

Do niewoli, oprócz Kościuszki i wszystkich dowódców wyższych, dostało się 114 oficerów i około dwóch tysięcy szeregowych; prawie wszyscy byli ranni; poległo zgóra dwa tysiące. Rosjanie zdobyli dwa sztandary i 21 dział; straty ich były również znaczne.

Pobojowisko maciejowickie przerażający przedstawiało widok. Niemcewiczowi utkwił w pamięci obraz pełen grozy: „Ziemia okryta była trupami, obdartemi ze wszystkiego, nagiemi. Widok ten, rozdzierający serce, miał w samej zgrozie swojej coś wielkiego, wspaniałego. Wszyscy ci żołnierze, po większej części sześć stóp wysocy, rozciągnieni z przebitą bagnetem piersią, napiętemi muszkułami, krwią w ranach zsiadłą, z miną jeszcze po śmierci groźną, polegli za ojczyznę, napełnili duszę moją wrażeniem równie bolesnem, jak głębokiem, wrażeniem, które się nigdy w umyśle moim nie zatrze". I nie zatarła się pamięć Maciejowic. Biegły do pól tych, przesiąkniętych krwią bohaterów, myśli i serca czujące. Czerpały z tych wspomnień

pokrzepienie i moc na nowe trudy ofiarne dla Ojczyzny wyzwolenia.

I dziś niech słowa autora „Gromu" uczą dzieci polskie, jak ich Dziadowie walczyli, jakim krwawym znojem użyźniali miłość kraju, by nieśmiertelną we wnukach była, wierną zawsze, i poświęceń pełną.

Henryk Mościcki.

„Grom maciejowicki", napisany przez Przyborowskiego w r. 1908. w sto czternastą rocznicę bitwy pod Maciejowicami, uległ konfiskacie przez władze rosyjskie, które nadto skazały autora za jego „nazbyt patrjotyczną" książkę, na karę więzienia. Po paru latach zezwolono na nowe wydanie, z opuszczeniem niektórych zdań i wyrazów. Wydanie obecne dokonane zostało według druku pierwotnego; wyrażenia usunięte w swoim czasie przez cenzurę rosyjską zostały teraz, dla zaznaczenia, wydrukowane *kursywą*.

We wsi Stryju, leżącej wśród wielkich lasów, między Żelechowem a Okrzeją w d. 6 października 1794 r. odbywało się huczne wesele. Stary Błażej Sikora, sołtys i kmieć bardzo zamożny, wydawał swą córkę Basię za niemniej zamożnego włościanina z sąsiedniej wsi Jagodne, wdowca i ojca kilkorga dzieci, Macieja Piotrowskiego, już niemłodego, bo około 50 lat liczącego, trochę łysego i brzydkiego. Basia nie chciała iść za Macieja, opierała się dopóki mogła, ale stary Błażej był człekiem upartym i nie znosił oporu i ostatecznie zmusił córkę do zaślubienia łysego wdowca. Bogaty on był, miał cztery pary wołów, gruntu około półtorej włóki, a powiadali ludzie, że w żelaznym garnku, dobrze gdzieś ukrytym, ma pełno samych srebrnych talarów. Teraz siedział w nowej dostatniej sukmanie rozparty na ławie, łyskał dokoła kaprowatemi nieco oczami, pił krupnik gorący i półgębkiem odpowiadał swej dalekiej krewniaczce, mieszce z Żelechowa, żonie szewca, imcipana Ildefonsa Koguta, który gwoli odróżnienia się od chamów, jak mawiał, przezwał się ze szlachecka Kogucińskim. Sama pani Kogucińska, kobieta wygadana, tęga, ubrana w czepiec ze wstążkami czerwonemi, teraz spocona mocno od gorącego krupniku, mówiła głosem nieco krzykliwym do swego krewniaka nowożeńca Piotrowskiego:

— Wujku, prawda że mój to ma ładne imię? Ildefonsz! i tyż ze ślachecka się nazywa: Kogucióski, Ildefonsz Koguciński, bo on, potrza wiedzieć, ze ślachty idzie...

— Ej, nie gadałabyś. Wiedzą wszyscy, że on Kogut a nie

Koguciński się nazywa. Znałem przecie jego ojca, chłop był z Gończyc i pijak zatracony...

— A nieprawda! Nieprawda! — zawołała szewcowa — to bez waszą chamską zadrość tak gadacie, a mój je ze ślachty, wiadomo... Ildefonsz Koguciński.

Z pewną rozkoszą, „szasztając“ z mazurska, wymawiała imię swego małżonka, szewca chudego jak szczapa, z nosem czerwonym i oczkami maleńkiemi. Stał on teraz koło swej żony, chwiejąc się na swych cienkich nogach, bo widocznie za dużo wypił krupniku, i zdawał się słuchać powyższej rozmowy, mrucząc:

— Jam jest Ildefonsz Koguciński, majster szewski, żebyś ta chamy wiedzieli...

W tejże chwili zbliżył się do majstrowej jeden z biesiadników, i głosem ochrypłym zawołał donośnie:

— Kogucina! trąćta się ze mną!

Żeby piorun trzasł przed godną niewiastą, nie byłby nią tak wstrząsnął, jak ten okrzyk. Zerwała się na równe nogi, cała jak burak czerwona i nuż krzyczeć:

— Kogucina! tu niema nijakiej Koguciny, jeno pani Kogucińska, Ildefonszowa Kogucińska, żebyś ta wiedzieli, niepolityczne chłopy. Tu u wasz niema nijakiej polityki i grzeczności i obrazę czynita takiej godnej niewieście, jako ja jesztem.

A imćpan Ildefons Koguciński zachwiał się jeszcze lepiej, na niemogących utrzymać jego chudego ciała cienkich, jak patyczki, nóżkach, wytrzeszczył groźnie swe małe, bielmem od pijaństwa zaszłe, oczka i rzekł:

— Kiej tak... kiej obrazę czynią mojej żonie, to ja se idę... nie chcę mieć nijakiej wspólności, ani też nijakiej konfidencji z takiem niepolitycznem chamstwem. Póńdź Tekluniu, kiej obrazę czynią... niepolityczne chamy... póńdź żono!

Czkawka go męczyła i chwiejąc się a zataczając ha-

niebnie, ruszył ku drzwiom, otworzył je z łoskotem i wypadł na podwórze, gdzie o mało się nie przewrócił o prosiaka, który nawinął mu się pod nogi, ale dzięki heroicznie rozpaczliwemu skokowi, zdołał zachować równowagę, przeklinając głośno niefortunne bezrogie stworzenie.

Wyjście imćpana Ildefonsa Koguta czyli Kogucińskiego, zwróciło uwagę kilku starszych kmieci i samego gospodarza Błażeja Sikory, który w rozmowie i w biesiadowaniu mały brał udział, ale co chwila wyglądał przez zapocone okienko, a nawet wychodził na podwórze i bacznie oglądał okolicę. Teraz zobaczywszy, że jego gość, majster szewski z Żelechowa, opuszcza obrażony zgromadzenie, wybiegł za nim wraz z kilku gospodarzami i zatrzymawszy go tuż przy kołowrocie, począł mówić:

— A cóż to kumie? wychodzita?

— Wychodzę.

— Godzi się to, despekt taki czynić mnie i mojej chałupie i wszyćkim gościom?

— Kiej obrazę czynią mojej żonie... to ja se idę... ja jezdem honorny człowiek... kiej obrazę...

— Ale czekajcież... któż to obrazę czyni waszej żonie?

Wmieszał się w to jeden z gospodarzy:

— Nie pletlibyście majstrze — odezwał się — nijakiej tu nie było obrazy. Ostańcież, prosimy was... ostańcież.

Prosili i inni, ale szewc zaciął się, począł się wydzierać zatrzymującym go i wołać:

— Nie ostanę! nie ostanę! Kiej obrazę czynią mojej żonie... ja jezdem hónorny człek...

Ale nie chcieli go puścić i ciągle prosili:

— Ostańcież kumie... ostańcie... a to na nas wszyćkie z przeproszeniem, kulony, Żelechowskie gadać będą, że nijakiej polityki nie znamy. Ostańcież! nie gniewajcie się!

Wszystko to jednak nic nie pomogło. Zacięty szewc szarpał się, wyrywał i ciągle powtarzał, że on jest „hónor-

ny człek“ i że „obrazę czynią jego żonie“ i on zostać nie może. W końcu gospodarz Błażej Sikora znudzony tem przestał prosić i poszedł ku kołowrotowi, patrzyć na drogę do Korytnicy, przecinającą jak wstęga biała ozłocone zachodzącem słońcem lasy. Inni też zgniewani uporem szewca, zawołali:

— A kiej ostać nie chcesz, to se idź na złamanie karku!

I zawrócili i ruszyli ku domowi. Zobaczywszy to imćpan Ildefons Kogut, czyli Koguciński, zatrzymał się i krzyknął:

— Czekajta kumowie! kiej ju tak prosicie, to ostanę!

To rzekłszy, żwawo pognał za opuszczającymi go gospodarzami.

Tymczasem, gdy się to działo na podwórzu, w izbie kobiety zabierały się do oczepin nowo zaślubionej i żydkowie muzykanci, wynajęci z Żelechowa, zaczęli już przygrywać piosnkę o chmielu, a kobiety brały się pod boki i przytupując nogami, śpiewały:

„Oj chmielu, oj nieboże,
Niech ci Pan Bóg dopomoże!“

A nowo zaślubiona siedziała w kącie izby smutna i łzy jej ciurkiem po rumianej twarzy ciekły. Korzystając z zamieszania w izbie, z krzyku Koguciny, upominającej się o swój obrażony „hónór“, chłopak młody, tęgo zbudowany, Walek Kłonica, niepostrzeżenie zbliżył się do Baśki Sikorzanki, a teraz już żony Macieja Piotrowskiego i, patrząc na nią żałośliwie, szepnął:

— Baśka, takeś to sumitowała się, że nie póndziesz za nikogo jeno za mnie?

Baśka spojrzała na niego załzawionemi oczami, ukryła twarz w dłoniach i nic nie odrzekła. A on mówił dalej:

— Byłbym se ręce urobił dla cię, do żołnierzy iść nie chciałem bez to, a teraz to ja chyba póndę, bo mi już

wszyćko jedno, chociaby zginąć! Na utracenie! W Okrzei, gadają ludzie, co stoją Polaki, póńdę do nich i zaciągnę się do wojska. Teraz wojna, to i zginę marnie... a wszyćko, bez to, że w tobie niema nijakiej wytrzymałości.

— Nie gadaj tak Waluś, bo mię ból chyci...

Walek chciał jeszcze coś mówić, ale już wpadł do izby szewc Ildefons Koguciński i kobiety zabrały się do oczepin Baśki, ciągnąc ją do komory i śpiewając krzykliwie piosnkę o chmielu...

Wrócił też z podwórza gospodarz Sikora, popatrzył mętnym jakimś wzrokiem na obecnych i kiwnął palcem na przyszłego zięcia swego Macieja Piotrowskiego, mówiąc:

— Chodzino!

Piotrowski za dużo gorącego krupniku wypił, więc podniósł się ciężko i szedł niepewnym krokiem ku swemu teściowi, który cofnął się zaraz do sieni, a stąd na podwórze. Słońce miało się ku zachodowi i jego ogromna, czerwona tarcza skryła się już do połowy za czarne bory, otaczające dokoła wioskę. Niebo od gasnących blasków jego, ustroiło się we wszystkie odcienie purpury i złota, które nadawało jaskrawsze, żywsze barwy czerwieniącym się, jesiennym liściom kilku grusz starych, tu i ówdzie po polach rozrzuconych. Okolica była smutna, w tych blaskach zachodzącego słońca, krwawa od chmur krwawych, przedstawiała jednostajnością swych obrazów niewypowiedzianą, nieskończoną nudę. Płaszczyzna dokoła obramowana czarnym borem, zakrywającym świat dalszy, z kilkunastu chatami, ciągnącemi się nad gościńcem, prowadzącym z Żelechowa do Okrzei, naga teraz, po ścierniskach której wiatr swobodnie hulał, niczem nieożywiona, tworzyła całość pełną ponurej, posępnej melancholji.

— Czegój chceta sołtysie? — spytał Piotrowski, wy-

szedłszy z Sikorą na podwórze, i dodał patrząc na swego teścia:

— Jacyś markotni jesteście.

— Jakże niema mi być markotno, kiej mi gadał Mordka z Żelechowa...

— Co za Mordka?

— A ten co skupuje po wsiach jaja, kury, gęsi. Nie znasz go to?

— A! Mordka, znam, co nie mam znać. Cóż on wam gadał?

— Dopiero co przejechał tędy na swej biedce i gadał co kozaki są w Korytnicy i strasznej galimatji tam narobili. Trza Macieju prędko to weselisko skończyć, bo nużby tu do nas wpadli. Niech Pan Jezus broni!

— Kozaki? a skądżeby się tu kozaki wzieni? Przecie u nas nie było nic słychać o kozakach. Polaki to wiem, stoją w Okrzei, straśna ich tam chmara.

— O kozakach gadał Mordka, a przecie żydy zawdy o wszyćkiem wiedzą. Pedał, co burmistrza w Korytnicy na rynku batami sprali, wszyćkie świniaki pobili...

Mówiąc to, stał twarzą ku gościńcowi do Żelechowa zwrócony i nagle przerwał, przez krótką chwilę milczał wpatrując się w ten gościniec bacznie i zawołał z trwogą w głosie:

— O, laboga! ju jadą!

— Gdzie? co? jak? — pytał niemniej przerażony Piotrowski.

— O, tam... nie widzisz ich, czy co? o! gnają, aż się kurzy za nimi.

Wyciągnął ręką wskazując ogromny obłok kurzu, wzbijający się z piaszczystego gościńca, wysuszonego przez słońce, bo od paru tygodni deszcze nie padały, a z tego kurzu, co chwila wyłaniały się głowy koni i jeźdźców. Piotrowski dotąd chwiejący się na nogach, przewraca-

jący zamglonemi oczami, nagle otrzeźwiał, pobladł i drżąc widocznie zawołał:

— O laboga! laboga!

Ale czy miał lepsze oczy, czy też strach uczynił go przenikliwszym, dość że popatrzywszy chwilę na zbliżających się ku wsi jeźdźców rzekł:

— Adyć dwóch tylko jedzie.

— Dwóch? pewno? — spytał Sikora.

— A dwóch, przecie widzę dobrze.

Uciął i Sikora począł patrzeć i uspokojony trochę, odezwał się:

— Dobrze mówicie, dwóch ich je... ale pewnikiem więcej się tu zara pokaże. Tych dwóch to jeno na zwiady wysłali.

Ale Piotrowski nie zgodził się na to.

— Kiej to nie kozaki.

— Nie kozaki?

— A nie. Śkapiny mają chłopskie, a jeden to nawet chłop w sukmanie i magierce, a drugi to jakiś ciarach. Nie kozaki, nie.

Uspokoili się obadwaj Piotrowski i Sikora, a ten ostatni rzekł:

— Chwała Panu Bogu, ale nam też strachu napędzili. Zawdy ciekawość, co to za chłop, skąd i co za ciarach. Czegój oni tu chcą?

— A kto ich tam wie? Może do Okrzei, do Polaków jadą z jaką nowiną.

Wiadomość o pojawieniu się dwóch jeźdźców, galopujących po gościńcu z Żelechowa, przedostała się do izby, z której wysypali się na podwórze prawie wszyscy i kobiet też kilka, bo reszta niewiast została w komorze i zajęta oczepinami Baśki, nie słyszała o nowinie. Skrzypki i basetla żydków wciąż przygrywała piosenkę o chmielu

i z komory dolatywały aż tu na dziedziniec piskliwe głosy kobiece, nucące:

„Żebyś ty chmielu na tyczkę nie lazł...“

Wyraźnie było słychać te słowa, ile że na dziedzińcu wszyscy zajęci widokiem zbliżających się jeźdźców, umilkli i cisza zaległa gwarne przed chwilą obejście Sikory. Jeźdźcy tymczasem wjechawszy między chałupy, zwolnili koni i oglądali się dokoła, jakby kogoś szukali. Ale na drodze było pusto, chałupy były pozamykane, bo wszyscy mieszkańcy znajdowali się na weselu u Sikory. Nagle obaj podróżni zatrzymali się na środku drogi i widać ich było doskonale. Obaj siedzieli na chłopskich konikach, zmęczonych mocno, okrytych kurzem i robiących bokami, aż litość brała. Szkapiny siodeł na grzbiecie nie miały, jeno worki bez strzemion, a jeden z jeźdźców był w szarej chłopskiej sukmanie z zielonemi potrzebami i w białej magierce z gałązką jedliny do niej przyczepioną. Nie patrzał on na chłopa, bo pod rozpiętą sukmaną widać było kamizelkę długą czerwoną i kamasze na nogach, a z za pasa widniały kolby pistoletów i pałasz wisiał mu przy boku. Twarz miał wygoloną, a z pod magierki wysuwały się długie ciemne włosy, okryte kurzem i przez wiatr rozwiane. Drugi jeździec otulony był płaszczem szaraczkowym, z pod którego tylko wyglądały buty lakierowane i w ostrogi zaopatrzone i koniec pałasza w blaszanej pochwie. Zatrzymali się oni na środku drogi, bo wyszła zkądś stara żebraczka, Kacprowa i coś z nimi gadać zaczęła. Co teraz z nią gadali, trudno było dosłyszeć, bo odległość była jeszcze znaczna, ale widać było, jak Kacprowa kijem wskazała na chałupę Sikory, stojącą na końcu wsi.

— Do mnie jadą! — zawołał Sikora — a niechże to wciurności!...



Kościuszko z Niemcewiczem przed zagrodą Sikory

— Ano i cóż, że do was, sołtysie, jadą — odrzekł na to jeden z gospodarzy — dwóch ich jeno, jakieś wojaki, jest się to czego bojać?

— Ale czegój ta pijaczka Kacprowa na mnie ukazuje? Pewnikiem o drogę się pytają, nie mogła to im sama powiedzieć?

— Musi, nie o drogę się oni pytają, jeno o sołtysa — odrzekł na to ów gospodarz.

Jeźdźcy tymczasem ruszyli wolno naprzód, a na podwórzu zapanowało znów wśród zebranych głuche milczenie, jeno wiatr świszczał po ścierniskach, a kryjące się za borem słońce ukośnemi, czerwonemi promieniami oświecało wszystkie twarze wpatrzone w jeźdźców i pełne niepokoju. Z izby ciągle było słychać skrzypki i basetlę, rzępolącą piosnkę o chmielu, i pisk kobiet nieustannie nucących:

„Oj chmielu, oj nieboże!...“

Nakoniec jeźdźcy zbliżyli się do chałupy Sikory. Ten z nich, który był ubrany w szarą chłopską sukmanę z zielonemi potrzebami i magierkę z gałązką jedliny, mógł liczyć koło pięćdziesięciu lat i jego blada, starannie wygolona twarz, pokryta kurzem, wyrażała widoczne znużenie. Podjechał przed kołowrót i głosem łagodnym, ale tonem człowieka przywykłego do rozkazywania, zapytał:

— Tu sołtys mieszka?

— Tu! — odpowiedziało kilka głosów.

— A gdzie on jest?

Sikora, ociągając się nieco, wystąpił naprzód, zdjął z głowy czapkę, pokłonił się pokornie i rzekł:

— Ja jestem sołtys wielmożny panie.

Wszyscy za przykładem Sikory obnażyli głowy i z ciekawością poczęli przyglądać się nieznajomym jeźdźcom, a powoli, z poza chłopów, poczęły się przeciskać kobiety, a na ich czele pani Tekla Kogucina, czyli Kogucińska,

w swym, nieco przekrzywionym na głowie czepcu, którego jaskrawo-czerwone wstążki wiatr rozwiewał. Podparła się pod boki, bo gorący krupnik szemrał jej trochę w głowie, i pilnie wsłuchiwała się w rozmowę Sikory z nieznajomym.

Ten pytał:

— Którędy się jedzie do Okrzei?

— Wielmożny panie — odrzekł na to Sikora, wskazując ręką — tędy.

— A daleko ztąd?

— Hm! będzie chyba z półtory mili.

— Półtory mili! — zawołała, występując naprzód, imć pani Kogucina — co też sołtysie gadacie! Niech wielmożny pan tych chłopów nie słucha, bo to wszyćkie one, jak kużda na ten przykład mężczyzna, żadnej kalkulacyi z przeproszeniem we łbach nie mają. Ja wielmożnemu panu wszyćko dokumentnie powiem. To wielmożny pan chce do Okrzei?

— Do Okrzei.

— Tam stoją Polaki. To do nich wielmożny pan chce?

— Moja jejmość — odezwał się na to drugi jeździec dotąd milczący — to waćpani nasze wojsko nazywa Polakami? A cóż waćpani jesteś, nie Polka?

— Przecie ja Polka... ale tu wszyscy tak gadają.

— To źle gadają, wszyscyśmy Polacy i za wolność i niepodległość ojczyzny walczyć powinniśmy.

Był to młody człowiek ten towarzysz jeźdźca ubranego w sukmanę chłopską i, pod płaszczem miał mundur wojskowy, granatowy z wypustkami karmazynowemi, suto srebrem szyty. Chciał coś więcej mówić, gdy starszy podróżny przerwał mu ruchem ręki nakazującym i zwracając się do chłopów rzekł:

— Nakryjcie głowy, wiatr zimny wieje. Nakryjcie głowy!

Sikora skłonił się nizko i odparł:

— Ej, wielmożny panie, chłopu to ta wiater nie szkodzi, a jakże stać przed wielemożnymi panami w czapkach? My ta zwyczajni zimna.

Ale jeździec jeszcze raz kazał im wdziać czapki, a taka jakaś siła była w jego głosie, że chłopi, choć z ociąganiem się, włożyli czapy.

— Co tu u was za zebranie?

Pani Kogucina znowu wysunęła się naprzód i poprawiając przekrzywiony na głowie czepiec, zawołała:

— To wielmożny panie wesele. Sołtys wydaje swą córkę, jedynaczkę, za mąż. O! słyszy wielmożny pan jak żydy grają przyśpiewek o chmielu? Teraz są oczepiny...

W rzeczy samej, mimo wzmagającego się pod wieczór wiatru, który śmigał po nagich rżyskach i wył jękliwie, rozlegały się jednak wyraźnie tony skrzypiec i basetli, wygrywające melancholijną piosnkę o chmielu.

— A gdzież jest panna młoda? — spytał starszy podróżny.

— Tera są oczepiny i panna młoda jest w komorze. A chce ją wielmożny pan zobaczyć? — pyta Kogucina i nie czekając na odpowiedź zwróciła się do Sikory i szepnęła:

— Idźcie sołtysie i sprowadźcie Baśkę tutaj. To jakiś wielki pan, z oczów mu to widać, pewnikiem chce jej dać sutego gościńca. Idźcie, nie marudźcie!

Wypchnęła prawie Sikorę, a sama podeszła do podróżnych, z których starszy pytał:

— Czy droga do Okrzei dobra i prosta?

— Gdzie tam wielmożny panie prosta — odrzekła Kogucina — bez bór idzie, a nocka zapasem, kto jej nie zna, może pobłądzić. Lepiejby wielmożny pan zrobił, żeby na naszem weselisku się zabawił, a jutro świtaniem pojechał. Za dnia zawdy lepiej jechać...

Podróżny uśmiechnął się na to smutnie i zwracając się do chłopów, rzekł:

— Musicie mi chłopcy dać przewodnika i świeże konie, bo te są tak zmęczone, że w drodze ustaną. Jutro odeślecie je do Żelechowa do burmistrza.

Na te słowa wysunął się z gromady Walek Kłonica i kłaniając się jeźdźcom, rzekł miętosząc czapę w rękach:

— Wielmożny panie, kiej potrza przewodnika do Okrzei... to jabym może pojechał...

Starszy jeździec spojrzał na zmieszanego mocno Walka i rzekł:

— Dobrze, a znasz drogę?

— Nie miałbym znać? adyć niema tygodnia, żebym tam na piechtę nie chodził.

— A czemu to w wojsku nie służysz, taki młody i zdrowy? zapytał drugi podróżny. Ojczyzna wymaga, by wszyscy jej synowie stanęli w obronie zagrożonej niepodległości narodu.

Walek zmieszał się jeszcze bardziej i nic nie odrzekł, ale na szczęście zjawił się Sikora prowadząc Baśkę już w czepcu, zasłaniającą rękami oczy ze wstydu, a za nią wysypała się cała gromada kobiet i też żydkowie ze skrzypcami i basetlą, wygrywając z zacięciem piosenkę o chmielu.

Gdy Sikora przywiódł swą córkę przed starszego podróżnego, ten zapytał:

— To panna młoda?

— Tak wielmożny panie — krzyknęła Kogucina, zwracając się do Baśki, rzekła:

— Czegój się wstydasz Basiu? wielmożny pan jest dobry. Pokłoń się panu jak przystoi.

Baśka objęła kolana jeźdźca a ten dobywając z kieszeni złoty pieniądz, wsunął go w rękę dziewczyny i rzekł łagodnie:

— To masz na twoje nowe gospodarstwo, a jak bę-

dziesz miała syna, to wychowaj go na dobrego Polaka i daj mu na imię Tadeusz na pamiątkę, żeś w dzień twego wesela spotkała się z Naczelnikiem Kościuszką.

Tedy dziewczyna jeszcze raz z głośnem szlochaniem przypadła do nóg Naczelnika, który patrzał na nią swemi łagodnemi i smutnemi oczami i głaskał ją ręką po głowie, a towarzysz jego, młody oficer, podnosząc kapelusz z głowy, obrócił się do chłopców i zawołał:

— Chłopcy, w górę czapki! Niech żyje Naczelnik Kościuszko! niech żyje Polska!

Ale chłopcy stali jacyś niemi, czapki wprawdzie pozdejmowali znowu, i niewiedzieliby zapewne co robić, gdyby nie majster szewski, imćpan Ildefons Kogut Koguciński. Wyskoczył on naprzód i ciskając wgórę swój zasmolony nieco kaszkiet, wrzeszczał ochrypłym głosem:

— Czegóż stoita chamy jak kołki? wiwat naczelnik Kościuszko! a wy żydy grajta tę przyśpiewkę, co ją my obywatele w Żelechowie śpiewamy.

I podparł się pod boki, a wiatr mu rozwiewał kosmyki rzadkich włosów i nos czerwony zaczerwienił się jeszcze bardziej i głosem ochrypłym, fałszując szkaradnie, śpiewać począł:

„Ty coś nadzieją jest naszą.
Wodzu! o Polski ozdobo!
Żadne nas groźby nie straszą.
Gdziekolwiek pójdziesz, my z tobą!“

Towarzyszyła mu w tym śpiewie cienkim dyszkantem imcipani Kogucina, a żydki grać poczęły nutę na skrzypkach i basetli, a chłopy też zachęcone i rozgrzane muzyką, poczęli krzyczeć: wiwat Naczelnik! i cisnąć się do jego kolan i rąk i całować i ściskać, a kobiety się popłakały i zawodząc głośno, wołały:

— Widzita jaki to pan dobry, a chudzina taka, i w na-

szą chłopską sukmanę się przybrał. To nie żaden ciarach, jeno taki chłop jak my, a mocarz jest straśny i ma wojska jak gwiazd na niebie.

A ten hetman w chłopskiej sukmanie stał rozrzewniony i mówił:

— Dziękuję wam chłopcy, dziękuję, ale przedewszystkiem dajcie mi koni i przewodnika do Okrzei, bo mi bardzo pilno.

Zakręcił się Sikora i inni gospodarze i w dwa pacierze Naczelnik Kościuszko i jego adjutant pan Julian Niemcewicz, pędzili na świeżych koniach pod przewodnictwem Walka Kłonicy, drogą do Okrzei.

II

Słońce już zaszło, gdy Naczelnik Kościuszko z panem Niemcewiczem i Walkiem Kłonicą wyruszyli na świeżych koniach ze Stryja. Niebo na zachodzie paliło się wszystkiemi barwami czerwieni, a wiatr wył i hulał po nagiej płaszczyźnie, po polach ścierniem pokrytych. Zaraz za wsią wjechali w las stary i gęsty, gdzie było ciszej, ale zato ciemności panowały tu zupełne. Na szczęście gościniec był dość szeroki, choć piasczysty i nędzne szkapy chłopskie z trudnością posuwały się naprzód, zapadając po pęciny w ruchomym i głębokim piasku. Naczelnik jechał nieco naprzód i milczał, pogrążony w myślach, pan Niemcewicz otulił się płaszczem, by zasłonić się nieco od wiatru, a Walek dziwił się, że Kościuszko, taki hetman wielki i pan całej Polski, jedzie oto samotnie, w głuchym boru, na szkapinie chłopskiej, mając zamiast siodła, prosty worek parciany, zamiast strzemion, postronki.

— Ha! myślał sobie — musi być źle z Polakami, skoro Naczelnik, nikiej chłop jaki taką podróż odbywa. Ale mnie ta ju wszyćko jedno, przystanę do Polaków i tylo. Nie wrócę ja ju do Stryja, o nie! bo i po co? Baśka poszła za tego starego kutwę Piotrowskiego, to co mi we wsi robić, chyba, żeby mi się serce krwawiło. Sam jeden, jako palec jestem na świecie, to co mi tam! Czy tu, czy gdzieindziej zamrzeć, to zawdy na jedno wyńdzie. Raz kozie śmierć! Jeżeli taki Naczelnik, taki pan może jechać na szkapie chłopskiej i przez siodła, to cóż ja, chłop i biedota, taka, że

okrom sukmany na grzbiecie, nic więcej nie mam. Ju niech ta! ostanę przy Naczelniku, bo mi też litość bierze patrzeć, żeby taki wielgi hetman tak się poniewierał. Wichrzysko ryczy nikiej zwierz jaki, a on w sukmanczynie jeno i na zimno nijakiego baczenia nie daje...

Tak sobie pomyślał Walek, jadąc nieco z tyłu za Naczelnikiem, obok pana Niemcewicza, który zdaje się drzemał na swej szkapie, bo się kiwał nikiej żyd w bóżnicy. Las szumiał ponuro, a nad nim leciały gromady wron, kracząc żałośliwie i szukając swych nocnych legowisk. Nagle Naczelnik się odwrócił i zawołał swym łagodnym, miękkim głosem:

— Chłopcze, zbliż no się!

Walek piętami połechtał kobyłę gospodarza Pawła, co go we wsi zwali Dzikiem dla tego, że raz napadł go w boru dzik i całą nogę mu kłami rozpruł, i zbliżył się do Naczelnika. Ten pytał:

— Jak się nazywasz?

— Walek Kłonica, wielmożny panie.

— Do mnie nie mówi się wielmożny panie, ale obywatelu-Naczelniku.

Dziwnem się to wydało Walkowi, żeby do takiego mocarza mówić tak z prosta obywatelu-Naczelniku, ale umilkł i słuchał, bo Kościuszko dalej pytał:

— Znasz tę okolicę?

— Co nie mam znać? przeciem się tu urodził i od maleńkości furmańswem się zajmuję. Do Warsiawy, do Lublina i do Radomia nawet jeździłem, hen za Wisłę.

— To dobrze, będziesz mi potrzebny i nie prędko cię odpuszczę.

Walek uradowany, bo tego tylko pragnął. rzekł:

— Dziękuję Wielmożnemu Panu...

— Mówiłem ci już, że mię trzeba nazywać obywatelem-Naczelnikiem.

— Kiej to jakoś nijako...

— Tak trzeba. Zostaniesz więc przy mnie i w razie potrzeby służyć będziesz za przewodnika.

— Dobrze, ja ta do wsi niemam po co wracać i ostanę kiej taki przykaz.

Naczelnik umilkł, głowę spuścił i znowu pogrążył się w jakiejś myśli, a może wsłuchiwał się w ponury jęk wichru, szalejącego między drzewami boru. Po chwili zapytał:

— Nie słyszałeś nic o nieprzyjacielu?

— Co nie miałem słyszeć? słyszałem.

— Cóż takiego? mów!

— Ano, dzisiok w południe jechał bez wieś od Korytnicy pachciarz z Żelechowa. Mordka ma na przezwisko i gadał, że w Korytnicy te *hycle* kozaki straśnej galimatyi narobiły.

— W Korytnicy?

— Tak.

— Jakiej galimatyi? mówże wyraźnie co wiesz!

— Ano gadał Mordka, że kozaki wzieni burmistrza i na rynku batami go sprali i wszystkie świnioki w mieście pikami zakłóli, żydowskie pierzyny popruli, a pierze po mieście to tak fruwało, jakgdyby nieprzymierzając śnieg padał. Żydy, żydówki i żydzięta pouciekały do lasu...

— Czy sami kozacy tylko, a piechoty nie było?

— O piechocie Mordka nic nie gadał, jeno o kozakach.

Naczelnik znowu umilkł, jakby coś rozważał, poczem zwracając się do jadącego z tyłu pana Niemcewicza, rzekł:

— Julek, słyszałeś co ten chłopiec mówi?

— Słyszałem.

— Cóż ty na to?

— A to, że możemy bardzo łatwo wpaść w ręce kozaków i jeżeli dotąd nie wpadliśmy, to uważać za cud należy. Jak daleko stąd będzie do Korytnicy? spytał Walka.

— Będzie chyba z półtorej mili.
— A więc... tylko patrzeć jak nas kozaki dojadą.
— W Boskiem jesteśmy ręku! — szepnął Naczelnik, a Walek zawołał:
— Ej, tu w lesie, to nam kozaki nic nie zrobią, i z Korytnicy ju odjechali. Mordka gadał, co kole południa ich starszy kazał trąbić i zara ruszyli do Kalenia.
— Co to jest Kaleń?
— A wieś, o ćwierć mili od Korytnicy.
— Wartoby — mówił pan Niemcewicz, zwracając się do Naczelnika, jak tylko przyjedziemy do Okrzei cali i zdrowi, o czem wątpię, wysłać podjazd ku Korytnicy, żeby się dowiedzieć jak właściwie rzeczy stoją.
— Obaczymy — odparł na to Naczelnik — choć ściśle mówiąc, nie widzę potrzeby takiego podjazdu i męczenia ludzi i koni. Sierakowski ma niewiele jazdy... a przytem mamy przecież jak najdokładniejsze wiadomości o Fersenie.
Pan Niemcewicz podjechał do pana Kościuszki i rzekł:
— Wybacz Naczelniku, ale zdaje mi się, że wiadomości te nie są zbyt dokładne.
Naczelnik nic na to nie odpowiedział, tylko milczał przez chwilę, a potem zawołał:
— Jaka ciemna noc!
Zapanowało więc milczenie. Pan Niemcewicz cofnął nieco konia, otulił się znowu płaszczem i do samej Okrzei ust już nie otworzył.
Zbliżając się do tego nędznego, przeważnie przez żydostwo zamieszkałego miasteczka, zdala już uderzyła podróżnych łuna, bijąca od mnóstwa ognisk, gorejących w samem mieście i dokoła niego. Na piasczystych wzgórzach, otaczających Okrzeję od północy gorzały wielkie ognie, a koło nich kręciły się sylwetki czarne ludzi i koni. Ogniska te ciągnęły się aż pod wieś Wólkę Okrzejską

i zdawały się mówić o znacznych siłach polskich, rozłożonych tutaj. Walek przypatrywał się temu ciekawie, bo jak żyje, nie widział jeszcze nic podobnego. Gdy podjechali bliżej, nagle z ciemności rozległ się głos donośny:

— Stój! kto idzie?

— Swój! — odpowiedział Naczelnik.

— Co za swój? gadaj, bo strzelę!

— Naczelnik Kościuszko! — zawołał pan Niemcewicz — czy nie wiesz gapiu jakiś, że Naczelnik ma przyjechać?

— A któżeśty, co mię gapiem nazywasz?

— Ja jestem adjutant Naczelnika.

— Zbliżno się panie adjutancie, niech obaczę.

— Przecie musiałeś słyszeć, że Naczelnik ma przybyć do waszego obozu!

— Nic nie słyszałem i nic niewiem.

Tedy pan Niemcewicz podjechał do pikiety, a za nim Naczelnik i Walek. Tu na polu było o wiele widniej, jak w lesie i od ognisk obozowych padał odblask różowy, i Walek ujrzał przed sobą kawalerzystę w czapce czerwonej i z lancą, u której wiatr z głośnym łopotem miotał chorągiewką. Kawalerzysta podejrzliwie oglądał przybyłych, nie chciał ich puścić, wreszcie zdecydował się odprowadzić ich do najbliższego posterunku, do grangardy, jak ją nazywał:

— Widziano kozaków koło Klonowa — mówił — djabeł tam wie, kto wy jesteście. Teraz wojna i nasz korpus, to jakby na straconej placówce.

— Dlaczegóż to? — spytał Naczelnik.

— A bo powiadają, że przez Wisłę przeprawiło się kilkanaście tysięcy nieprzyjaciela, a nas tu w Okrzei niema więcej jak pięć tysięcy i to zbieraniny, a po tem jak nas sprali pod Terespolem, duch w wojsku całkiem upadł.

— To źle, a ty kłamiesz, bo jest was więcej — odezwał się Naczelnik.

— A cóżeś ty za jeden co wiesz lepiej odemnie ilu nas jest — spytał zuchwale jeździec.

Wtedy porwał się pan Niemcewicz i krzyknął:

— Do kogo ty tak mówisz błaźnie? Czy nie widzisz przed sobą Naczelnika?

Tedy kawalerzysta zatrzymał konia i począł się przypatrywać wszystkim trzem jeźdźcom, ale że przyciemno było, nie mógł wiele zobaczyć i rzekł:

— Nie znam Naczelnika, nie widziałem go nigdy, a po nocy wszystkie koty szare. Widzę jeno dwóch chłopów i ciebie panie oficerze. A możeś ty Naczelnik?

— Ten jest Naczelnik! — wskazał pan Niemcewicz.

Tedy kawalerzysta zwrócił się do Kościuszki i rzekł:

— Jeżeli pan jesteś w istocie Naczelnikiem, to proszę mi wybaczyć moje, może zuchwałe, słowa, ale mam przykaz nikogo nie puszczać bez przekonania się kto to taki. Teraz, jak nas wskutek braku ostrożności z nienacka Suworow napadł pod Terespolem i pobił na głowę, to zachowujemy wielką czujność. A i potrzeba, bo słyszę na około włóczą się kozaki i ogromna moc nieprzyjaciela przeprawiła się przez Wisłę. Jeszcze raz proszę się na mnie nie gniewać. Żołnierz jestem i rozkazów słuchać muszę. Oto grangarda i jej komendant, ja wracam na stanowisko.

Skłonił się po wojskowemu i kłusem odjechał.

Wszystko to Walka ogromnie dziwiło, ale milczał, zwłaszcza, że nowe ujrzał widowisko. Na grangardzie stała kawalerja z regimentu gwardji konnej, żołnierze więc i oficerowie znali dobrze Naczelnika z Warszawy, to też gdy przed ich ogniskiem stanął, oświetlony czerwonym odblaskiem ognia, pozrywali się na równe nogi i wołać zaczęli:

— Naczelnik! wiwat Naczelnik! niech żyje Naczelnik!

Zaraz też pozapalali pęki chrustu i wielkie głownie i w ich purpurowym blasku, rzucającym dokoła wielkie światła i wielkie cienie, otoczyli swego ukochanego wodza, a on dziękował im i kazał się prowadzić do kwatery jenerała Sierakowskiego. Kwatera ta, jak objaśniali, znajdowała się w samym miasteczku, więc tam ruszył Naczelnik, pan Zajączek, Walek i oficer z grangardy w towarzystwie kilku żołnierzy, którzy popodnosili do góry swe zaimprowizowane pochodnie i oświecali drogę. Ale już po całym obozie rozeszła się wiadomość o przybyciu Naczelnika i wszędzie żołnierze się zrywali, wszędzie rozlegały się okrzyki:

— Niech żyje Naczelnik! wiwat!

Właśnie przejeżdżano koło obozowiska grenadjerów krakowskich, którzy pod Racławicami tak chwacko się spisali, że kosami roznieśli pułki Tormasowa i dwanaście armat zdobyli. Nie dużo ich było, wszystkiego jakichś trzystu kilkudziesięciu, ubrani w sukmany z kierezjami, w pasy nabijane ćwieczkami i kołeczkami, w czerwone krakuski z pawiemi piórami, ale chłop w chłopa. Było ich niegdyś dwa tysiące, ale wyginęli, pokładli się pokotem na sen nieprzespany na polach Racławic, Szczekocin, u szańca Wolskiego. Dziś tworzyli szczupły ale tęgi męstwem batalion. Gdy zobaczyli swego wodza, który ich wiódł niegdyś na działobitnie nieprzyjacielską u Kościelowskiej góry, porwali się wszyscy, zabrzęczały kosy, czapki poleciały w górę i rozległo się grzmiące, chłopskie:

— Wiwat nasz Naczelnik!

A zaraz też ich muzyka ze skrzypek, basetli, fujarki i ogromnego bębna złożona, zagrała marsza kosynierskiego, a w jego takt z trzystu piersi huknęła potężna pieśń:

„Niech wzdyć wspomną sobie fryce
Racławice, Kościelnice,

Końskie i Dubienkę!
Chodźwa, bijwa, tnijwa
Sieczwa nosy na bigosy
Śpieszwa na wojenkę!“

Wielu z nich przypadło do tego wodza, co ich wiódł do zwycięstwa, całowali mu nogi, kolana, byli tacy, co padali na ziemię i w uniesieniu radości żegnali się krzyżem świętym. A z pośród nich wystąpił stary, siwobrody kapucyn, z habitem podkasanym wysoko, tak, że widać było jego nagie, chude jak piszczałki nogi, i stopy w drewniane trepki obute, ojciec Ansgary co niegdyś ze swymi Krakusami biegł na armaty u Racławic, a teraz podniósł do góry czarną pasyjkę z białym Panem Jezusem i żegnał nim wodza i błogosławił:

— *Benedico te in nomine Patri, et filii et...*

A szept jego ginął w grzmiącej triumfalnie pieśni kosynierskiej, w ich okrzykach i brzęku ostrych kos, w których przeglądało się purpurą światło gorejących głowni i pęków chrustu. Naczelnik zatrzymał się przed tą, pijaną uniesieniem gromadą grenadjerów swoich, co mu męstwem swoim wiekopomny wieniec wawrzynu na czoło włożyła i zdjął czapkę i kłaniał się i witał ich słowami:

— Jak się macie chłopcy!

A głos mu drżał i po jego szczupłej, opalonej słońcem i wichrami Ameryki twarzy, łzy się toczyły ciurkiem i szeptał do pana Niemcewicza:

— Z takim ludem żyć i umierać!

Ale już wiadomość o przybyciu Naczelnika do obozowiska w Okrzei, dostała się do komendanta tego korpusiku jenerała Sierakowskiego i nadbiegł on pędem w towarzystwie jenerała Ponińskiego i licznego orszaku adjutantów i oficerów, wszyscy w mundurach błyszczących od srebra, i witał się z wodzem naczelnym i prosił go do siebie na kwaterę do miasteczka.

Walek przypatrywał się temu wszystkiemu ciekawie ze zdziwieniem i osłupieniem a serce mu biło jak młotem. Widząc z jakim zapałem wszyscy witają tego wodza w chłopską sukmanę przybranego, siedzącego na nędznej szkapie z nogami miast strzemion w postronki osadzonemi, zamiast siodła mającego pod sobą prosty worek parciany ze sieczką, dziwnie mu się jakoś zrobiło na wnętrzu i strach go ogarnął, że przed chwilą, tam w boru, między Strywjem a Okrzeją rozmawiał z nim jak z prostym ciarachem, jak z równym sobie. Jechał za całą gromadą błyszczących jenerałów i oficerów, otaczających Naczelnika i pana Niemcewicza, a oglądał się ciągle na grenadjerów krakowskich, których kosy błyszczały niby błędne ogniska w ciemności, a muzyka wciąż grzmiała marsza o Racławicach i Dubience, bo ciągnęło go coś do nich, bo rad był z nimi zostać i tak samo czapkę w górę rzucać, tak samo śpiewać i wołać: „niech żyje Naczelnik!" Zapomniał o wszystkiem, o swej wiosce, o Baśce Sikorzance, o pijanym szewcu Kogucie i swarliwej szewcowej Kogucinie, a migały mu w oczach czerwone krakuski, ostre, błyszczące kosy i ten siwy kapucyn z gołemi nogami, błogosławiący wodza pasyjką Bożą.

Wszędzie pełno było wojska, a na placu w miasteczku stały armaty; wszędzie z radością żołnierze witali Naczelnika. A on jechał wolno na swej nędznej szkapinie chłopskiej, z gołą głową, na której wiatr rozwiewał jego długie włosy, kłaniał się i witał żołnierzy:

— Jak się macie chłopcy!

Nakoniec zatrzymano się przed jednym z większych dworków drewnianych, z gankiem pośrodku, jasno oświeconym. Tutaj Naczelnik i wszyscy za nim zeszli z koni, Walek także zeszedł, ale nie wiedział co ze sobą zrobić, bo do środka domu z tylu jenerałami nie śmiał wejść i stał na ulicy, a wiatr, hulający na placu swobodnie, przewie-

wał na wskroś jego nędzną sukmanę. Stał tak może ze dwa pacierze, gdy nagle ze dworku wypadł jakiś oficer i krzyknął:

— Gdzie jest przewodnik Naczelnika, Walek Kłonica?

— Jestem! — odpowiedział Walek.

— Gdzie? — pytał dalej oficer, nie mogąc chłopca dostrzec w ciemności.

— Tutaj, wielmożny panie.

— Chodź bliżej, a nie wiesz gamoniu jakiś, że teraz niema wielmożnych panów, jeno obywatele?

Walek zdjął czapkę, podrapał się po bujnej czuprynie, i rzekł kłaniając się nisko:

— Zapomniałem.

— No! to nie zapominaj. Naczelnik daje ci tu talara za to, żeś mu służył za przewodnika i kazał cię zapisać do batalionu grenadjerów krakowskich.

Walek ucieszył się, ale i strach go wziął. Teraz jest wojna i słyszał przecie, że kozaki się włóczą wszędzie i że jakieś wielkie wojsko przeszło przez Wisłę. A nuż zginie! Ciarki go przeszły i mimowoli rzekł:

— To jakże wielmożny panie, mam służyć w wojsku?

— A oczywiście. Cóż to, myślisz do góry brzuchem się wylegiwać, kiedy twoi bracia walczą za ojczyznę? Zresztą nikt się ciebie nie pyta czy chcesz czy nie chcesz. Marsz za mną i basta!

Ruszył przodem dzwoniąc ostrogami i szablą, a za nim powlókł się Walek. Konie, oficer kazał zabrać jakiemuś żołnierzowi i Walek markotny nieco, bo jakkolwiek w Stryju Baśce mówił, że chce się zaciągnąć do żołnierzy, jakkolwiek śmiała mu się dusza do grenadjerów krakowskich, którzy z takim zapałem witali Naczelnika, jednakże tak to wszystko nagle i niespodziewanie się stało, że nie mógł przyjść do siebie. A oficer śpieszył mrucząc coś pod nosem, aż przyszedł do obozowiska grenadjerów, tuż za



Kościuszko wjeżdża do obozu witany przez kosynierów

miastem. Paliły się tu wielkie ognie, przy których kotły stały i kilku żołnierzy w nich warząchwiami ogromnemi mieszało kaszę ze słoniną, której zapach się rozchodził. Mnóstwo grenadjerów w swych sukmanach krakowskich stało, siedziało lub leżało koło ognisk, jedni drzemali podłożywszy pięść pod głowę, inni gadali ze sobą albo się śmiali głośno, a piramidy z kos ustawione, jeno błyszczały jak roztopione złoto od ognisk. Gdzieś z ciemności odzywały się skrzypki, wygrywające skocznego obertasa, ale co chwila urywały, cichły, by znów cienkim żałośliwym tonem rozpocząć jakąś smutną piosnkę. Na kamieniu, obok jednego z ognisk siedział Ojciec Ansgary, z kapturem nadzianym na głowę, z pod którego widać było tylko jego dużą, przez wiatr rozwichrzoną, białą jak mleko brodę, i trzymając w ręku różaniec przesuwał paciorki i modlił się cicho. Nad całym tym obrazem unosiła się ciemna, wietrzna noc jesienna i niebo zasnute posępnemi chmurami.

Gdy oficer przyszedł do tego obozu z Walkiem, zaraz głośno zawołał:

— Gdzie jest kapitan Luke?

Odpowiedziano, że stoi kwaterą razem z pułkownikiem Ślaskim w najbliższej chałupie.

— Kroć sto tysięcy! — mruknął oficer widocznie niezadowolony, że musi się wrócić, bo chałupa ta znajdowała się na końcu osady.

Poszli tam i w dużej izbie, oświetlonej gorejącem na cyganku ogniskiem, zastali młodego oficera, w sukmanie z kierezyją, ale ze szlifami srebrnemi na ramieniu, siedzącego przed ogniem, przy którym jakaś kobieta, zapewne gospodyni tego domu, piekła na rożnie kurę.

— Przyprowadzam kapitanowi do jego batalionu ochotnika — odezwał się oficer wiodący Walka.

Kapitan Luke spojrzał na tego nowego ochotnika, zmierzył go od stóp do głów surowym wzrokiem i rzekł:

— Ale to jakiś gamoń wiejski. Co mi po nim?

— Ordynans Naczelnika, żeby go przyjąć — odezwał się na to oficer.

— Wszystkich gapiów do mnie pakują, a potem się dziwią, że moje kosyniery kroku w bitwie nie potrafiią dotrzymać. Ci ochotnicy to jeno zaraza. Skądeś ty? — spytał Walka.

— Ze Stryja wielmożny panie.

— O! i wielmożnością sadzi! licho mi nadało...

Chciał coś jeszcze mówić, ale oficer mu przerwał kłaniając się i mówiąc:

— Spełniłem rozkaz. Sługa pana kapitana!

I wyszedł. Kapitan Luke jeszcze raz obejrzał Walka i krzyknął:

— Maciek! Maaciek!

Na to wezwanie zjawił się w izbie chłop ogromny w sukmanie i stanął wyprostowany przy drzwiach, mówiąc grubym głosem:

— Słucham pana kapitana.

— Weź tego durnia do swej sekcji, a trzymaj go ostro. Dać mu sukmanę, czapkę, kosę i co potrzeba. Ruszajcie!

Maciek spojrzał strasznym wzrokiem na Walka i rzekł:

— Słucham pana kapitana!

A Walkowi kazał iść za sobą.

III

Maciej, którego przezwisko było Kawka, był sierżantem w batalionie grenadjerów krakowskich. Chłop był ogromny, mruk zawołany i gniewliwy strasznie. Szedł teraz przodem, prowadząc Walka za sobą i pytał:

— Jak ciebie nazywają?

A gdy Walek wymienił swoje nazwisko, pytał znowu skąd jest. Dowiedziawszy się, że ze Stryja, wioski sąsiedniej,, zawołał:

— I to ciebie do grenadjerów krakowskich przeznaczyli? Co ty tam będziesz robił? tam są sami winowajcy, chłopy z pod Krakowa, Proszowic i Skalmierza.

— Moja to wina? — odrzekł Walek — taki przykaz Naczelnika, cóżem ja tu krzyw?

— Po sprawiedliwości toś ty nic nie krzyw — rzekł Kawka — ale żebyś wiedział, co w mojej sekcji posłuch być musi, bo w pyski pierę, że w dzień wszystkie gwiazdy obaczysz. Rozumiesz?

Nie bardzo się Walkowi ta perspektywa uśmiechała, ale nic nie mówił i szedł za sierżantem Maciejem, który stanąwszy w obozowisku kosynierki krakowskiej, krzyknął swym grubym głosem:

— Podoficer Rędzina, sam tu do mnie!

Z gromady grenadjerów, otaczających wielki kocioł z warzącą się w nim kaszą, wysunął się chłop niewielki, ale krępy, zarosły jak niedźwiedź, bo się widać dawno nie strzygł i nie golił, i rzekł:

— Co chceta, panie sierżancie?

— Masz tu nowego rekruta. Wedle przykazania pana kapitana dać mu sukmanę, kosę, co potrzeba, a trzymać go ostro i w pyski bić, ja przykazuję.

— Owa! — odezwał się na to Rędzina — zara w pyski bić. Bez cóż go będę bił? jak co zawini, to ale...

— Słuchać, nie rezonować! — odrzekł Kawka i zawrócił, i krokiem ciężkim ruszył zpowrotem, ginąc w ciemnościach.

Rędzina zajął się gorliwie Walkiem, wypytał go się szczegółowo skąd jest, jak się zowie, poprowadził go do wielkiej bryki, na której był magazyn kosynierski, ubrał go w piękną z brunatnego sukna sukmanę, w pas nabijany ćwieczkami, w magierkę białą i dał mu kosę do ręki i osełkę do jej ostrzenia.

— Butów ci nie potrza — mówił — bo masz dobre, choć nie długo pewnikiem wytrzymają, bo my tu ciągiem marsze odbywamy.

Ubrawszy Walka, poprowadził go do swej sekcji, gdzie już kasza się uwarzyła i każdy z grenadjerów dobywszy drewnianej łyżki z poza cholewy, usiadł koło kotła do jedzenia. Jedli oni wolno i systematycznie. Trzymając w jednym ręku kawał razowego chleba, gryźli go, a potem każdy po kolei sięgał łyżką do kotła i nie powtarzał tej operacji, aż ostatni z koła swą łyżkę z kaszą do ust podniósł. Wtedy znowu pierwszy zaczynał i tak po kolei, a jedli nic nie mówiąc i z wielką powagą i namaszczeniem. Przysiadł się do nich na samym końcu i Walek, a że był nie bardzo głodny, bo na weselisku Baśki Sikorzanki, pomimo smutku, że za innego szła, jadł za dwóch, ile, że wesele było sute, pieczonego mięsiwa w bród, więc nie bardzo tam objadł swych nowych kamratów, którzy zrazu dość krzywo na niego patrzyli. Powoli jednak zapoznał się z nimi i kiedy legli na spoczynek pod gołem niebem

na słomie i sianie, którego całe pęki niewiadomo skąd naznosili, to podoficer Rędzina, począł opowiadać jako to oni brali armaty pod Racławicami, jak sławny Wojtek Bartosz, Głowackim przezwany, zginął pod Szczekocinami, a po nim sierżantem ostał Maciej Kawka, który też jest rodem z Rzędowic, tak jak Głowacki.

— Było nas ta z Rzędowic sześciu gospodarzy sprawiedliwych — mówił Rędzina — ja, Wojtek Bartos, Maciek Kawka, Józwa Szymczak, Stach Pawłowski i Kuba Maślonka, i wszyscy poginęli, ostałem tylko ja i Kawka. Maślonka i Szymczak to jeszcze podle Racławic zginęli. Maślonce kula cały wierzch głowy razem z czupryną zdarła i padł ani zipnął, jeno go ojciec Ansgary krzyżykiem świętym przeżegnał. Szymczaka co z Wojtkiem Bartosem i Świstackim, co tyż je gospodarz z Wawrzeńczyc, pierwsi doskoczyli do harmat, to jakiś kanonier, przez łeb tak wyciorem zdzielił, że zara padł. Stękał jeszcze długo, ale potem pomarł w Bosutowie. Chłop był dobry i mój kum, jeno lubiał się napijać. Co zaś do Bartosa, którego Naczelnik za one harmaty, zara na placu bitwy zrobił sierżantem i ciarachem, i przezywać mu się przykazał po ślachecku Głowackim, to z nim tak było.

Tu podoficer Rędzina poprawił się na słomie, usiadł, żeby mu łatwiej było opowiadać i tak mówił:

— Straszna to była batalija pod Szczekocinami. Kule ci tak leciały jak nieprzymierzając pszczoły, kiedy w ul dmuchnąć. Nasz pułkownik, pan Krzycki, to jeno gadał: trzymać się chłopcy, a ostro! Siedział ci na srokatej kobyle, która cięgiem uszami strzygła i co kula świśnie, to ona wierzgnie, maluśko brakowało, żeby pan Krzycki z niej bez łeb nie zleciał. Staliśwa na prawem skrzydle, a tu na nas nikiej wicher lecą pruskie huzary. Ziemia ci tak dudniała, jakby grzmiało, a kurz był taki, że nic nie było widać, jeno płaszcze błyszczą, a pióra u ich czapek,

a wszyćko ci czarne bestyje jak cygany. Jaki taki przeżegnał się i pacierz zmówił, boświa byli pewni, że gdzie nam ta oprzeć się takiej straśnej mocy. Markotno się nam bez to zrobiło, że jednerał Wodzicki, co ciągiem z nami jeszcze od Krakowa był, wyskoczył se na koniu na przodek, żeby bez lunetę... a wiecie wy co to luneta?

Jedni wiedzieli, drudzy nie wiedzieli, a między nimi i Walek, więc Rędzina począł im objaśniać, ale mu to szło jakoś niesporo i sam wiedział, że go nie rozumieją, więc machnął ręką i pyta:

— Na czem to ja stanąłem?

— Jak jednerał Wodzicki wyskoczył na przodek i bez lunetę patrzył...

— Ano... walny to był jednerał i z kużdym grzeczny, więc lubiliśmy go bardzo. Wyskoczył se tedy na białym koniu i patrzy, a tu ci go bęc! Okrutna kula w samą głowę trafia i urywa ci mu ją, jakby kosą uciął. Koń pod nim skoczył i bieży ku nam, a tu ci straszne widowisko. Kadług przez głowy siedzi jakby nic na koniu i lunetę w ręku trzyma a krew ci z niego bucha, jak z onej fontanny coświa ją widzieli w Pińczowie na rynku. A tu huzary pruskie, niby smoki carne lecą na nas i wyją jak wilki. Jezu, Jezusieńku! a pułkownik Krzycki dobył pałasza i krzyczy: chłopcy kosami tych hyclów bez łby! rąb, siecz! Dopiero ci galimatyja, niech Pan Jezus broni! Ja, jak mię tu widzita, jakem ci machnął bez łeb jakiegoś czarnego huzara, tom go przeciął na połowę i koniowi łeb odpadł, jeno cielsko drgało jak u żmii, kiej jej głowę zetniesz.

Rędzina aż podniósł się w zapale opowiadania i pokazywał jak kosą siekł i rąbał, a wszystkie grenadjerzy i Walek między niemi całą duszę w słuch obrócili i patrzyli na opowiadającego i wzdychali i pięście tylko ści-

skali. Żeby im teraz nawinęły się huzary pruskie, toby z nich takie jatki zrobili, że Boże miłosierny!

— Albo pod Warsiawą. My grenadjery krakowskie staliśwa z Naczelnikiem pod Mokotowem. Ale to też do takiej bójki jak pod Szczekocinami nie przyszło, jeno z harmat ciągiem strzylali, aż uszy bolały od tego huku. Raz, baczę sobie, było to jakoś pod wieczór...

Wtem, kiedy się zabierał Rędzina do dalszej opowieści o swych bojach, zwycięstwach i klęskach, rozległ się wśród ciszy nocnej, bo prawie cały obóz spał, jeno słychać było świst wichru po rżyskach i chrapanie koni niedaleko stojącej gwardji konnej, gruby, donośny głos sierżanta Kawki:

— Podoficjer Rędzina! gdzie jest podoficjer Rędzina?

A gdy Rędzina na ten okrzyk odpowiedział, dając znać gdzie jest, Kawka rozkazywał.

— Masz wziąć twoją i Jabłońskiego sekcję i ruszaj z nim przed kwaterę pułkownika Krzyckiego.

— Cóż to będzie? — pyta Rędzina nieco markotny, bo spać mu się chciało i myślał, że tej nocy wygodnie się wywczasuje, a tu mu każą maszerować przed kwaterę pułkownika, Bóg wie poco. Powtórzył więc swoje pytanie, na co Kawka odpowiedział swojem zwykłem:

— Słuchać, nie rezonować. Dowiesz się jak będzie czas. Ruszaj natychmiast.

Ale natychmiast nie dało się to zrobić. Ludzie się już pospali, spał i podoficer Jabłoński, którego ledwie zdołano odszukać; dużo czasu upłynęło, nim się obie sekcje, ludzi dwudziestu kilku, a między nimi i Walek Kłonica, zebrały. Ziewając, stękając, dzwoniąc zębami od zimna, bo noc już była późna i wicher północny, przenikliwy dąć nie przestawał, ruszono pod komendą Rędziny do kwatery pułkownika Krzyckiego. Kwatera ta mieściła się w tej samej chałupie na końcu miasta, w której Walek ujrzał poraz

pierwszy kapitana Luke i sierżanta Macieja. Gdy obie sekcje grenadjerów tu przyszły, zastały już dwie kompanie z pułku trzeciego jenerała Czapskiego, stojące z bronią u nogi, na pół ukryte w ciemnościach nocy, tylko z okienka oświetlonego chałupy, ślizgały się nikłe blaski po ich czapkach, guzikach i broni. Nieco dalej stało przy koniach może ze dwudziestu ludzi z kawalerji narodowej z pułku Achmatowicza. Wśród całej tej gromady ludzi i koni, panowało senne milczenie; ludzie na pół drzemali lub też tulili się w płaszcze przed zimnem, bo na tem miejscu, niczem nieosłonionem wiatr hulał swobodnie i mroził wszystkich.

Rędzina, przyszedłszy ze swojemi, zapytał kogoś ze znajomych sobie z pułku jenerała Czapskiego.

— Co to będzie? po co nas tu zebrali?

— Nie wiem — odrzekł zapytany — pono pójdziemy na rekonesans.

— A gdzież pułkownik Krzycki?

— W miasteczku. Mówią, że wszyscy jenerałowie radzą coś z Naczelnikiem.

— Brrr! zimno — zakończył tę rozmowę Rędzina.

Z domku wyszedł kapitan Luke, w płaszczu i przechadzał się w milczeniu po ganku, ćmiąc krótką fajeczkę.

Walek słyszał rozmowę Rędziny z żołnierzem, ale nie rozumiejąc co znaczy wyraz rekonesans, nie mógł pojąć po co tutaj tylu ludzi spędzono i dla czego kapitan Luke zamiast spać, przechadza się po ganku domu i na co czeka. Serce mu jednak mówiło, że coś będzie z tego, może bitwa, i trochę go strach przejmował. Noc ponura, ciemna i wietrzna, niepewność oczekiwania, zimno, wicher wyjący żałośliwie, wszystko to oddziaływało na niego i mimowoli dygotał cały. Stojący obok niego kosynier, chłopak młody, Pietrkiem zwany, niecierpliwie przestępował z nogi na nogę i mruczał coś niechętnie pod nosem.

— Gdzie my pójdziewa? — spytał Walek — co to gadał ten żołnierz?

— Na rekonesans.

— To niby co? na bitwę?

— Może na bitwę, a może nie.

— To nie całe wojsko pójdzie?

— Na rekonesans całe wojsko nie chodzi.

Nie wiele z tego wszystkiego Walek zrozumiał ale nie było czasu na rozmowę dalszą, bo nadszedł pułkownik Krzycki i głosem donośnym mówił:

— Kapitanie Luke, pójdziesz mi waćpan z tymi ludźmi do Korytnicy i zasięgniesz języka, rozkazuję! Maszerować pan kapitan masz na Kłoczów, gdzie podobno kozaki się pokazali, i jutro o dziesiątej godzinie najpóźniej, żebyś mi pan kapitan był zpowrotem. W marszu zachowywać masz ostrożność i baczność jak w obliczu nieprzyjaciela. Języka żebyś mi waćpan koniecznie przywiózł. Taki jest ordynans Naczelnika. Niech pana kapitana Pan Bóg prowadzi i abyś szczęśliwie i cało wrócił. Do widzenia!

To rzekłszy, skłonił się po wojskowemu i szybko się oddalił.

— O laboga! — pomyślał sobie Walek — do Korytnicy, a tam przecież są kozaki. Mordka z Żelechowa gadał, że burmistrza na rynku batożkami obili i wszyćkie pierzyny żydom popruli. To na kozaków mamy iść? ano, raz kozie śmierć, co będzie to będzie!

Zjawił się też sierżant Maciej Kawka we wściekłej czapie na głowie, z kosą w ręku i gadał kosynierom:

— Uszy do góry, bo pyski będą w robocie. W Kłoczowie napijemy się gorzaliny i będzie nam raźniej. Brrr! psie zimno.

Ale już kapitan Luke siadł na konia, którego kazał sobie podać i komenderował by kawalerzyści z kawalerji narodowej ruszyli przodem. Za nimi zaraz poszedł sier-

żant Maciej Kawka z grenadjerami krakowskiemi, a po nich dopiero kompanje piechoty z pułku jenerała Czapskiego. Wszystkiego było może ze trzystu ludzi.

Dopóki szli przez obóz, szeroko rozłożony około Okrzei, było jeszcze jako tako widno od ognisk obozowych, tu i ówdzie już gasnących co prawda, ale zawsze blask rzucających. Za obozem ogarnęła ich noc taka ciemna, że na dwa kroki przed sobą nic nie było widać. Wicher wył przeraźliwie i zimno dokuczliwe przenikało wszystkich do kości. Kapitan Luke jeździł ciągle od początku kolumny do jej końca i napominał by się trzymano kupy, bo lękał się, żeby w ciemności nie rozerwały się szeregi. Maszerowano dość szybko, a że droga była piasczysta i męcząca, więc ludzie prędko się rozgrzali i mniej smutnie na tę wyprawę patrzyli. Koło północy, wiatr ustał i niebo się z chmur oczyściło, tak, że gwiazdy było widać i jaśniej stało się na świecie i wziął przymrozek. Dobito się też niebawem do Kłoczowa, wsi dużej i zamożnej niegdyś, teraz przedstawiającej obraz straszliwego zniszczenia. Wszystkie chałupy wiejskie i dwór były spalone i głownie tu i ówdzie jeszcze tlały i ciężkie, cuchnące dymy, unosiły się leniwie ponad wsią. Żywej duszy w niej nie było, tylko natknięto się na pół spalone zwłoki kobiety, i mnóstwo psów i kotów pomordowanych! Gdzieś jednak psisko jakieś ocalało, bo wyło ponuro, a wśród ciszy nocnej posępne to wycie rozlegało się dokoła i jakąś smętność budziło. Zatrzymano się tu na chwilę, a sierżant Maciej Kawka gadał do swoich:

— Myślałem, że się napijewa w Kłoczowie gorzałki, bo palili ją tutaj, ale te zbóje, widzę, do cna wszystko zniszczyli.

Stano wśród dymiących zgliszczy, wsłuchiwano się w ponure wycie psa, a kapitan Luke, nakazał wielką ci-

chość i gdzieś kawalerzystów wysłał na zwiady, a do żołnierzy pułku jenerała Czapskiego gadał:

— Obejrzeć skałki, podsypać prochu na panewki i być w gotowości.

W dręczącym niepokoju, wszyscy mając natężony słuch, stali na drodze wśród tych ruin i zniszczenia, może ze dwa pacierze, gdy nagle rozległ się tętent koni i przed kapitana Luke, kawalerzyści narodowi przyprowadzili jakiegoś dygocącego ze strachu człeczynę.

— Znaleźliśmy go — mówili — wałęsającego się koło spalonego dworu.

Przy nikłym blasku gwiazd i gorejących głowni spalonej wsi, widać było tego człowieka, z gołą rozwichrzoną głową, w świtce parcianej i w jednym bucie na nodze. Stał i głośno zębami dzwonił z zimna i ze strachu.

— Ktoś ty? — spytał gniewnie kapitan Luke.

— Ja... ja... wielmożny panie... ja jestem karbowy tutejszy.

— Coś tam robił koło dworu?

— Kole dworu? kole dworu, ja nic nie robiłem...

— Jakto? przecie cię tam znaleziono?

— Nie kole dworu... nie wielmożny panie... ale kole czworaków.

Odzyskał trochę przytomności, przestał dzwonić zębami i mówił, że mieszkał w czworakach, a widząc, że kozaków już niema we wsi, przemknął się z lasu sąsiedniego, żeby zobaczyć, czy z jego dobytku co nie ocalało.

— A gdzież ludzie są ze wsi?

— *Wszyscy wielmożny panie z dusza uciekli do lasu przed podłemi kozakami.*

— Dawno tu byli kozacy?

— Co ma być dawno? Zara na odwieczerz wpadła ich straszna chmara i nuż ludzi zabijać, bydło, świniaki, kury

i gęsi rzezać, chałupy rabować... kto mógł to uciekał z duszą, a i tak pono zabili kilka kobiet.

— A dziedzic gdzie jest?

— Ej, dziedzic jeszcze przedwczoraj stąd uciekli, słyszę do Ryk.

— A któż został we wsi?

— Ano któż, okumen, ja i gospodyni...

— Gdzie oni są?

— Gdzie są? ano w lesie. Okumona batogami tak sprali, że mu okumonowa komarowem sadłem plecy smaruje w boru.

— Dużo było tu kozaków?

— Straśna moc.

— Iluż naprzykład?

— Czy ja wiem, może stu, może tysiąc. Rozleciało się to psiarstwo po calusieńkiej wsi i nuż brewerje wyprawiać. Ja im się tu wielmożny panie nie przypatrywałem, jeno chyciwszy Jacusia pod pachę, krzyknąłem na moją kobietę: uciekajwa do boru! I Pan Jezus dał, że nas nie obaczyli i w boru się schowaliśmy. A tera przyszedłem obaczyć wedle mego dobytku, kiej mię żołnierze wielmożnego jednerała capnęli. Ale ja ta nic krzyw nie jestem.

— Dawno kozacy stąd wyszli?

— Co ma być dawno. Niedawno.

— No przecie, kiedy?

— Musi, baczę, z godzinę będzie, a może mniej, czy ja wiem...

— W którą stronę poszli?

— A w którążby? do Korytnicy.

— Na pewno to wiesz?

— Jużcić wielmożny panie, przysiącbym nie przysiągł, ale gadała okumonowa w boru, kiej przywlokła się ze swoim mężem, którego kozaki straśnie sprali, że jęczał, aż markotno było słuchać, że ju kozaki poszli do Koryt-

nicy. Ja też co robiący, rzekę do mojej kobiety: kiej tak, to skiknę do czworaków obaczyć wedle dobytku, ale cóż... nic nie zastałem, jeno spaleniznę. O! nieszczęście i tylo.

Nic więcej od niego dowiedzieć się nie można było. Chłop był nierozgarnięty, oprzytomniawszy, przyszedł do siebie od strachu, widząc, że mu nie grozi żadne niebezpieczeństwo, myślał tylko o swoim dobytku i użalał się na nieszczęście, jakie go niezasłużenie spotkało.

— Miałem ci wielmożny panie — gadał — krowinę godną, pół garnca mleka dawała, miałem świniaka, grochu trzy korce, kapusty dwie beczki i innego dobytku. Pan Jezus dał, a tu wszyćko przepadło. Przyńdzie człekowi z kobietą i dzieciakiem z głodu bez zimę umrzeć! I za co? com ja komu krzyw?

Kapitan Luke kazał go kawalerzystom odpuścić, a sprawiwszy i poleciwszy im baczność i cichość, wyruszył dalej. Przesunięto się przez tlejącą jeszcze ciągle wieś, wśród cuchnącego dymu, potykając się co chwila, to o potrzaskane sprzęty, to o zabite psy. Pierze wyprute z pieszyn i poduszek unosiło się dokoła niby płatki śniegu, a pies, gdzieś na zgliszczach jakiegoś domostwa wył nieustannie, jakby się skarżył temu spokojnemu gwiaździstemu niebu na to zniszczenie i na tę ruinę. Na końcu wsi, na ogorzałej belce spalonego domu wisiał na sznurku trup jakiegoś człowieka, i chwiał się jak białe widmo za najlżejszem podmuchem wiatru.

Wszystko to przygnębiająco oddziałało na żołnierzy, w wielu jednak obudziło dziką chęć zemsty.

— No! — mruczał sierżant Maciej Kawka — tera chłopcy nikomu nie dawać pardonu, jeno kosą bez łeb, choćby molestował i klął się na wszystko. A szelmy, a rakarze, tyle niewinnych dusz zatracić. Żeby was!...

Ale kapitan Luke, który teraz ciągle jechał tuż koło

kosynierki krakowskiej, usłyszał rozmowę i groźnie krzyknął:

— Milczenie tam! a kto będzie gadał, tego jak psa obwiesić każę!

Więc mroczne, ponure milczenie zapanowało w szeregach i słychać było tylko skrzypienie piasku pod nogami ludzi i koni. Wszyscy wyszedłszy na wieś, raźniej odetchnęli świeżem, rześkiem powietrzem pól, bo we wsi cuchnący dym, dławił piersi a straszny obraz zniszczenia cichej, dostatniej przed chwilą siedziby ludzkiej, przygnębiająco oddziaływał na żołnierzy.

Tak posuwano się naprzód przez jakiś czas, dość długi, bo Walek spojrzawszy na niebo, widział, że Wielki wóz dobrze już przechylił się ku północy, gdy w dali ujrzano coś czerniejącego, a wśród tej czarności, świeciły okna niby oczy jakiegoś zwierza. Kapitan Luke patrzył, patrzył, a nakoniec zapytał:

— Czy niema tu kogo, coby znał te strony?

Więc Walek Kłonica wysunął się i rzekł:

— Ja, panie kapitanie.

— Co to tam tak się świeci?

— To pewnikiem karczma. Czerwona karczma, jak ją przezywają. Siedzi tam w niej pachciarz Mosiek.

— A daleko jeszcze do Korytnicy?

— Będzie milka.

Tedy kapitan kazał stanąć i wysłać przodem kilku kawalerzystów ku Czerwonej karczmie.

IV

Znowu zatrzymano się na drodze w szczerem polu, tylko las zdala czerniał i od niego szedł szum głuchy. Noc była zresztą cicha, wygwiażdżona i przymrozek brał coraz ostrzejszy. Koło drogi sterczało kilka rosochatych wierzb, które w ciemnościach wyglądały jak jakieś potworne istoty o licznych ramionach. Wszyscy stali z oczami wlepionemi w błyszczące w oddali okna karczmy, w niepokoju, jaki zawsze budzi w duszy ludzkiej poczucie blizkiego a nieznanego niebezpieczeństwa. Kawalerzyści pojechali i nie widać ich było długo, a kto miał dobre oczy, mógł dostrzec jak koło oświeconych okien karczmy przesuwały się jakieś cienie, znikały i znowu się pojawiały. Ale pozatem od tej karczmy żaden odgłos nie dochodził i pewną było rzeczą, że kozaków tam niema. Kapitan Luke kręcił się niespokojnie na koniu, co chwila wybiegał na czoło kolumny, słuchał, pochylał się ku kulbace, wpatrując się w ciemności, to znów wracał do kosynierów i widocznie niespokojny był bardzo.

Nakoniec wysłani kawalerzyści wrócili, donosząc, że koło karczmy nieprzyjaciela niema, że był tam przed półgodziną może, ale pognał zaraz ku Korytnicy. W karczmie nic nikomu złego nie zrobili, tylko jak zapewnia żyd karczmarz, wszystką mu wódkę wypili.

Podoficer, który ten podjazd prowadził, mówił:

— Co prawda, panie kapitanie, dziwnem mi się wydaje, dlaczego żydom nic nie zrobili, skoro wieś zgoła niewinną,

spalili i ludzi pomordowali. Żyd jest zamożny, świeczniki ma ze srebra, a w komorze betów pod powałę. Widzi mi się, że on jest w jakichś konszachtach z nieprzyjacielem.

Kapitan Luke wysłuchał tego w milczeniu, chwilę pomyślał i rzekł:

— Obaczymy!

Zaraz też zakomenderował, by ruszano dalej.

Karczma, zwana Czerwoną, pewno dlatego, że z cegły nietynkowanej była zbudowana i dachówką karpiówką kryta, tworzyła budynek długi i silny. Dzieliła ją na dwie połowy sień duża i szeroka, zamykana na bramę z dębowych bali, mocno okutą i gęsto bretnalami nabitą. Z sieni tej po lewej ręce dwoje drzwi wiodło do izby karczemnej i do mieszkania karczmarza, z prawej były stajnie, obory i komórki na różne sprzęty gospodarskie. Wszystko to było obszerne, duże i na urząd zbudowane. Z poza wysokiego dachu, z tyłu, widać było gałęzie paru wysmukłych topoli i innych drzew, a od strony drogi był plac duży i pusty zupełnie, pełen śmiecia i gnoju.

Gdy kapitan Luke zbliżył się do karczmy ze swoją kolumną, panowała tu martwa cisza, jeno z dwóch okien błyszczało czerwone światło, od którego odblask padał na dziedziniec i iskrzył się w kałużach brudnej wody, cienką warstwą lodu pokrytej, bo przymrozek coraz silniej chwytał. Po niejakim czasie dopiero gdy już cały oddział stanął na placu, otworzyły się drzwi od izby i w bramie stanął wysoki żyd z czarną brodą i dzierżąc latarkę w ręku, podniósł ją do góry, żeby zobaczyć lepiej przybyłych.

Kapitan Luke podjechał do niego i spytał:

— Tyś karczmarz?

— Ja.

— Kozacy tu byli?

— Byli. Dlaczego oni nie mieli być? oni wszędzie tera są.

— Dużo ich było?

— Ja ich nie rachowal, może sto, może dwieście, czy ja wiem! ja ich nie rachował. Niech ich djabeł porwie! uni mnie wszystką wódkę wypili, grosza nie zapłacili, a ich starszy to Ruchlę bez plecy batem tak zdzielił, co ona teraz stęka i w łóżku leży.

— Dokąd poszli?

— Dokąd poszli? albo to óni mnie powiedzieli? óni tą drogą, do Korytnicy poszli, a może i nie. Skąd ja mam wiedzieć, dokąd óni poszli. Albo to óni mnie powiedzieli?

— Więc w Korytnicy jest nieprzyjaciel?

— W Korytnicy? a skąd ja mam wiedzieć? ja tam nie był.

— Ale słyszałeś zapewne o tem?

— Skąd ja miał słyszeć? ja nic nie słyszał. Óni tu ciągle latają jak psy. Wielmożny jednerał i te wojaki idą od Kłoczowa, to wiedzą lepiej jak ja. Óni, te kozaki, niech ich djabeł porwie, przyszli tutaj od Kłoczowa.

— Ale ja się pytam czy w Korytnicy stoją?

— Może i stoją, ja nie wiem.

— Łżesz, żydzie musisz wiedzieć, skoro gadasz, że ciągle się tu kręcą.

— Skąd ja mam wiedzieć? żebym ja tak zdrów buł, jak nie wiem. Kiedy óni od Korytnicy tu latają, to muszą być w Korytnicy, ale ja nic nie wiem.

Żyd co chwila podnosił w górę latarkę i kierował z niej światło na stojące w milczeniu szeregi, jakby się chciał przekonać o ich liczebności, kręcił się niespokojnie, oglądał się i wreszcie rzekł:

— Ny, niech wielmożny pan spocznie u starego Mośka. Mróz bierze. Óni, te kozaki wypili wódkę, żeby ich djabeł porwał, ale ja dobrze schował stary miód i óni go nie znaleźli. Ce! ce! jaki miód, ja go kupił na bezrok od jasny pan z Maciejowic. Ón, ten miód to samo zdrowie. Niech

wielmożny jednerał zejdzie z koń i napije się tego rarytas miodu. Ja nic nie chcę, żadnej zapłaty, ja daję z dobre serce, żeby się naszym wojakom szczęściło. Ciężkie czasy, aj waj! jakie ciężkie czasy, żeby mój nieprzyjaciel miał takie ciężkie czasy zawsze. Ny, niech wielmożny jednerał z koń zejdzie i napije się tego rarytas miodu, ce! ce! to samo zdrowie, to samo życie ten miód.

Cmoknął głośno ustami i zapraszał usilnie kapitana, by zeszedł z konia i spróbował tego „rarytas miodu". Ale Luke nie dał się skusić, tylko pytał:

— Dawno stąd poszli kozacy?

— Dawno? Dlaczego ma być dawno? óni całkiem niedawno poszli.

— Więc jeszcze nie dojechali do Korytnicy?

— Skąd ja mogę wiedzieć czy óni dojechali do Korytnicy, czy nie. Ja tego nie wiem.

— Ej, żydzie ty mi coś kręcisz.

— Po co ja mam kręcić? dla czego ja mam kręcić? ja wszystko sprawiedliwie mówię co wiem, a czego nie wiem, to jak ja mam mówić? Na moje sumienie, ja wszystko panu jednerałowi powiedział, co wiem.

— Nie wiesz, czy w Korytnicy jest piechota nieprzyjacielska?

— Piechota? to niby takie sałdaty, co bez kóni chodzą?

— Tak.

— Ja nie wiem. Ja w Korytnicy ju dwie niedziele nie był, to skąd ja mam wiedzieć czy tam są takie sałdaty bez kóni. One może i są, a może nie, skąd ja mam wiedzieć? Oo, niech wielmożny jednerał napije się tego rarytas miodu...

I obracając się wgłąb sieni zawołał:

— Berek, gib a flaszkę miód.

Stojący w milczeniu żołnierze z pewną niecierpliwością słuchali tej rozmowy swego komendanta z żydem karcz-

marzem, i dziwili się jej bardzo. Żyd widocznie kręcił i pragnął zatrzymać kolumnę, może dlatego żeby kozacy ujść zdołali. Wielu też szeptało, żeby żyda wziąć i batogami z niego prawdę wydusić, nawet jeden z oficerów kawalerji narodowej, stary wyga Zawadzki nazwiskiem, co jeszcze czasu wojny siedmioletniej wojował u regenta pruskiego, zbliżył się do kapitana i głośno zawołał:

— Przypiec hyclowi żydowi pięty, a zaraz wszystko wyśpiewa. Łże szelma aż się kurzy za nim. Co się tu z nim w rozmowy wdawać!

Ale kapitan Luke był innego zdania. Groźnie ofuknął Zawadzkiego, mówiąc:

— Do mnie mości panie należy komenda, a waść ruszaj do szeregu i nie wściubiaj nosa, tam gdzie niepotrzeba.

Zawadzki mruknął coś niechętnie i odjechał do swoich jeźdźców, a kapitan Luke nie pytając już o nic żyda, któremu właśnie młody Berek, żyd pejsaty i w pantoflach, przyniósł omszoną butlę miodu i szklanicę, zakomenderował by ruszono dalej. Ledwie atoli przebrzmiała ta komenda, gdy nagle dał się słyszeć tętent koni, a zaraz potem zagrzmiał strzał jeden i drugi, i pisk i wycie, jakby zgłodniałych wilków, donośnie rozlegające się w ciszy nocnej i powtarzane przez echo... Towarzyszył im tętent rwących naprzód koni, świst kul i dziki krzyk:

— Ura! ura!

I przed oczami zdziwionego podjazdu polskiego, skamieniałego z przerażenia, nagle w czerwonym odblasku, padającego z okien karczmy światła, ukazały się na krótką chwilę spisy kozackie, brodate twarze w ogromnych kołpakach, by znów zniknąć w ciemnościach nocy, a strzały wciąż grzmiały i pisk i wycie i krzyk dziki: ura! ura! W jednej chwili kawalerja narodowa, która stała na czele kolumny, i na którą naprzód zwalił się napad kozacki,

pierzchła w szalonym popłochu: napróżno stary wyga Zawadzki rozpostarł ręce i krzyczał:

— Stać mości panowie! stać!

Porwany wichrem ucieczki przypadł do kapitana Luke z gołą szablą w garści i wrzasnął:

— Oto masz mości komendancie rozmowy twoje z żydem zdrajcą!

Kapitan Luke nic na to nie odrzekł, tylko spiął konia ostrogami i głosem donośnym, ale spokojnym zakomenderował:

— Batalion, ognia!

Kompanje regimentu jenerała Czapskiego, starzy żołnierze, nie pierzchnęli w popłochu, jak to uczyniła kawalerja narodowa, dotrzymali placu, ale zmieszani nagłym napadem usłuchali wprawdzie rozkazu swego komendanta i dali ognia, ale bezładnie w nieporządku na chybił trafił. Najgorszem było to, że w ciemnościach nocnych, tutaj pod karczmą dzięki kilku samotnie rosnącym wierzbom, nic nie było widać, oraz, że zaraz za karczmą poczynał się las, w którym zapewne nieprzyjaciel się ukrywał, bo z tamtej strony padały strzały i rozlegały się wrzaski. Przytem oświecone okna w karczmie stanowiły wyborny cel, to też niebawem wszystkie szybki w nich z trzaskiem popękały i z brzękiem powypadały od gradu kul na nie się sypiących.

Kapitan Luke tymczasem, widocznie miał zamiar uderzyć na ukrywającego się w ciemnościach i w lesie nieprzyjaciela, ile że pewny był jak i wszyscy, że ma do czynienia z samem płochliwem kozactwem, bo rozkazywał:

— Batalion formuj się!

A przypadłszy do zbitej w kupę kosynierki, krzyknął:

— Chłopcy! grenadjerzy naprzód!

Ale tutaj, bo kosynierka stała wprost oświeconych okien karczmy i na jej kosy i ludzi padał odblask od tych-

że okien, kule poczęły gęsto padać i ten i ów runął na ziemię z głośnym jękiem:

— O laboga!

Przerażoną tę gromadę, skotłowaną i zbitą w sobie, trudno było poprowadzić naprzód. Wprawdzie sierżant Maciej Kawka, biegał między nimi i waląc pięścią lub tylcem drzewca od kosy po łbach i karkach, wołał:

— Stać! formuj front!

Ale zrazu wszystko to było napróżno. Jednakże powoli dzięki usiłowaniom sierżanta i Rędziny, kosynierka zaczęła się szykować, gdy nagle od tyłu i z boku, od strony Kłoczowa, od którego szedł rekonesans, rozległa się donośna komenda:

— *Pierwaja rota w pierod! pli!*

I zaraz potem zagrzmiały strzały i taki grad kul się posypał, że zdawało się, iż noga ludzka stąd nie wyjdzie. Na szczęście większość pocisków poszła górą i dudniła po dachu i ścianach karczmy.

— Otoczyli nas! ratuj się kto może! — rozległ się nagle wrzask.

I Bóg wie jaki byłby rezultat tego okrzyku, bo nagle zachwiały się kompanje Czapskiego i gromadka kosynierki, gdyby nie jednoczesne rozkazy kapitana Luke i Maćka Kawki:

— Stać! stać! nie uciekać!

— W łby będę strzelał, kto ośmieli się uciekać! — wołał kapitan Luke — a zaraz potem rozkazywał:

— Do karczmy! wszyscy do karczmy!

Wszystko co żyło rzuciło się do rozwartych na ścieżaj wrót w bezładnej masie, gniotło się, popychało i była taka chwila, że sparli się tak, iż ani naprzód, ani w tył ruszyć się nie można było. Całe szczęście, że było ciemno i nieprzyjaciel tego dostrzec nie mógł bo by straszną rzeź sprawił. Nakoniec przewaliła się ta gromada spłoszonych lu-

dzi, zawarto wrota i zatarasowano je mocno, a do izby karczemnej wpadł pierwszy stary wyga Zawadzki i szablą pogasił świeczki szabasówki na stole pod oknem, a potem porwawszy konew z wodą, stojącą podle komina, lunął nią na ogromne ognisko gorejące na cyganku i światło ugasił. Zrobiło się ciemno, a już kapitan Luke, zawsze swym spokojnym głosem, rozkazywał:

— Grenadjerzy pilnować mi wierzei z obu stron sieni! Maciek, ktoby popłoch siał, łeb mu utnij, rozkazuję! A wy chłopcy — zwrócił się do żołnierzy z regimentu piechoty — stanąć w oknach i strzelać, a dobrze mierzyć, jak tylko kogo obaczycie i prochu na próżno nie psuć. Wytrzymamy i nie damy się chłopcy! Niech żyje Polska!

Słowa te ożywiły wszystkich i zagrzmiał potężny odzew na okrzyk kapitana.

— Niech tam kilkunastu — rozkazywał dalej kapitan — wlezie na strych i z dymników pali. Wytrzymamy, tylko patrzeć jak nam dadzą pomoc z obozu, byle jeno nieprzyjaciela blizko do karczmy nie dopuścić.

Zaraz zrobił się ład i porządek, choć kule po ścianach i po dachu dudniły jakby gęsty grad padał i straszne wrzaski: ura! ura! nieustannie się rozlegały. Ale już w tę, przed chwilą spłoszoną, zmartwiałą i przerażoną gromadę, wstąpił duch odwagi męskiej i rzeźka pewność siebie i chęć upartej obrony. Maciek Kawka zakrzątnął się ze swymi kosynierami i obie bramy od sieni od przodu i z tyłu zatarasował czem było, beczkami, żłobami, gratami żydowskiemi z karczmy. Krzątał się i gadał do swoich wojaków:

— A hycle, chcieliśta uciekać, czekajta, jeno się ta zawierucha uspokoi, co drugiego będę kładł i rznął baty, aż mu się rodzona babka przyśni. Tacyście to żołnierze, takie wojaki! wam kluski gotować i w babskich spódnicach chodzić, a nie wojować. Czegój stoisz i rozdziawiłeś gębę — wrzasnął na jakiegoś kosyniera — marsz mi pod

wierzeje i podeprzyj je plecami, bo ci łeb kosą, zatraceńcze jakiś, utnę!

Już też koło okien i na strychu ustawili się żołnierze z piechoty i powoli, z rzadka strzelali, tylko tam skąd ogień błysnął. Za radą bowiem kapitana Luke tam mierzyli, skąd szły strzały, które zdradzał blask nagły i krótki ogień, sami kryjąc się starannie. Mimo to od czasu do czasu kule nieprzyjacielskie wpadały przez okno z głuchym świstem do środka karczmy, ryły się w ścianę przeciwległą, tłukły butelki i szklanki na szynkwasie i paru ludzi raniły a nawet zabiły. Stary wyga Zawadzki wpadł do alkierza, skąd dobywały się jęki i płacz i krzyki:

— Aj waj mir! aj waj mir! o joj! o joj!

I przedewszystkiem krzyknął na Ruchlę, leżącą w betach z bachorkami, by była cicho i zgasił tu także świeczki. Z tej strony strzały nie padały i okno było całe, widocznie nieprzyjaciel nie otoczył dokoła karczmy. Zrobiwszy tę obserwację pan Zawadzki, otworzył okno, wyjrzał na zewnątrz i nadsłuchiwać począł, nic jednak nie słyszał i nie ujrzał. Z tej strony dawniej był sad, czy coś podobnego, bo sterczało kilka topoli wysmukłych i innych drzew, a w dali czerniał las. Niebo było czyste, ciche, spokojne, pełne migocących gwiazd, a po ich tlejącym blasku pan Zawadzki wywnioskował, że za parę godzin będzie świtać.

Bóg wie, czy lepiej żeby była noc, czy dzień! — mruknął! — ano, bronić się trzeba a będzie co Bóg da.

To rzekłszy przymknął okno, krzyknął groźnie na Ruchlę, żeby była cicho i przez drzwi prowadzące do sieni, wyszedł. Tu natknął się na Walka Kłonicę, który oparty o ścianę stał, niemogąc jakoś oprzytomnieć po tem wszystkiem co dotąd widział i słyszał, i któremu dudnienie kul po dachu, huk strzałów, wrzawa boju, taki zamęt w głowie sprawiły, że nie wiedział czy mu to wszystko się śni, czy też dzieje się na jawie.

Pan Zawadzki zbliżył się do niego, popatrzał, o ile mógł co zobaczyć w ciemności, i spytał:

— Co ty tu robisz?

— A nic — odrzekł Walek.

— Ty co jesteś? kosynier?

— Tak.

— Chodźno za mną!

Walek machinalnie poszedł za nim, bo zresztą nie miał tu co w sieni robić i zimno tu było. Zresztą widział srebrzące się szlify na ramionach pana Zawadzkiego, a przywykły do słuchania starszych od siebie, nie myślał się opierać.

Pan Zawadzki poprowadził Walka do okna i rzekł:

— Widzisz to okno?

— A widzę.

— Stań mi tu kołkiem i baczność daj na ten oto ogród. Gdyby się kto do okna podsunął, to go kosą przez łeb. Rozumiesz?

— Rozumiem, jeno jakże ja bez okno będę kosą w łeb walił.

— Prawda, masz rację. Otwórz okno, wychyl się i uważaj. Ja ci tu zaraz przyślę towarzysza ze strzelbą. Zawdy lepiej we dwóch jak samemu. Prawda?

— Juścić, że prawda.

— No! czuj duch! a baczenie pilnie daj.

I wyszedł, a zaraz potem przysłał Walkowi żołnierza z regimentu jenerała Czapskiego z karabinem. Ten przyszedł, potknął się w ciemności o jakiś grat, zaklął mocno i zbliżywszy się do okna, rzekł:

— Co ty jesteś? kosynier?

— Kosynier.

— I pilnujesz tego okna?

— A ino. Kazali pilnować, więc pilnuję.

— Pilnujże! z tej strony wszystko spokojnie, to ja

sobie legnę i spocznę, bom zmęczony. Tu widzę alkierz żydowski. A co się tam rusza?

— Żydówka.

— Aha! aleśmy wpadli w matnię, jeżeli nam z Okrzei nasi nie dadzą pomocy, zginęliśmy. Pilnujże, a ja żydówicę z betów wyrzucę i sam se spocznę.

Ruszył do łóżka, ale Ruchla i bachory taki krzyk podniosły, że się cofnął, a Walek rzekł:

— Nie godzi się panie żołnierzu chorej żydówki i dzieciaków wyrzucać na zimno. Chocia to żydzięta, ale zawdy nie godzi się.

Żołnierz nic na to nie rzekł, jeno namacał starą kanapę w kącie, położył się na niej gadając:

— Cichaj żydy, bo was zakłuję jak szczenięta.

Żydzięta ucichły, a zaraz po tem rozległo się donośne chrapanie żołnierza.

V

Tymczasem walka wrzała dalej. Strzały nie ustawały ani na chwilę, kule ciągle dzwoniły po ścianach karczmy i jej dachu, acz skutek z tego był żaden, bo w ciemnościach nocy, nie można było mierzyć i strzelano na chybił trafił. Obie strony walczące zrozumiały to dobrze i dla tego przestano tak gęstego jak pierwotnie ognia, utrzymując wolniejszy ale ciągły. Niepokoiło to mocno kapitana Luke:

— Co to znaczy? co nieprzyjaciel zamyśla? — mówił on do siebie. — Przecie niepodobna by nie wiedział, że nasi obozują w Okrzei, że po nocy słychać tam strzały, że wreszcie zbiegli kawalerzyści doniosą Naczelnikowi o wszystkiem i on mi pośpieszy z pomocą, że dla mnie wygrać na czasie, to znaczy zwyciężyć.

Niepokoił się więc bardzo, bo przypuszczał, że nieprzyjaciel o tem wszystkiem wie doskonale i jeżeli przedłuża walkę, to z pewnością dla tego, że przygotowuje polskim wojownikom jakąś krwawą niespodziankę. Chodził więc kapitan między swymi żołnierzami, nakazywał wielką baczność, wdrapywał się nawet na dach, patrzał, słuchał, ale oczywiście w nocy nic zobaczyć, a wśród nieustannego huku strzałów, nic słyszeć nie mógł. W tem przekonaniu, że nieprzyjaciel gotuje coś tajemniczego a niebezpiecznego, utrzymywał kapitana, stary wyga Zawadzki.

— Na co oni czekają? — pytał — oni chyba coś knują. Znam ja ich jeszcze z czasu wojny króla pruskiego Fry-

deryka. Chytry to naród i przebiegły. Ale co knują? W tem sęk mosanie.

Kapitan oczywiście nic na to odpowiedzieć nie mógł, zwłaszcza, że sam takie przekonanie żywił i chodził i chodził i nasłuchiwał jeszcze niespokojniej i baczność wielką zalecał.

W alkierzu żydowskim wśród tego wszystkiego, żołnierz z piechoty jenerała Czapskiego, chrapał aż miło, nie zważając na huk strzałów, spokojny jakby wśród największego bezpieczeństwa, Ruchla w betach z bachorami stękała przerażona mocno, a Walek Kłonica stał z kosą przy otwartem oknie i czuwał. Ale jeżeli zrazu przy nikłym blasku gwiazd, rozróżniał wzrokiem niektóre przedmioty, drzewa i krzaki ogrodu za karczmą, to powoli zauważył, że się coraz czarniej robi na świecie, stąd wyprowadził wniosek, że świt już niedaleki, co go cieszyło, bo te ciemności przykrzyły mu się i radby już ujrzeć jasność dnia białego. Z tej strony karczmy jednak było zupełnie cicho i spokojnie. Nic się nie poruszało, tylko liście na drzewach, ścięte wczesnym październikowym przymrozkiem od czasu do czasu z szelestem spadały. Od boru, który doskonale rozróżniał i którego czarne kontury widział na tle jaśniejszem nieba, szedł szum jednostajny i ciągły. Ta cisza, ten spokój, tworzący szczególnego rodzaju kontrast, z wrzawą boju, panującą tam za ścianą, ten szelest liści spadających, ten szum melancholijny, idący od boru, począł oddziaływać na zmęczonego drogą i niewywczasem Walka. Stojąc oparty o framugę okna, uczuł, jak mu się powoli oczy kleją, jak go nieprzeparta senność ogarnia. Walczył z nią jakiś czas, przecierał oczy, wpatrywał się w mętniejące ciemności nocy, ale w końcu uległ i sam nie wiedział, kiedy zasnął. Żołnierz też chrapał gdzieś w kącie, jedna tylko Ruchla stękała nieustannie, jęcząc od czasu do czasu: aj, waj, aj waj mir.

W tym śnie marzyły się Walkowi dziwne rzeczy. Zdawało mu się, że się znajduje w wiosce rodzinnej, w Stryju, w chałupie sołtysa Sikory, że ma się odbyć jego wesele z Basią Sikorzanką, że mają zaraz jechać do ślubu, a on niema na sobie sukmany, zimno mu strasznie, a przyodziewku znaleść nie może. Szuka go wszędzie, wszyscy godownicy się niecierpliwią, ksiądz proboszcz przysłał nawet chłopaka organisty, żeby śpieszyli, bo on czekać nie myśli, a tu sukmany jak niema tak niema i zimno jest coraz większe i dreszcz Walka obejmuje.

Pod wpływem tego dreszczu ocknął się i spojrzał dokoła siebie zdziwiony mocno. Ciemności gęstniały coraz więcej, bór szumiał po dawnemu, liście spadające szeleściały, żołnierz chrapał a Ruchla stękała a strzały, acz rzadkie, grzmiały ciągle. Nic się więc nie zmieniło, tylko wiatr zerwał się i świszczał żałośliwie między staremi topolami ogrodu, co było jednym więcej dowodem, że świt jest blizki. Walek oprzytomniał zupełnie, choć nie mógł sobie zdać sprawy, jak długo spał, ale zapewne dość krótko, bo się czuł zmęczonym i zimno mu było. Przez otwarte okno wiatr wpadał do alkierza, wiatr zimny bardzo, bo przymrozek nad ranem stawał się coraz ostrzejszym.

Spokój panujący z tej strony karczmy, miarowe chrapanie żołnierza świadczyło, że niebezpieczeństwa tu niema żadnego, a przytem Walek, wojak ledwie od wczoraj, nie rozumiał wcale ważności posterunku ani tego po co go tu postawiono i czego kazano pilnować na zimnie, przy otwartem oknie, kiedy z tej strony nieprzyjaciela niema, nikt nie strzela i przychodzić nie myśli. Jeszcze mu się po głowie kłębiły wspomnienia snu niedawnego i jego rozpaczliwe usiłowania, czynione gwoli odszukania zatraconej sukmany. Huk strzałów, odurzający zapach prochu, który wiatr przynosił aż tutaj, świst wichru, chrapanie żołnierza, odurzająco na niego działały. Jeszcze raz spoj-

rzał, na ogród, na drzewa chwiejące się od wiatru i znowu sam nie wiedział kiedy usnął powtórnie.

Tym razem miał sen o wiele przykrzejszy. Zdawało mu się, że się znajduje w lesie Żelechowskim, i ukryty za drzewem, z flintą w ręku, czyha na dzika, jak to nieraz czynił, albowiem kiedy nie furmanił, to polował i ubitą zwierzynę oddawał za kilka groszy Mordce z Żelechowa, który z nią jeździł do Warszawy i na targu sprzedawał. Walek był dobry strzelec, choć flintę miał sznurkami powiązaną i nigdy nie wracał bez zdobyczy. Łyki żelechowskie zabraniały polować w swym lesie i odgrażali się nieraz, że jak złapią Walka, to go do majdeburgii oddadzą i głowę mu uciąć każą na rynku. Ale Walek śmiał się z tego, bo kiedy był w lesie, z flintą pod pachą, to sobie drwił ze wszystkich łyków i ich majdeburgii i wiedział, że go nigdy nie schwycą. Owszem, dla pokazania, że się niczego nie boi, dla dokuczenia łykom, zachęcany zresztą przez Mordkę, który grube ztąd zyski ciągnął, w ostatnich czasach polował w lesie Żelechowskim coraz zawzięciej, zwłaszcza, że na skutek wojny, jaka się toczyła w kraju, zarobki furmańskie zupełnie ustały, bo każdy się bał jeździć lub towary wysyłać.

Otóż teraz Walkowi się śniło, że w lesie Żelechowskim czyha z flintą nabitą na dzika, ukryty za wielkim dębem, a wiatr świszcze i zimno takie, że cały dygoce. Nagle widzi on całe stado dzików, posuwające się ku niemu, słyszy ich chrapliwe chrząkanie, ich ciężki chód, szelest liści pod ich racicami, a strzelać nie może, bo mu się flinta gdzieś zapodziała i uciec niemoże, bo nagle nogi mu tak ociężały, jakby kto po sto funtów ołowiu do nich przywiązał. A niebezpieczeństwo było groźne, bo dziki go spostrzegły i jeden z nich, stary odyniec, leci wprost na niego z ogromnemi kłami, gotów rozpruć mu wnętrzności. W śmier-

telnem przerażeniu, oblany cały zimnym potem, Walek szarpnął się i obudził.

Oszołomiony strasznym snem, który go zmęczył mocno, nie zaraz przyszedł do siebie, ani zrozumiał, gdzie się znajduje. Ale otwarte okno, zkąd mroźny wiatr wiał, regularne chrapanie żołnierza, żałośliwe jęki żydówki, huczące znowu ze zdwojoną siłą strzały i wzmacniające się dzikie okrzyki nieprzyjaciela: ura! ura! powtarzane przez echo, oprzytomniły Walka zupełnie i przypomniały mu gdzie się znajduje i dlaczego postawiono go tutaj. Przedewszystkiem więc spojrzał na drzewa poza karczmą. Za nimi, gdzieś na wschodzie niebo już bielało i na tym tle jaśniejszem, rysowały się mglisto gałęzie topoli i liście ich, miotane wiatrem. Świt był blizki i chłód, jak zwykle nad ranem, wzmagał się coraz bardziej. Bór szumiał donośnie a w głębi ogrodu, pogrążonego w zupełnej ciemności, coś szeleściało i, jak się zdawało Walkowi, jakieś cienie się skradały i głuche, tajemnicze kroki słychać było. Wpatrzył się lepiej, natężył słuch; tak, nie myli się; jakieś widma przemykające się między drzewami, pełzają wolno i ostrożnie ku oknu, przy którym stoi Walek, podnoszą się, przystają na chwilę, by znów, pochyliwszy się nizko, skradać się dalej. Chłopakowi serce w piersi biło, jakby młotem i przez chwilę rozmyślań nad tem, coby to być mogło, czy go oczy i słuch nie mami, czy nie śni dalej przykrego snu. Ale nie! nie śpi i widzi i słyszy dobrze, i ani chybi, że nieprzyjaciel nakoniec rozmyślił się i nie mogąc dobyć karczmy od czoła, wstępnym bojem, obszedł ją od tyłu, gdzie jak przypuszczał, i słusznie, obrońców nie było, i zamierzał dostać się do niej podstępem. I dla tego to, dla odwrócenia uwagi zamkniętych w karczmie obrońców, rozpoczął na nowo zawziętą strzelaninę od czoła, zdwoił ucichłe już okrzyki: „ura! ura!“, a tym-

czasem część swych ludzi wysłał na tyły, by nieznacznie je opanowali.

Walek wprawdzie tak nie rozumował, ale instynktownie czuł konieczność i potrzebę stawienia oporu zbliżającym się nieznacznie cieniom. Zastanawiał się tylko nad tem, czy wyskoczyć przez okno i z kosą rzucić się na wroga, czy czekać za oknem i pierwszego co się doń zbliży poczęstować śmiertelnym ciosem. Ale zaraz pomyślał sobie, że w ciasnym alkierzu i przez niewielkie okno, takiego ciosu zadać nie będzie w stanie, ani też należycie nie będzie mógł kosą się rozmachać, wyskoczenie zaś przez okno, nie może się odbyć tak cicho, by nie zwróciło uwagi skradającego się nieprzyjaciela i wogóle nie było bezpiecznem, wobec, jak sądził, znacznej liczby pełzających zdradziecko cieni. I tak źle i tak nie dobrze. Stał więc na pół skamieniały z przerażenia i nie wiedział co robić, a cienie były coraz bliżej, coraz wyraźniej słyszał, skrzypienie opadłych liści pod ich nogami. Zimny pot oblał mu czoło.

I w tej śmiertelnej trwodze, jaka nagle Walka opanowała, żałował mocno, że nie miał ze sobą swej flinty sznurkami powiązanej, którą zostawił w lesie Żelechowskim, dobrze ukrytą w wypróchniałej dziupli starego dębu na łączce, zwanej Wilczym dołem. Gdyby ją tu miał, nabitą grankulkami, jak na dziki, dopieroż by godnie poczęstował zdradzieckie cienie! Ale tak rozmyślając, przypomniał sobie, że chrapiący żołnierz z pułku jenerała Czapskiego, przyszedł do alkierza z karabinem i że ten karabin, kładąc się spać, postawił w kącie tuż obok Walka. Dość było wyciągnąć rękę po tę broń, by ją mieć, a Walek nie wątpił, że jest nabitą, bo przecież słyszał, jak kapitan Luke kazał żołnierzom opatrzyć skałki i świeżego prochu na panewki nasypać.

Nie namyślając się teraz Walek schwycił szybko za

karabin, odwiódł kurek, i zmierzył do najbliższego skradającego się cienia i wypalił. Zaraz też rozległ się bolesny krzyk, cień zachwiał się, rękami rzucił i padł. Zrobiło się wśród skradających się straszliwe zamieszanie, zatrzymali się, ten i ów strzelił na chybił trafił i dał się słyszeć rozkazujący głos:

— *W pieriod rebiata! w pieriod!*

Ale rebiata jakoś nie słuchała tego, tylko chwiała się, dreptała w miejscu, a wielu nawet uciekać poczęło.

Walek, jakby strzał przez niego dany, rozgrzał w nim starą krew piastowską, rzucił karabin, który mu już nie był potrzebny, bo nawet nabić go powtórnie nie było czem, (gdyż patrontasz z nabojami, miał na sobie chrapiący ciągle żołnierz) i chwycił kosę i jednym susem wyskoczył przez okno, wrzeszcząc co miał sił:

— Dam ja wam sufragany!

Leciał na kotłującą się w sobie gromadę napastników. Zapewne źle byłby wyszedł na tym swoim zuchwałym czynie, gdyż bądź co bądź, jakkolwiek skradający się nieprzyjaciel, był nieco spłoszony nagłym strzałem Walka, jednakże większość dotrzymała placu, nie posuwała się wprawdzie naprzód, ale i nie ustępowała, choć ten i ów z pomiędzy nich dał heroicznie drapaka. Byłby więc oszołomiony tem wszystkiem chłopak, przypłacił swą śmiałość śmiercią, albo ciężkiem kalectwem, gdyby nie to, że w sieni karczemnej, gdzie stał ze swymi grenadjerami sierżant Maciej Kawka, usłyszano, a może dostrzeżono skradającego się nieprzyjaciela, i w chwili gdy Walek leciał z kosą, wrzeszcząc jak szalony swoje „dam ja wam sufragany!“, rozwarły się z trzaskiem wierzeje i z nich wysypała się, jak rój pszczół, cała najeżona kosami, straszna na blizki dystans, kosynierka. Pod ciężkiemi nożyskami chłopów krakowskich, zadudniała święta ziemia, zagrzmiał potężny okrzyk Maćka Kawki: „Jezus, Marya,

Józef! rąb! siecz!" i kosynierzy jak lawina śnieżna, jak gradowa chmura spadli na skamieniałego z przerażenia i trwogi nieprzyjaciela. Padł jeszcze tu i owdzie strzał! ale niebawem wszystko ucichło, tylko świst kos, tupotanie nogami, ciężkie ciosy więzgnące w miękkiem ciele, jęki głuche i głuchsze jeszcze stęknięcia. Kto mógł z napastników uciekał, i gdyby nie ciemna noc i nie to, że drzewa przeszkadzały rozmachowi długich kos, nogaby zapewne nie uszła. Rozżarci, odurzeni krwią kosynierzy puścili się w pościg za uciekającymi, rozwalili otaczający sadek, płot, na którym poćwiartowali jeszcze kilku nieprzyjaciół, nie mogących przez niego szybko się przedostać, i wypadli na szersze pole. Ale tu sierżant Maciek począł ich zatrzymywać, wołając z całych piersi:

— Stojać! stojać!

Zagrodził drogę rękami i kosą i krzyczał:

— Stojać, kiej mówię, bo w pyski będę prał!

Zatrzymano się przecie, rozgrzani walką kosynierzy poczęli obcierać połami sukman spocone czoła i krwią ociekłe kosy, i rozglądać się dokoła. Świt się już robił, na wschodzie niebo zbielało zupełnie i różowe smugi, zwiastuny wschodzącego słońca, strzelały w górę, gwiazdy przygasły i wróble świergotać zaczynały, a wrony z topoli spłoszone wrzawą walki, gromadą ulatywały kracząc rozgłośnie. Dokoła walały się trupy pobitych nieprzyjaciół, rozlegały się jęki ranionych, unosił się mdły zapach świeżej krwi ludzkiej. Ten i ów z kosynierów ściągał z zabitych buty, plądrował po ich kieszeniach, ale Maciej Kawka szybko zrobił porządek. Krzyczał: „do szeregu!" przyczem nie szczędził razów, tego pięścią w kark, owego drzewcem od kosy przez plecy, jeszcze innego potężną dłonią chwycił za bujną czuprynę i zatargał, aż chłopak wrzasnął i w parę sekund zaprowadził ład. Szeregi się

sformowały, a on chodził przed nimi groźny, gniewny i gadał:

— Słuchać, mówię, kiedy ja nakazuję. Spisaliśta się chwacko, ani słowa, ale przez żadnego porządku i składu. Rzuciliśta się nikiej psy na zająca, narobiliśta jatek, kiej gdybyśta słuchali, mogliśwa wziąć ich wszyćkich do niewoli. Czekajta teraz, jeno wróciewa do obozu, co drugiemu skórę wyłatam, że gwiazdy święte w dzień obaczy. Ja was nauczę słuchać starszego.

To wyrzekłszy odsunął się nieco i rozkazywał:

— Kuba, Grzela, Stach i Sobestjan, wystąpcie naprzód!

Wystąpiło z szeregu czterech wezwanych z rzadką nieco miną, bo byli przekonani, że od nich się zacznie owe łatanie skóry, tutaj zaraz na miejscu, gdy Kawka rozkazywał:

— Podoficer Rędzina weźmie mi tych czterech chłopoków i pozbiera wszyćkie karabiny, giwery i amunicyją z pobitego nieprzyjaciela. Jeno żywo a sprawnie.

A gdy Rędzina z czterema zuchami bardzo rademi temu, że się zawiedli w swem przykrem oczekiwaniu, zabrał się do wypełnienia rozkazu Kawki, ten już komenderował:

— Na lewo w tył zwrot, marś!

I ruszył ku karczmie, gdzie znowu strzały nieco przycichły, jakgdyby obie strony znużone całonocną walką, czekały rozjaśnienia się dnia, by sobie wyraźniej spojrzeć w oczy. A dzień ten szybko się już robił. Blade, mętne blaski ślizgały się już po ścianach i dachu karczmy, drzewa wyraźnie się rysowały a wrony coraz głośniej krakały, unosząc się gromadnie nad pobojowiskiem, zwabione zapewnie oparami świeżo rozlanej krwi... Kawka maszerując na czele swych grenadjerów, nagle zatrzymał się. Wśród kilku straszliwie posiekanych trupów nieprzyja-

cielskich, stał oparty o drzewo Walek Kłonica i ciężko oddychał.

— A ty czegój tu stoisz? — spytał groźnie sierżant.

— Niczego; odpoczywam, bom się straśnie zmachał — odrzekł Walek.

— Widzita go, on się straśnie zmachał!... paniczyk, ślacheckie kadzidło!...

A wpatrując się w Walka, zapytał:

— Ktoś ty jest, bo ja cię nie znam.

— To nowy panie sierżancie — odezwał się któryś z kosynierów — samiście go wczora przywiedli.

— A! to ten... jak się ty nazywasz?

— Walenty Kłonica.

— A kajżeś ty był, bo ja cię w sieni nie widział.

— Postawił mię pan oficyjer przy oknie w alkierzu żydowskim, żebym strzegł karczmy od tej hajwok strony.

— Aha! toś ty strzelał?

— Ja.

— Widzi mi się, że łżesz. Z czegójżeś ty strzelał, kiej niemasz karabina?

— Był ze mną żołnierz, ale se zasnął i chrapał aż się ściany trzęsły. Kiej tedy nieprzyjaciel się pokazał w tym oto sadzie, tom ja chwycił karabin tego żołnierza i strzeliłem.

— To ty umiesz strzelać?

— A umiem.

— Hm! hm! toś ty tak leciał z kosą, kiejśwa wypadli z wierzei?

— A ja.

— No, ani słowa, chwacki z ciebie parobek; ani słowa. Jeno wróciewa do obozu zara złożę o tobie raport pułkownikowi i nagroda cię nie minie. A tera marś do sieregu.

Walek powlókł się do szeregu leniwie, bo czuł się strasznie zmęczonym. Chwilowe napięcie nerwów, teraz

ustało i owładnęło nim zupełne omdlenie. Nie cieszył się wcale przyobiecaną nagrodą, tylko pragnął lec gdziekolwiek, choćby na gołej ziemi i spać, spać.

Przyszli już do karczmy i sierżant Kawka uzbroił zaraz zdobytemi karabinami, które przyniósł ze swymi kosynierami podoficer Rędzina, tych, co umieli strzelać, a między nimi i Walka, ustawił ich w oknie alkierza, i w sieni przy na wpół otwartej bramie i kazał pilne dawać baczenie na ogród, z którego przed chwilą dzielnym atakiem wyparł skradającego się nieprzyjaciela. Dzień się już robił zupełny, blady, mętny, pełen mgły, która leniwie rozwlekała się po polach i zimno było takie, że większość kosynierów dzwoniła zębami, choć w sieni karczemnej było względnie dość ciepło. Wrony i kruki ciągle krakały, gromadami unosiły się nad pobojowiskiem, siadały na wierzchołkach topoli, a nawet niektóre spadały na ziemię i chwytały kawałki skrwawionych ciał poległych.

Od frontu karczmy, teraz przy bladym świetle poranku, walka na nowo się zaostrzyła. Kapitan Luke wdrapał się na strych i przekonał się po natężonym ogniu nieprzyjaciela, że on jest tu w znacznej sile, że dobrze ukryty w lesie rosnącym o kilkanaście kroków z drugiej strony gościńca, zasypuje istnym gradem kul karczmę. Teraz nikt nie mógł pokazać się przy oknach, bo zaraz padał, tak celnie napastnicy strzelali, i już kilku żołnierzy regimentu Czapskiego leżało w izbie karczemnej zabitych, a kilkunastu było rannych. Widział dalej kapitan z dymnika na strychu, że gęsta kolumna piechoty przeszła gościniec i z drugiej strony, od tyłu, gdzie przed chwilą atak kosynierki odparł nieprzyjaciela, szykowała się do napadu. Kule już tutaj gwizdać zaczęły, na które zrzadka odpowiadali, ustawieni przez Maćka Kawkę, strzelcy z kosynierów przerobieni. Po gościńcu w odległości takiej, że ich strzały dosięgnąć nie mogły, uwijali się kozacy, rozwozili rozkazy

i niekiedy pochyleni na koniach, pędem podlatywali z piskiem i wyciem pod karczmę i dawali ognia ze swych janczarek.

W lesie, gdzie ukryta była piechota nieprzyjacielska, zasypująca ulewą śmiercionośnych pocisków nieszczęsną Czerwoną karczmę, widać było duży ruch i kapitan Luke lękał się, czy czasem nieprzyjaciel niezamierza przypuścić ataku i szturmem wziąć jedyne schronienie garstki polskiej. Z utęsknieniem poglądał na drogę do Kłoczowa i Okrzei, czy nie ujrzy czasem odsieczy, która według wszelkiego obrachunku, powinna już była nadbiec. Ale nic nie mógł dostrzec, prócz mgły białej i wilgotnej, kłębiącej się nad całą tą smutną i posępną płaszczyzną. A kule dudniły po dachu i ścianach karczmy, jakby kto groch sypał na miskę, a ratunku znikąd. Ludziom zaczynało brakować amunicji, strzały ze strony polskiej były coraz rzadsze i położenie tej garści straceńców z każdą chwilą stawało się rozpaczliwszem.

VI

Kapitan Luke smutny, ale zrezygnowany bronić się do upadłego, do ostatniego naboju i przewidujący już konieczność przerznięcia się kosą i bagnetem przez otaczającą go żelazną obręcz wroga, miał już schodzić ze strychu, gdy nagle, jakby kto biczem trzasł, ustał szalony ogień ze strony nieprzyjaciela i zaległa na tem pobojowisku, pełnem przed chwilą wrzawy bojowej i świstu kul, martwa cisza, przerywana tylko rzadkiemi strzałami polskiemi z karczmy. Zdumiony tem i uradowany niezmiernie, bo sądził, że nic innego nie spowodowało tego nagłego i niespodziewanego uciszenia się walki, jak tylko ukazanie się odsieczy, skoczył napowrót do dymnika, z którego przed chwilą tęskliwie spoglądał na drogę do Okrzei. Ale na drodze tej podawnemu przelewały się tylko całe płachty mgły porannej i uwijali się kozacy, a upragnionej odsieczy widać nie było. Nie mogąc pojąć co to wszystko znaczy, spojrzał na las, skąd przed chwilą leciała ulewa pocisków i oto co zobaczył.

Przed lasem tym, na ściernisku stał na koniu oficer nieprzyjacielski, w którego złocistym giwerze i szlifach przeglądało się jaskrawe słońce wschodzące i na ostrzu podniesionej do góry szabli trzymał białą chustkę, którą machał ciągle, a obok niego uwijał się żołnierz i właśnie zaczął grać na trąbce, którą trzymał w ręku.

Kapitan Luke patrzał, patrzał, wreszcie szybko począł biec na dół wołając:

— Parlamentarz! nie strzelać! nie strzelać!

Ale już na dole ustały rzadkie strzały, bo stary wyga Zawadzki, który się tam znajdował, dostrzegł także parlamentarza i powstrzymał ogień. Oficer rosyjski wtedy ruszył wyciągniętym kłusem naprzód, a trębacz mu towarzyszący nieustannie wygrywał jakąś przeciągłą melodję, i tak przypadli pod karczmę, w której rozbitem oknie stał już kapitan Luke i czekał co mu powie parlamentarz. Ten zatrzymał konia przed samą karczmą, skłonił się grzecznie po wojskowemu, i rzekł dobrą polszczyzną, acz z akcentem śpiewnym, litewskim:

— Przysłany jestem od majora Workowa, dowódcy, do komendanta polskiego. Czy mogę go obaczyć?

— Ja nim jestem — odrzekł kapitan Luke.

Oficer powtórnie się skłonił i zapytał:

— Z kimże mam honor?...

— Jestem kapitan pułku jenerała Czapskiego, Luke do usług waćpana.

— Bardzo mi przyjemnie poznać tak walecznego oficera. Ja jestem Stanisław Podczaski, porucznik huzarów...

— Mosanie! — zawołał nagle wyga Zawadzki, stojący tuż obok kapitana Luke — to waćpan jesteś Polak, a służysz w wojsku moskiewskiem?

Podczaski zmieszał się nieco, na bladą jego, zmęczoną twarz, wystąpił na chwilę palący rumieniec, ale zagasł szybko. Poprawił na głowie czapki i rzekł tonem chłodnym:

— To do rzeczy nie należy i ani czas, ani miejsce potemu, by o tak drażliwych sprawach rozmawiać. Przyjechałem tutaj do komendanta tej garści walecznych, z propozycją od majora Workowa, aby dla uniknienia niepotrzebnego rozlewu krwi, złożyli broń.

Kapitan Luke, usłyszawszy to, zaczerwienił się mocno, a w jego dużych czarnych oczach błysnął taki ogień, że

Podczaski mimowolnie spuścił wzrok i znowu okrył się rumieńcem.

— Jak? jak? — zawołał Luke głosem drżącym, nie mogąc widać z oburzenia więcej słów wymówić.

Podczaski jeszcze raz swym tonem chłodnym przemówił:

— Major Workow przez filantropję, dla uniknienia zgoła niepożytecznego rozlewu krwi i dla oszczędzenia życia tylu walecznych, proponuje waćpanom zdanie się na łaskę. Jesteście waćpanowie otoczeni i za chwilę, jeżeli nie przyjmiecie podanych wam warunków, nędzna ta karczma będzie wzięta szturmem, a wszyscy jej obrońcy wytępieni do nogi. Radzę waćpanom, jako wasz kompatrjota, przyjąć te warunki. Być może, że oficerom pałasze zostaną zwrócone, ale major Workow bezwarunkowo żąda zdania się w niewolę.

— Milion set!... — zaklął groźnie wyga Zawadzki, ale kapitan Luke dał mu znak ręką, żeby milczał, a zwracając się do niefortunnego posła, rzekł z hamowanym widocznie gniewem:

— Idź waćpan i powiedz swemu majorowi, że bronić się będziemy do ostatniego naboju i do ostatniego żołnierza.

— Jednakże... — zaczął znów Podczaski.

— Idź waćpan do stu tysięcy kul i kartaczy, bo cię każę poczęstować ołowiem jako zdrajcę i zaprzańca! — huknął Luke, nie mogąc powstrzymać już ogarniającego go oburzenia.

Podczaski zbladł śmiertelnie i mimowoli sięgnął ręką do szabli, chciał coś mówić, ale dał pokój. Zawrócił konia i krzyknął:

— A więc gińcie!

I spiąwszy podjezdka ostrogami, pocwałował galopem do swoich.

Kapitan Luke stał jeszcze przez jakiś czas przy oknie i ścigał wzrokiem oddalającego się pędem Podczaskiego, a wargi mu drżały i cały był wzburzony nadzwyczajnie. Przeszło kilka chwil nim uspokoił się zupełnie, a wtedy, zwracając się do żołnierzy, którzy w milczeniu przysłuchiwali się całej rozmowie z parlamentarzem, zapytał:

— Słyszeliście?

— Słyszeliśmy panie kapitanie — odrzekli hurmem.

— A więc chłopcy będziemy się bronili do ostatka, do ostatniego tchu i temu, coby myślał o poddaniu się, palcie w łeb jako zdrajcy. Nabojów oszczędzać, tylko wtedy gdy strzał będzie pewny dawać ognia, a gdyby napadli kolbą ich i bagnetem. Jeno patrzeć jak nam z Okrzei przyjdą z pomocą, a wtedy sprawimy im tu łaźnię. W górę serca chłopcy i niech żyje Polska!

Wybrał najlepszych strzelców i ustawił ich koło okien i na strychu, kosynierom zapowiedział, że gdy nieprzyjaciel ruszy do szturmu i będzie już blizko karczmy, aby nagle rozwarli bramę i wypadli, i na kosy wzięli atakujących.

— Nie damy się chłopcy, niech żyje Polska! — wołał, a po całej karczmie okrzyk ten powtórzony przez paręset piersi, wstrząsał jej ścianami i szeroko rozbrzmiewał po ścierniach, odbił się o bór czarny i konał pod czystem, błękitnem niebem jasnego poranku jesiennego.

Bo po chłodnej i mroźnej nocy zrobił się śliczny, słoneczny dzień, jakim kraj nasz darzy zawsze słynna jesień polska. Złociły się od złocistego słońca rżyska po polach, czerwieniały liście na wielkich gruszach, samotnie po niwach stojących, bór zieleniał igłami sosen i świerków, a nici babiego lata snuły się jak delikatna przędza. Wielka, senna, uroczysta cisza leżała w naturze, sytej burzliwem latem i teraz odpoczywającej w jakiejś głębokiej zadumie. Na niebie wznosiły się tu i ówdzie białe, pierzaste chmurki,

tylko gromady wron i kruków swem złowieszczem krakaniem, zakłócały ten spokój i to rozmarzenie przyrody.

Ale prócz kruków spokój ten zburzony został o wiele groźniejszemi dźwiękami. Zaraz po powrocie Podczaskiego do swoich, rozległo się tam przenikliwe i donośne granie na trąbkach, podających hasła temu oddziałowi, który stał z tyłu karczmy, zawarczały bębny i widać było wśród krzaków w boru gorączkowe ruchy nieprzyjaciela. Co chwila na rżysko przed las wypadali jeźdźcy, pędzili jak strzały w różnych kierunkach i znowu znikali w gęstwinie. Żołnierzom Czapskiego w karczmie, udało się tylko jednego z tych jeźdźców postrzelić, choć każdego ukazującego się na polu zasypywali gradem kul, a i tego, którego trafili, ranili i tylko konia pod nim ubili. Rana nie musiała być ciężką, bo się podniósł z trudem z pod drgającego zwierzęcia i jak szalony w paru skokach uciekł do lasu, brocząc co prawda krwią. Kapitan Luke gniewał się na to marnowanie cennych już, bo nielicznych naboi, i kazał dobrze mierzyć, a najlepiej wcale nie strzelać do pojedyńczych jeźdźców, i oszczędzać ładunków na chwilę stanowczą, która widocznie się zbliżała. Trąbki bowiem grały nieustannie, bębny warczały, głuchem echem rozlegając się po polach, lesie i niwach, dawały się słyszeć rozkazy, a w karczmie wszyscy z wytężonym wzrokiem, z ręką na cynglu karabinów, oczekiwali w dręczącym niepokoju na straszną chwilę ostatecznego szturmu.

Nakoniec chwila ta nadeszła. Z lasu, jak wilków gromada, wysunęła się piechota nieprzyjacielska długą, czarną kolumną, mogącą liczyć około półtysiąca ludzi Przed nią, otoczony świtą oficerów w błyszczących od złota mundurach, jechał na siwo-jabłkowitym koniu, wódz tych żołnierzy, przybrany w piękny, czerwony mundur huzarski, z nagą szablą w dłoni, a po obu jego bokach postępowało po sześciu doboszów i biło werbel do ataku. Je-

sienne słońce polskie iskrzyło się na bagnetach, na złocistych hełmach, szlifach i pałaszach, i odbijając się od nich, oślepiające blaski rzucało do koła.

Wysunęli się na nagie pole, szybko i sprawnie uszykowali w gęstą linję i na skinienie szablą wodza, podnieśli broń do oka, chwilę mierzyli i na raz, jakby z bicza trzasł, dali ognia. Zagrzmiał potężny huk, rój kul zaświstał w powietrzu i padł na ściany, na dach, w okna karczmy, zabijając i raniąc kilku żołnierzy, ryjąc mury, więzgnąc w nich, łupiąc całe kawały tynku i cegły. A po tem jeszcze raz, niby wąż błyskawiczny podniosła się w górę szabla wodza, zaryczało ogromne, dzikie: „ura! ura!“ i cała ta masa ludzi rzuciła się pędem ku karczmie...

Ale tu już kapitan Luke, stojąc na środku izby z szablą w jednej, a pistoletem w drugiej ręce, komenderował spokojnie:

— Ognia! a dobrze mierzyć!

I sto kilkadziesiąt kul wszyło się w gęstą, zbitą masę wroga. Przez chwilę dym zasłonił widok, a gdy opadł, ujrzano w popłochu i nieładzie cofającą się pośpiesznie ku lasowi nawałę wrażą. Piękny, siwo-jabłkowity koń wodza leżał na ziemi, cały zbroczony posoką, a jego pan piechotą biegł, machał szablą i krzyczał ze wszystkich sił: „stoj! stoj! w pieriod!“ Ale niesłuchano go wcale i szukano przed ścigającemi kulami polskiemi schronienia w lesie. Na rżysku walało się kilkadziesiąt trupów, pełzało mnóstwo rannych jęczało głośno, błagając o pomoc towarzyszy.

Atak na tyły karczmy został także walecznie odparty przez grenadjerów krakowskich. Czuwał tutaj dzielny towarzysz racławickiego bohatera, sierżant Maciej Kawka. A że karabinów tu było niewiele, więc ich ogień słaby i rzadki, nie mógł powstrzymać pędzącej do ataku kolumny nieprzyjacielskiej. Zbliżyła się ona do samej karczmy, ale tu sierżant Maciej kazał roztworzyć wierzeje, i rzucił

się z kosynierką na wroga. Zrazu ten stawił dzielny opór, ale walka była nierówna. Kosy w rękach kmieci polskich kładły, niby snopy zboża, całe dziesiątki żołnierzy nieprzyjacielskich, płatały ręce, ucinały głowy i krew lała się strumieniem. Atakujący drgnęli, zmieszali się i zrazu pojedyńczo, a potem całą masą uciekać poczęli. Chłopstwo tak się zażarło, że chciało ich ścigać, lecz przezorny sierżant Maciek powstrzymał ten niewczesny zapał, i swoją kolumnę, czerwoną od krwi wrażej sprowadził napowrót do sieni karczemnej, ile, że nieprzyjaciel zatrzymał się w ucieczce i zasypał cofających się kosynierów ulewą pocisków, a z boku na nich z wyciem i piskiem rzuciła się gromada kozactwa. Ale już grenadjerzy wskoczyli do sieni i wrota za sobą zamknęli.

Wtedy to przez otwory w tych wrotach ujrzeli dziwne widowisko. Jeden kosynier, którego twarzy, z powodu, że stał do bramy tyłem odwrócony, rozpoznać nie można było, oraz żołnierz z regimentu jenerała Czapskiego (a zwali ich kosynierzy dla tego „Czapnikami") zapóźnili się z odwrotem ku sieni karczemnej i oskoczeni zostali przez kozaków. Nieustraszenie jednak bronili się i, oparłszy się plecami o wysmukłą topolę, z której liście pożółkłe, zwarzone nocnym przymrozkiem, sypały się na nich, mężny i zacięty opór stawili. Kosynier machał kosą tak zawzięcie, że żaden kozak do niego przybliżyć się nie śmiał, to samo czynił „Czapnik" odtrącając bagnetem spisy kozackie i co chwila przykładając karabin do oka, jakby chciał wypalić z niego, a kozacy lękając się kuli, odskakiwali zaraz, by znowu powrócić do ataku. Piechota nieprzyjacielska, przed oczami której się to działo, nie śmiała strzelać do dwóch walecznych, bojąc się porazić swoich. Obie strony w niemem milczeniu i podziwie, przypatrywały się tej nierównej i heroicznej walce, która zapewne

żleby się skończyła dla dwóch polskich wojowników, bo kozactwo coraz zażarciej ich atakowało, wołając:

— *Kryczi pardon miatieżnik!*

Gdyby nie to, że nakoniec „Czapnikom“ stojącym przy oknie w alkierzu przyszło na myśl, dać kilkanaście dobrze wymierzonych strzałów, do kozaków. To poskutkowało, jeden czy dwóch spadło z koni, reszta w popłochu uciekła. Skorzystali z tego obaj opóźnieni i w paru skokach znaleźli się przy bramie karczmy, którą skwapliwie na ich przyjęcie otwarto. Okazało się, że owym kosynierem, tak dzielnie się broniącym przed nawałą kozactwa, był Walek Kłonica, a „Czapnikiem“, ów towarzysz Walka z alkierza, ten sam, który tak bohatersko przespał całą noc na wysiedzianej kanapie żydowskiej. Był on raniony spisą kozacką w ramię i krew mu broczyła po pięknym mundurze granatowym, i sam był blady śmiertelnie, spocony jak mysz, stękał głośno i rzucał wystraszonemi oczami dokoła, wołając:

— O laboga! laboga! reta, reta!

A Walek stał spokojnie oparty na swej kosie, oddychał ciężko i połą sukmany ocierał obficie zroszoną potem twarz swoją. Z nierównej tej walki wyszedł cało, tylko nowiuteńką czapkę utracił i stał teraz z głową rozwichrzoną i wzburzoną przez wiatr a może trwogę śmiertelną. Otoczyli go wszyscy, winszowali mu mężnej obrony i pytali, jakim sposobem się to stało, że się zapóźnił i dał się otoczyć kozactwu. Ale Walek nic na to nie odpowiadał, tylko spoglądał po wszystkich zdziwionemi oczami, sam zapewne nie zdając sobie sprawy z tego, co przed chwilą przeszedł. Oglądał się dokoła, wreszcie wzrok jego spoczął na zbroczonym krwią „Czapniku“, i krzyczącym ciągle swoje: „reta! reta!“.

Ale sierżant Maciek Kawka uspokoił zaraz „Czapnika“, krzyknąwszy groźnie:

— Czegój się drzesz zatracony omętro! Że cię ta kozuń zadrapał trochę, to ju zara myślisz, żeś kopyrtnął na śmierć. Nie bój się, nic ci nie będzie i stul mi gębę, pókim dobry.

A zwracając się do milczącego Walka, rzekł:

— Widzisz, dobrze ci tak, maluśko brakowało, a byliby cię kozunie uśmiercili. Chwacko się oganiałeś, na to nic rzec nie można, i godzieneś nagrody, ale jej nie dostaniesz za to, że nie słuchasz starszyzny.

— Nie słucham ja to? — spytał Walek.

— A nie słuchasz, bo ja przykazałem nie lecieć za sałdatami, jeno się cofać tutaj do karczmy, a tyś poleciał i bez to, o mało cię kozunie nie zadźgali. Niech jeno się ta bójka skończy, to ci takie basy sprawię, że ruski miesiąc popamiętasz sufraganie jakiś!

— To za to, żem się bił dobrze, to mam jeszcze w skórę dostać? Kajże tu sprawiedliwość?

— Ty zatracony bąku masz słuchać, a nie rezonować! rozumiesz?

— Adyć rozumiem, co niemam rozumieć, ale mi się nie widzi po sprawiedliwości, żeby mię pan sierżant w skórę bił za to, żem się oganiał od kozaków.

— Gadam ci, nie rezonować, jeno słuchać!

Walek chciał jeszcze coś odrzec, bo mu się w żaden sposób w głowie pomieścić nie mogło, aby za jego waleczną obronę, która wszystkich zdumiła i wszyscy mu ją chwalili, miał w skórę brać, gdy nagle znowu zagrały trąbki nieprzyjacielskie i zawarczały bębny, zwiastując, że nieprzyjaciel do nowego gotuje się ataku. Więc sierżant Maciek Kawka skoczył rozstawiać swych kosynierów, zapowiadając im, by się dzielnie trzymali i tak samo, jak pierwszym razem, gdy nieprzyjaciel zbliży się do karczmy, wrota rozwarli i kosami na niego uderzyli.

Kapitan Luke był mocno zaniepokojony ponownemi

zamiarami nieprzyjaciela. „Czapników“ ubyło już kilkunastu, albo zabitych, albo poranionych ciężko, naboi było zaledwie po dwa lub trzy w patrontaszach, żołnierze byli zmęczeni mocno i głodni, choć wszystko wyjedli, co było w karczmie, zniechęceni upartą i długotrwałą walką, i wielu z nich straciło nadzieję odsieczy i w duszy, bo głośno odezwać się z tem nie śmieli, ganiło kapitana, że nie usłuchał rady parlamentarza, nie skorzystał z okoliczności i nie poddał się, zwłaszcza, że można było wtedy wyjednać dogodne warunki. A teraz co będzie? mówili sobie. Wezmą nas mocą, bo drugiego szturmu nie ma kim i czem odeprzeć, i wszystkich do cna wykłóją.

Kapitan widział to zniechęcenie, te twarze smutne, zmęczone, czarne od prochu, krwią obryzgane, spoglądające z trwogą na las, kryjący nieprzyjaciela, przysłuchujące się ze drżeniem graniu trąbek i warczeniu bębnów. Chwilowa cisza, jak zwykle przed burzą, zapanowała na tem pobojowisku, obie strony przestały strzelać, gotując się w milczeniu, do ostatecznych, śmiertelnych zapasów. Luke pobiegł znów na strych, by przypatrzyć się lepiej przygotowaniom wroga i tęskliwy wzrok zapuścić na gościniec do Okrzei, czy na nim nie ujrzy gorąco pożądanej odsieczy.

— Czasby już był wielki, żeby nam podali rękę — mówił do Zawadzkiego na ucho.

— Pewno, że czas, ale nie trzeba mosanie tracić nadziei. Ja w mojem życiu widziałem takie położenia, że zdawało się niema z nich innego wyjścia, okrom śmierci lub hańby, a jednak dzięki Panu Bogu Wszechmogącemu wyszło się z nich cało, choć nie bez plejzerów.

A tymczasem trąbki grały, bębny biły werbel, w krzakach boru przebiegali oficerowie, dawały się słyszeć gromkie rozkazy:

— *Strojsia!*

Kapitan Luke patrzał na to, patrzał i dreszcz go po skórze przechodził, bo był pewnym, że ze zniechęconym, zmęczonym i głodnym żołnierzem nie zdoła stawić zwyciężko czoła ponownemu atakowi, gdy nagle krzyknął Zawadzki:

— Patrzno waćpan! patrzno!

— Co? gdzie?

— A na gościniec od Okrzei.

Spojrzał tam Luke i ujrzał wzbijające się w górę ogromne chmury kurzu, a między nim migające czerwono-białe proporczyki pułku ułanów Wojciechowskiego. Wśród kozaków, uwijających się dotąd po drodze, powstało zamieszanie, rozległy się strzały, i poczęli oni uciekać co koń wyskoczy, wrzeszcząc:

— Paliaki! Paliaki!

Z lasu wybiegło kilku oficerów nieprzyjacielskich i niespokojnie spoglądało na drogę, a tu nie minęło i paru minut, gdy nagle pędem z tej kurzawy wynurzyły się strojne szeregi ułanów Wojciechowskiego, a na ściernisko cwałem wybiegły dwie armatki z majorem Stankiewiczem na czele. Widać było jak szablą migał, jak armatki te odprzodkowano, i nim nieprzyjaciel mógł oprzytomnieć, już z hukiem, świstem i warczeniem, niby szum wielkich wód, grad kartaczy spadł na las, łamiąc drzewa, strącając gałęzie i liście.

Kapitan Luke w uniesieniu cisnął czapkę w górę i krzyknął:

— Niech żyje Polska! dzieci roztwierać wierzeje! Naprzód! naprzód na wroga!

VII.

Nieprzyjaciel jednak nie czekał na pojawienie się odsieczy, ale co żywo zabrał się do odwrotu. Przesunąwszy się brzegiem lasu daleko poza Czerwoną karczmę, połączył się tutaj z kolumną, która ją atakowała od tyłu, i sformowawszy dwa czworoboki, ruszył gościńcem ku Korytnicy, osłaniany z flanków przez kozactwo. Nim nadążyć mogła piechota polska, był on już daleko, a znużeni i wyczerpani całonocnym bojem „Czapnicy“ Lukego i kosynierka Maćka Kawki, niezdolną już była do ścigania. Jedna tylko jazda, ułani Wojciechowskiego i parę działek Stankiewicza deptała po piętach ustępującego szybko i sfornie wroga.

Radość oswobodzonych przez odsiecz od śmiertelnego niebezpieczeństwa, była niezmierną. Wielu żołnierzy rzucało się w objęcia świeżo przybyłych towarzyszy, wielu nawet płakało jak dzieci. Obie strony poniosły znaczne straty, dokoła karczmy i w niej samej, leżało około stu kilkudziesięciu trupów, mnóstwo było rannych, sama karczma na pół zburzona, co świadczyło o zaciętości ataków i upornej obronie. Naczelnik Kościuszko przybywszy na plac boju, dziękował Czapnikom i grenadjerom krakowskim za ich męztwo, i pierścieniem żelaznym obdarzył kapitana Luke, który był z tego bardzo dumny i bardzo szczęśliwy.

Cały korpus, z którym Naczelnik przybył, liczący około ośmiu tysięcy ludzi, rozłożył się na chwilowy spo-

czynek koło Czerwonej karczmy. Rozpalono ogniska i gotowano śniadanie, a znużeni „Czapnicy" i grenadjerzy krakowscy Maćka Kawki, przedewszystkiem pokładli się spać, żeby po wyczerpującej walce nocnej, po natężeniu wszystkich nerwów, nabrać sił do dalszych bojów, o których powszechnie mówiono w obozie, że są blizkie. Wiedziano już bowiem o tem, że jenerał rosyjski Fersen, odstąpiwszy od oblegania Warszawy, przeprawił się na czele dwudziesto kilkotysięcznego korpusu w okolicy Kozienic, pod wsią Tyrzynem, przez Wisłę i stoi już na prawym jej brzegu, i że Naczelnik Kościuszko postanowił mu zagrodzić drogę i jeżeli się da, napowrót wepchnąć go do rzeki. Bitwa więc była blizką i zapewne będzie stanowczą i upartą.

Kosynierzy krakowscy Macieja Kawki rozłożyli się na spoczynek z boku Czerwonej karczmy, na ściernisku, i czekając na gotujące się śniadanie, drzemali snem gorączkowym, a ich kamraci, świeżo przybyli, kręcili się koło nich i dopytywali o szczegóły walki, którą w nocy tak heroicznie toczono. Walek Kłonica, który położył się nieco z boku na kępce żółciejącej murawy i na różowych kwitnących wrzosach, i o którego mężnej obronie przeciw kozakom głośno mówiono w obozie, był najwięcej nagabywany i zarzucany pytaniami. Ale nie bardzo on rozumiał, czego od niego chcą i czemu się dziwią. Oskoczyli go kozacy, więc się bronił, cóż w tem dziwnego.

— Jakże? chcieliśta bym się dał zażgać nikiej świniok z przeproszeniem? — mówił.

Znudzony wreszcie pytaniami, nie odpowiadał, udawał śpiącego, choć spać jakoś nie mógł, bo najprzód jeść mu się chciało, a potem niezmiernie go interesował ruch w obozie, oficerowie, ułani i armaty. Przed karczmą w swym szarym płaszczu z kilku coraz mniejszemi pelerynami, przechadzał się znany mu już pan Niemcewicz,

adjutant Naczelnika, z jakimś jenerałem i ciągle ze sobą gadali, lub też zatrzymując się wypytywali o coś pozostawionych na pobojowisku przez nieprzyjaciela, rannych żołnierzy rosyjskich. Między tymi rannymi uwijał się chirurg wojskowy, pan Drozdowski, jak go nazywano, opatrywał ich, przewiązywał im rany, przykładał maście, dawał im pić jakieś mikstury, co wszystko ogromnie Walka zajmowało.

Wtem, kiedy się tak Walek przypatruje ruchliwemu obrazowi obozowiska wojennego, zjawia się wśród spoczywających grenadjerów krakowskich, pułkownik Krzycki i woła głosem donośnym:

— Grenadjer Walenty Kłonica! gdzie jest grenadjer Walenty Kłonica?

Walka, gdy to usłyszał, ciarki przeszły. Przypomniał sobie, że mu sierżant Maciek Kawka groził batogami za to, że nie usłuchał jego rozkazu, i razem z kosynierami nie cofnął się na czas do sieni karczemnej, ale opóźnił się i oskoczony przez kozaków, z trudem od ich pik ocalał.

— Pewnikiem — pomyślał — będą mię w skórę bili.

Strasznie mu się markotno zrobiło na sercu.

— Cóżem ja krzyw? — myślał sobie — kiej nie słyszałem jako żywo nakazu sierżanta. Jak tu słyszeć w takiej wrzawie? O laboga! laboga, z taką wojaczką! żeby to wciurności!

A tymczasem pułkownik Krzycki ciągle pytał się o Walka, aż sierżant Maciej Kawka się obudził i zerwawszy się na nogi, szukał groźnemi swemi oczami na pół zmartwiałego ze strachu i nie śmiejącego się ruszyć Walka. Ale już w pobliżu spoczywający kosynierowie poczęli wołać:

— Tu jest Kłonica! tu jest Kłonica!

I nuż na niego krzyczeć:

— A ruszajże, kiej cię pułkownik żąda.

Ze ściśniętem sercem podniósł się Walek i szedł ku pułkownikowi, a gdy się zbliżył pokłonił się do kolan, i gadał:

— Wielmożny panie, cóżem ja krzyw, kiej, żebym tu zaraz zmartwiał, nie słyszałem rozkazu pana sierżanta. Taki był krzyk i strzelanina też straśna, mógł ja to słyszeć? klnę się na wszyćko, że prawdę gadam i nie łgę.

Pułkownik Krzycki patrzał na Walka, słuchał jego słów, ale widocznie nic nie rozumiał, bo zwrócił się do sierżanta Kawki, który się był zbliżył i zapytał:

— Co on gada? czego on chce?

I dodał już do Walka:

— Ja ci się o nic nie pytam. Chodź ze mną do Naczelnika.

Walek zmartwiał, bo mu się zdawało, że sam Naczelnik każe mu w skórę dać. Załamał ręce z rozpaczy i zawołał:

— Wielmożny panie, cóżem ja krzyw? To ju niema nijakiej sprawiedliwości na świecie...

Ale pułkownik Krzycki przerwał mu pytając:

— Ty się nazywasz Walenty Kłonica?

— Ano... niby ja, ale wielmożny panie...

Walek z oczami rozszerzonemi od strachu spojrzał rozpaczliwie po obecnych, bo kilkunastu kosynierów, zaciekawionych rozmową zbliżyło się było, i wołał:

— O laboga! laboga! cóżem ja krzyw?

Pułkownik Krzycki zawrócił się i szedł, a Walek jeszcze stał, jakby szukał pomocy i ratunku u obecnych, gdy sierżant Kawka groźnie krzyknął popychając kułakiem przestraszonego chłopaka:

— Ruszaj kiej cię Naczelnik woła. Nie widzisz, że pułkownik ju poszli? A to ci głupi chłop! ruszaj mi zaraz, pókim dobry.

Poszedł więc Walek za pułkownikiem Krzyckim, z miną taką jakby go prowadzili na ścięcie, narzekając i odmawiając przez drogę „Kto się w opiekę podda Panu swemu".

Naczelnik ze swym sztabem rozłożył się w lesie, tam zkąd przed godziną nieprzyjaciel przypuszczał szturmy do karczmy, raz żeby uniknąć widoku zabitych, a potem, że w samej karczmie nie było wcale miejsca, bo wszystkich rannych tam zniesiono. Przytem koło karczmy, gdzie drzew nie było, słońce dopiekało mocno, a tu w lesie był cień i chłód. Rozbito naprędce zniszczony mocno namiot, znalazł się jakiś stolik o trzech nogach i parę ławek, i w tym namiocie, otwartym z jednej strony, siedział Naczelnik przy stole, ubrany w swą skromną, czarną sukmankę, zielonemi taśmami wyszywaną, w białej magierce na głowie, ze zwiędłą gałązką jedliny przy niej. Siedział wsparty na ręku i wpatrywał się w rozłożoną przed nim mapę i rozmawiał z jenerałami Sierakowskim i innymi oficerami, i z panem Niemcewiczem, który coś głośno rozpowiadał.

Gdy pułkownik Krzycki przyszedł przed ten namiot z Walkiem, kazał mu się zatrzymać, a sam wszedł do środka i skłoniwszy się wodzowi, coś do niego mówił, czego zastrachany mocno chłopak nie słyszał. Rozglądał się dokoła, czy już niema jakich przygotowań do bicia w skórę, ale nic takiego nie zauważył. Po obu stronach namiotu stali dwaj żołnierze z regimentu gwardji pieszej koronnej w swych wysokich kapeluszach, z błyszczącemi słońcami na piersiach białych mundurów, a w dali rozłożyła się koło drzew w boru jazda kawalerji narodowej, której oddziałek brał udział w wyprawie kapitana Luke i tak haniebnie na samym początku bitwy pod karczmą Czerwoną uciekł. Konie były poprzywiązywane do drzew, a żołnierze warzyli przy ognisku strawę, kręcili się do-

koła, albo leżąc na trawie spali. Wszędzie panował spokój i cisza, tylko ptaki rozgłośnie świerkały i dochodził krzyk wron i kruków, nieustanie nad pobojowiskiem się unoszących. Żadnych przygotowań do bicia w skórę Walek nie zauważył i to mu dodało nieco otuchy, ale mimo to był ciągle mocno niespokojny i powtarzał do siebie:

— Co ja krzyw?

Wtem w namiocie zrobił się ruch. Naczelnik powstał i wyszedłszy na zewnątrz spytał Walka:

— Tyś grenadjer Kłonica?

A wpatrzywszy się w drżącego chłopaka bliżej, zawołał:

— Ja cię skądś znam... a! prawda, tyś mi służył za przewodnika do Okrzei?

Ale Walek zajęty swą myślą i obawą kary, schylił się i obejmując naczelnika za kolana, zawołał płaczliwym głosem:

— Jasny naczelniku, a toć ja nic nie jestem winien. Żebym tu zara zmarniał, jeżelim ja słyszał przykaz pana sierżanta, a że mię kozunie oskoczyli nikiej złe osy, to cóż miałem robić? Mieli mię zadźgać bezkurcye, czy co?

— Tak, mój chłopcze, dzielnie się spisałeś i nikt ci przecież tego za złe nie bierze, owszem zasłużyłeś na nagrodę za twą dzielną obronę, którą za przykład stawiam innym, jak należy walczyć za ojczyznę. Ojczyzna biedną jest, nieszczęśliwą i w ręku wroga, wynagrodzić cię w tej chwili należycie nie może. Tymczasem grenadjerze Walenty Kłonico, mianuję cię podoficerem w twoim regimencie. Pułkownik Krzycki dopilnuje, by rozkaz mój był wykonany.

To rzekłszy, położył rękę na ramieniu zdumionego i oszołomionego Walka i dodał:

— Idź już chłopcze i zawsze tak samo się sprawuj,

a oswobodzona ojczyzna kiedyś lepiej cię wynagrodzi, niż ja w tym momencie uczynić to mogę.

Walek zrazu nic z tego wszystkiego nie pojmował. Mieli go w skórę bić, a tymczasem Naczelnik, sam Naczelnik rozmawia z nim po ludzku, i podoficerem go mianuje. Zgłupiał chłopak z kretesem i stał jak kołek przed Naczelnikiem z oczami wytrzeszczonemi, z rozwartemi ustami i zapewne stałby tak długo, gdyby nie to, że jakiś młody oficer trącił go w bok, szepcząc:

— Pokłoń się gamoniu Naczelnikowi i podziękuj!

Teraz dopiero Walek oprzytomniał, miękko mu się na sercu zrobiło, łzy puściły mu się z oczu z radości i z tego, że taki pan, taki wielki Naczelnik z nim, z prostym parobkiem, rozmawia jak z równym sobie, i nie tylko, że mu skóry bić nie każe, ale owszem podoficerem go robi, jego Walka Kłonicę, wyrobnika, rabusia zwierzyny łyków Żelechowskich, dziw nad dziwy! Tedy jak nie ryknie z wielkiej żałości, jak nie padnie plackiem do nóg Naczelnika, jak nie zawoła:

— O jasny Naczelniku! o największy dziedzicu i panie! Kiej tak, to ju będę prał kozuniów, że rany Boskie! Tu palec na palec zakładam i przysięgam, żebym tak zara zmarniał, żeby mię święta ziemia nie nosiła, jeżeli tym hyclom i omętrom zatraconym, łbów kosić nie będę, nikiej trawy na łące. O! jasny Naczelniku...

— Dobrze już, dobrze mój chłopcze, wierzę ci i pewny jestem, że wykonasz to, co przysięgasz. Idź teraz, a pułkownik Krzycki oznajmi w regimencie o twoim awansie.

To rzekłszy Naczelnik odwrócił się i dodał do otaczających go oficerów:

— Z tym ludem żyć i umierać! Czemuż takich niema więcej?

W regimencie jednak grenadjerów już wiedziano o fortragowaniu, jak to mówiono wtedy, Walka na podo-

ficera. Gdy wrócił, a stąpał dumnie, z rozjaśnionem obliczem, z sercem pełnem radości, której bodaj czy nie największym powodem było to, że mu w skórę nie dali, otoczyli go zaraz wszyscy kamraci pytając co i jak było, co Naczelnik mówił, jak się z nim obszedł, a wielu zazdrościło Walkowi.

— A to ma szczęście chłop — mówili — ledwie to wczoraj od cepów i wideł przyszło, a już dziś go Naczelnik zrobił podoficjerem.

— Ano, gadajta co chceta — mówili inni — po sprawiedliwości należało mu się to. Nie oskoczyli go to kozunie? nie machał ci kosą, nikiej wściekły? nie nakładł ci ich nikiej kłosów na polu? Co prawda, to prawda, należało mu się to, należało. Chłop ci je zacięty i chwacki.

Przyszedł do Walka i groźny sierżant Maciej Kawka i pytał:

— Podoficjerem cię Naczelnik zrobił?

— Ano tak, jak widzicie, panie sierżancie.

— Pięknie to je, ani słowa, ale zawdy ty ta nosa do góry nie zadzieraj i słuchaj moich nakazów, bo inaczej chocieś ty podoficjer, aleś mój podkomendny i skórę ci jak potrza będzie, jak jeno co skrewisz, tak wyłatam, że niech Pan Jezus broni! rozumiesz smyku zatracony?

— Rozumiem cić ja dobrze, ale za cóż wy mnie, panie sierżancie, skórę będziecie łatali? Zrobiłem to ja co złego?

— Jużcić zrobiłeś, żeś mego nakazu nie usłuchał kiej jam przykazywał, by wszyćcy skiknęli do sieni. Żeby tak na mnie, tobym ci dał przód dwadzieścia batów, a potem bym cię podoficjerem zrobił, ale ju ta Naczelnik wie co robi. Dobry to pan, niech mu Pan Jezus da zdrowie i nijakich uraz nie pamięta i zawziętości żadnej w sercu niema. Ty Panu Bogu podziękuj, że mnie tam nie było, jak cię Naczelnik fortragował na podoficjera, bobym mu zara rzekł, że ci trza przódy skórę zbić, a potem podoficjerem

zrobić. Ano upiekło ci się, upiekło, ale pilnuj się, mówię, bo baty będą w robocie.

Walek na tyle był sprytny i umiał patrzeć na wszystko, że nie bardzo teraz wierzył w te groźne zapowiedzi sierżanta Macieja. Widział, że gdy krzyczał i groził batami, to kosyniery jeno uśmiechali się i wcale się tego nie bali i wszystko kończyło się na słowach. Maciej był człowiekiem dobrym z kościami i jeno udawał surowego, i znali go wszyscy, to też w jego sierżanctwie niewielki był ład, a ten jaki był, to utrzymywał tylko podoficer Rędzina, który nie krzyczał, batami nie groził, a mimo to wszyscy go się bali i słuchali.

Uśmiechnął się więc Walek na ostatnie słowa sierżanta i był bardzo rad, gdy przyszedł do niego żydek Lejbuś, krawiec regimentu, i piękną czerwoną naszywkę mu przyniósł do rękawa sukmany, oznakę podoficerską.

— Ny, gadał Lejbuś — tera pan Walenty będzie piękny podoficer. Na moje sumienie, ja nie widział nigdy takiego pięknego podoficjera. Żebym tak zdrów był jaki piękny z pana Walentego będzie podoficjer. W caluśkim regimencie niema takiego pięknego podoficjera.

Walek się śmiał na te komplimenty i spytał:

— A Rędzina?

— Rędzina? — zawołał Lejbuś i twarz jego chuda i nerwowa przybrała wyraz najwyższej pogardy — ón podoficjer! jemu z psieproszeniem gęszów paść, a nie dowodzić takim regimentem jak nasz. Ja powiadam, co na moje sumienie na szwiecie niema piękniejszego regimentu jak nasz i piękniejszego podoficjera jak pan Walenty. Ja słyszał, ja słyszał jak pan Walenty zabijał kozaków! tfu! żeby óni przepadli.

— A Lejbuś to widział?

— Po co ja miał widziecz? ja nie widział. Mnie tu nie

buło, to ja nie mógł widziecz. Po co mnie widziecz? Ja słyszał. Czy to nie dosyć?

— A gdzież Lejbuś był?

— Gdzie ja buł? Ja ostał w Okrzei przy regimencie. Po co mnie tu być? Czy to ja nie widział wojny. Aj waj, żeby ja tak zdrów buł, ile ja wojen widział! A w Warszawie? to nie buła wojna? i jaka jeszcze wojna. Niech Pan Bóg broni od takiej strasznej wojny!

Przypiął już naszywkę, odstąpił parę kroków, jakby się chciał lepiej przypatrzyć swemu dziełu, cmokał ustami z zachwytem i mówił:

— Aj jak pięknie panu Walenty w tegie naszywka, aj jak pięknie! Żaden podoficjer niema taka piękna naszywka. Na moje sumienie, żaden niema. Ce! ce! no (wyciągnął rękę) a co Lejbuś za to dostanie?

— A co ma Lejbuś dostać? czy to Lejbusiowi za to nie płacą w regimencie?

— Ny, co óni płacą? óni takie biedaki, takie łapserdaki, że óni nie mają i szeląga. Iii! óni płacą!... Żebym ja buł tak szczęśliwy jak óni płacą. Z czego óni mają płacić? kiej óni sami nic nie mają...

— Więc po cóż Lejbuś służy?

— Po co ja służę? ja służę bez onor, na moje sumienie bez onor, bez patrjotność, tak, bez patrjotność! Ny, co to gadać, niech pan podoficjer Walenty da Lejbusiowi parę złotówek na łokszyn na siabes...

Miał Walek kilka groszy przy duszy i w innym razie byłby się z niemi nie rozstał, ale teraz tak był uszczęśliwiony, tak mu było na sercu, że dobył parcianego woreczka i wysypał na brudną i zasmoloną łapę Lejbusia.

Uradowany żydek podziękował uniżenie, zachwycał się jeszcze przez jakiś czas pięknością nowego podoficera, zaręczał, że takiego niema w całym regimencie, wreszcie odszedł, po drodze zatrzymując się, rozmawiając tajem-

niczo z tym i z owym kosynierem, zapewne jakieś szacherki z nimi robił. Walek był kontent i z dumą przechadzał się po obozowisku, trzymając rękę tak, żeby wszyscy widzieli, iż ma na niej podoficerską naszywkę.

Tymczasem śniadanie ugotowano i po całym obozie poczęto grać na trąbkach wzywając na kaszę. Właściwie nie była to sama kasza, ale kapuśniak z kaszą i kawałkami baraniny. Do tego rozdano po ogromnej pajdzie chleba razowego i wszyscy kosynierzy zasiedli sekcjami koło kociołków i jedli wolno, systematycznie, trzymając się kolei, aby nikt nawet o jedną łyżkę nie był ukrzywdzony. Nic przytem nie mówili, bo przy tak poważnej czynności jak jedzenie, nie godzi się gadać.

I Walek najadł się do syta i był bardzo rad z siebie i ze wszystkich. Chciał sobie teraz spocząć, przespać się po nocy tak burzliwie spędzonej, po tylu wzburzeniach przez które przeszedł, i nawet wybrał już sobie miejsce pod topolą w cieniu i na pożółkłej nieco, ale zawsze jeszcze miękkiej murawie, gdy nagle zagrały trąbki i rozległy się rozkazy:

— Wstawać! do szeregów!

— Markotno mu trochę było i oczy mu się do snu kleiły ale nie było rady. Cały korpus zabierał się do dalszego marszu i sierżant Kawka budził śpiących, trochę niedelikatnie, bo przy pomocy drzewca od kosy. Szeregi szybko się sformowały i ruszono w drogę.

VIII

Nad wieczorem przybyła ta mała armja do Korytnicy. Po drodze znajdowano porzucone giwery nieprzyjacielskie, patrontasze, nawet szable, a tu i ówdzie leżał koń lub człowiek zabity, co świadczyło, że ułani Wojciechowskiego zawzięcie ścigali ustępującego z pod Czerwonej karczmy nieprzyjaciela. Jakoż nie spotkano ich jeszcze zpowrotem, widać, że dalej gonili, a w Korytnicy mówiono, że nieprzyjaciel przeszedł przez nią szybko, nie zatrzymując się wcale, a za nim w też tropy przetłusowali ułani i jeszcze nie wrócili.

Sama Korytnica była wsią niegdyś zamożną i bogatą, ale do cna przez nieprzyjaciela zniszczoną. W trzech czwartych spalona; sterczały tylko poczerniałe kominy, zwęglone belki i unosił się nad całą okolicą niemiły zapach spalenizny. Psy na tych zgliszczach wyły żałośliwie, o ile nie zostały wymordowane, bo ich zwłoki co krok prawie spotykano. Ludność, która zbiegła do borów okolicznych przed nieprzyjacielem, powracała teraz do wsi powoli i z obawą, a kobiety głośno zawodziły i ręce łamały na widok zniszczenia i ruiny powszechnej.

Po za wsią wznosiły się dwa łańcuchy wzgórzy, porosłych tu i ówdzie krzakami głogów, jerzyn lub jałowcu, z pośród którego wystrzelała w górę tu i ówdzie smagła brzoza lub grusza dzika, teraz pod jesień strojąca się w złoto i purpurę. Wzgórza te przedzielone były głębokim

wąwozem i ginęły w ciemnym boru. Na bliższem z tych wzgórzy rozłożyło się wojsko, mając przed sobą parów głęboki i zaraz też rozgorzały wielkie ogniska, które przy zapadającym mroku wieczornym malowniczy widok sprawiały. Warzono w kotłach strawę i gwar wesoły panował wśród tej gromady ludzi i koni, a gdy noc zapadła, od ognisk biła wielka łuna, krasząca purpurą chmury na niebie.

Naczelnik ze sztabem swoim zajął duży dwór, opustoszały zupełnie i także straszliwie zniszczony. Wszystkie okna w nim były wybite, wszystkie drzwi porąbane i połamane. W pokojach krzesła, biura, komody, szafy nosiły na sobie ślady szabel, a książki, pościel, obrazy pokłóte i podarte zapełniały sobą podłogi i wszystkie kąty. Kredens rozbity na szczątki, a koło niego leżały całe stosy skorup i szkła potłuczonego na miazgę. W sali niegdyś kosztownem obiciem przyozdobionej, walały się wspaniałe lustra zdruzgotane zupełnie, a portrety przodków w zbrojach i kontuszach miały powykłuwane oczy, porąbane policzki i dziwnie wyglądały ze złocistych ram, te pełne dumy i powagi postacie, pozbawione oczów, z twarzami na pół przeciętemi, z płótnem sterczącem w strzępach z poza pokładu farb. W kącie wielkiej sieni na ścianach której niegdyś umieszczono łby dzików, rogi łosiów i jeleni, trofea myśliwskie pana tej wsi, teraz połamane, tu i ówdzie zwieszające się smutnie, ujrzano straszny widok. Leżał za porąbaną szafą, a raczej siedział skurczony, zgięty w sobie trup starca, zapewne, sądząc po ubiorze, sługi domowego, z rozpłataną głową, z której napół stężała krew się sączyła. Obok niego w kałuży krwi walały się zwłoki wielkiego psa, przebitego na wskróś dzidą, dzierżącego jeszcze w zębach kawał wyrwanego sukna. Widocznie dzielne, wierne zwierzę w obronie swego pana rzuciło się na mordercę i padło ofiarą swego poświęcenia.

Na Naczelniku i otaczających jego jenerałach i oficerach, ten widok straszliwego zniszczenia, tego trupa starca i wiernego psa, nadzwyczaj bolesne i przygnębiające wywarł wrażenie. Rozkazano natychmiast usunąć te zwłoki i pochować je po ludzku na sąsiednim cmentarzu, a w opustoszałych pokojach roztasowano się jak można było. Okna pozaklejano papierami, bo pod wieczór chłód się wzmagał, a przytem przez nie przedostawał się ze spalonej wsi gryzący i cuchnący dym, tlejących jeszcze zgliszczy. Pan Niemcewicz chodził po pokojach, przypatrywał się wszystkiemu, podejmował z podłogi podarte kartki książek, czytał je, bo był to sławny już literat i wszystko co drukowane interesowało go bardzo, ruszał ramionami i wzdychał, wreszcie niemogąc zapewne znieść tego widoku zniszczenia, wyszedł na dziedziniec dworu i przechadzać się tu zaczął. Noc, która tymczasem zapadła, była cicha, spokojna, rozmarzona, szeleszcząca liśćmi drzew, których koło dworu było pełno, mrugająca gwiazdami rozsianemi jak złote oczka na lazurze. Na zachodzie niebo jeszcze paliło się jasnością i czerwienią, i chmury się tam zbierały, zapowiadając niepogodę na jutro. Od ognisk obozowych biła wielka łuna, a na jej tle ponuro rysowały się czarne kominy spalonych chałup miejskich i sterczące tu i ówdzie belki. Cuchnący dym rozłaził się szeroko i mgły białe zapadały nad sąsiednim lasem.

Do przechadzającego się pana Niemcewicza zbliżył się jenerał Kamiński, człowiek młody jeszcze i rzekł:

— Cóż, Julku, pięknych doczekaliśmy się czasów. Takiego dzikiego zniszczenia jak żyję jeszcze nie widziałem. Gdzie te dobre, piękne, spokojne chwile naszej młodości, i co nas jutro czeka...

— Czeka nas bitwa.

— Ba! ja to wiem, tylko...

— Tylko co?

— Mówią, że nieprzyjciel jest znacznie od nas silniejszy.

— Juścić w tej chwili jest silniejszym, ale zapominasz o korpusie jenerała Ponińskiego. Gdy on się z nami połączy, to my, jeżeli nie silniejsi, to przynajmniej będziemy równi nieprzyjacielowi.

— Cóż, kiedy go do tej chwili niema, a bitwa może zaraz jutro nastąpić.

— Nie nastąpi, bo my stąd nie wyruszymy, aż jutro wieczorem.

— Ale nieprzyjaciel może na nas wyruszyć.

— Wątpię bardzo. Czekamy też na przybycie z Warszawy pułku Działyńskich.

— Zawsze byłoby lepiej, żeby Naczelnik ściągnął korpus Ponińskiego.

— Nie bój się, ściągnie on go we właściwej chwili. Przytem, to, co mówią o sile nieprzyjaciela, jest pełnem przesady. Naczelnik ma wiadomość, że Fersen nie ma więcej jak siedm do ośmiu tysięcy ludzi, a nas z Działyńczykami i Ponińskim będzie około jedenastu tysięcy.

— Bóg by to dał, ale widzisz braciszku.... ja nie wierzę bardzo Ponińskiemu. Gadają ludzie, że jego ojciec, stary zdrajca i łotr, znajduje się w obozie nieprzyjaciela...

— Więc cóż z tego? Ojciec jest łotr, to prawda, ale syna znam za dobrego patrjotę, a pod Szczekocinami mężnie stawał. W Okrzei Naczelnik się z nim rozmówił, a co tam uradzili we dwóch nie wiem, ale to wiem, bom słyszał na własne uszy, że Naczelnik kazał mu wracać do swego korpusu, który stoi gdzieś nad Wieprzem, mieć się w pogotowiu i czekać rozkazów. Nie bój się, wszystko będzie dobrze...

— Oby tak było! — mruknął Kamiński i umilkł.

Przechadzali się jeszcze obaj przyjaciele nic nie mówiąc, obaj pogrążeni w myślach, bo zbliżająca się bitwa

decydować miała o losach nieszczęśliwej ojczyzny polkiej. Wiedzieli oni o tem obydwaj i dla tego pełni byli smutnych przeczuć, zwłaszcza Kamiński, człowiek młody i wrażliwy. Właśnie patrząc na zachód, gdzie gasły ostatnie błaski niknącego dnia, spostrzegł ogromną gromadę wron i kruków, z głośnem krakaniem lecących na swe nocne legowiska, i rzekł do pana Niemcewicza:

— Julku, przypominasz sobie Tytusa Liwiusza i jego historję rzymską? Kruki po prawej stronie lecące, to zła wróżba!

Pan Niemcewicz spojrzał na owe złowieszcze ptaki, jakoby mające, według przesądnego historyka rzymskiego, być złą wróżbą, rzekł poważnie:

— Byłaby nią dla Rzymian, ale nie dla nas. Obaczysz, że aczkolwiek to niepodobieństwem się zdaje, pobijemy nieprzyjaciela.

Jenerał Kamiński ścigając wzrokiem niknące w oparach wieczornych ptactwo, które tak smutne myśli w nim obudziło, rzekł:

— I ja tak sądzę.

W tejże chwili dały się słyszeć radosne okrzyki w obozie rozłożonym na wzgórzu, wiwaty rozchodzące się daleko wśród ciszy wieczornej i pan Niemcewicz, nieco zdziwiony tem, zapytał:

— A co to?

— Nie wiem — odpowiedział Kamiński i zobaczywszy biegnącego do wsi adjutanta Naczelnika, Fiszera, zapytał:

— Co to? czego oni tak krzyczą?

— Ułani Wojciechowskiego wracają z pościgu i przywieźli ze sobą kilku huzarów, jeńcami.

To rzekłszy, pobiegł do domu do Naczelnika, zapewne chcąc mu zakomunikować tę nowinę.

— Widzisz — odezwał się pan Niemcewicz — że twoje

wróżby się nie sprawdzają. To wzięcie do niewoli huzarów nieprzyjacielskich jest podług mnie dobrym znakiem.

Kamiński zrazu nic nie odrzekł, tylko stał i patrzał w tę stronę, skąd mieli przybyć jeńcy i zdawał się wsłuchiwać w okrzyki, dochodzące z obozu, a po chwili odpowiedział na pół do siebie, na pół do swego przyjaciela:

— Przynajmniej dowiemy się dokładnie o sile nieprzyjaciela i o zamiarach Fersena.

Jakoż niebawem na dziedziniec wjechali ułani Wojciechowskiego zmęczeni mocno, zakurzeni, czarni od prochu, wiodąc ze sobą dziesięciu czerwonych huzarów moskiewskich, a między niemi oficera. Właśnie skądś znalazł się tu stary wyga Zawadzki i, zbliżywszy się do oficera, krzyknął:

— O! pan Podczaski, tuś mi waćpan! Widzisz mosanie, chocieś nas skazał na zginięcie, myśmy jednak nie zginęli, ale z waćpanem to będzie krucho. Żeby tak na mnie, tobym cię zaraz kazał powiesić, oto na tej suchej gałęzi...

To rzekłszy, wskazał ręką na wystającą, bezlistną gałęź starego wiązu, rosnącego na środku dziedzińca dworskiego. Podczaski spojrzał ponuro na Zawadzkiego, potem na ową suchą gałęź wiązu, i nic nie odrzekł. Tymczasem pan Niemcewicz, który słyszał słowa Zawadzkiego, zbliżył się do niego i zapytał:

— To waćpan znasz tego oficera?

— Jakże go nie mam znać panie adjutancie, kiedy on dziś rano przysłany był do nas do Karczmy Czerwonej od jenerała Workowa byśmy się poddali na łaskę i niełaskę.

— A dlaczegóż mu waćpan grozisz wieszaniem? Przecież my nie barbarzyńcy i jeńców wojennych nie zabijamy.

— Ba! kiedy on Polak.

— Co? Polak!...

— A tak, niech go się pan adjutant spyta.

Ale już nie było czasu na to, bo ze dworu wybiegł na ganek adjutant Naczelnika i wołał:

— Przyprowadzić jeńca Podczaskiego!

Podczaski zeszedł z konia z miną bardzo rzadką, i otoczony trzema żołnierzami, którzy szli obok niego z dobytemi pałaszami, ruszył do dworu, a za nim podążył pośpiesznie i pan Niemcewicz i jenerał Kamiński i stary wyga Zawadzki, bo ciekawi byli najprzód relacji Podczaskiego o sile i stanowisku wojsk nieprzyjacielskich, a potem co Naczelnik zamierza zrobić z tym polskim zaprzańcem, służącym w szeregach przeciwnika, gdy wojna o los Polski się toczyła.

W jednym z pokoi, który jako tako uporządkowano i zastawiono na pół połamanemi meblami, rozpoczęła się indagacja Podczaskiego.

— Jakże to może być, żebyś waćpan będąc Polakiem, służył w wojsku nieprzyjacielskiem? — mówił Naczelnik tonem smutnym — skąd waćpan jesteś rodem?

— Z województwa Bracławskiego.

— Wstyd to wielki i hańba wielka — wtrącił jenerał Sierakowski — wiesz waćpan, że zasługujesz na szubienicę. Cóż waćpana spowodowało do wstąpienia w szeregi nieprzyjaciół i dla czegoś ich nie opuścić, gdy ojczyzna powstała do walki o wolność i niepodległość?

Podczaski mienił się na twarzy nieustannie, przez chwilę nie mógł nic mówić zapewne ze wzruszenia, wreszcie rzekł:

— Co mię spowodowało jaśnie wielmożny jenerale? nędza, ostatnia nędza. Jeść nie miałem co, więc musiałem wstąpić do ich szeregów, a opuścić ich nie mogłem, bo mi nie chcieli i dotąd nie chcą dać uwolnienia. Com ja tu winien? ja nic nie jestem winien, a w duszy mam taką rozpacz, że róbcie panowie ze mną co chcecie. Ojczyzna! Boże

wielki, jakież to słodkie słowo, ale nie dla mnie ono, mnie go wymówić nie wolno. Jam jest jako parszywa owca i na zatracenie już poszedłem, ale na piersiach noszę szkaplerzyk z Matką Boską, co mi go matka dała i pacierz codzień mówię...

Łzy miał w oczach i drżał jak w febrze. Naczelnik patrzał na niego, powstał i kładąc mu rękę na ramieniu, rzekł swym cichym, miękkim, do duszy idącym głosem:

— Nie rozpaczaj panie Podczaski. Ojczyzna jest jak dobra, kochająca matka, która marnotrawnego syna zawsze jest gotowa do łona przycisnąć i wszystkie winy mu darować. Tak! ojczyzna, słodkie to słowo...

Umilkł, zawrócił do stołu, usiadł jakby rozmyślał nad słodyczą tego słowa, mieszczącego w sobie wszystko co najszlachetniejszego dusza polska ma w sobie, i po chwili rzekł:

— Powiedzże mi panie Podczaski, gdzie właściwie Fersen stoi?

— U Maciejowic.

— Więc z całym swym korpusem przeszedł Wisłę?

— Z całym.

— I iluż on ma ludzi?

Podczaski przez chwilę myślał, jakby liczył w pamięci, wreszcie rzekł:

— Około szesnastu tysięcy, raczej więcej, niż mniej.

— Szesnaście tysięcy! — zawołał Naczelnik — co też waćpan mówisz! On niema więcej jak dziesięć, może tysięcy.

— Przebacz jaśnie wielmożny panie, ale to co mówię jest prawdą. Dla czegóżbym miał kłamać? Jeżeli z musu służę w obcem wojsku, to jednak mych współrodaków oszukiwać nie chcę. Napewno twierdzę, że jenerał Fersen ma przeszło szesnaście tysięcy ludzi.

— Skądże waćpan możesz tak napewno twierdzić —

wtrącił się jenerał Sierakowski — jesteś subalternem oficerem i dokładnych wiadomości o sile tego korpusu mieć nie możesz.

— Przeciwnie panie jenerale, mam jak najdokładniejsze wiadomości, a to z ust samego jenerała Fersena.

— Z ust jenerała Fersena? a to jakim sposobem?

— Zaraz to opowiem. Wróciwszy do obozu po niefortunnej naszej potyczce pod Czerwoną Karczmą, zostałem wezwany przez jenerała Fersena, bym jako znający język polski, na czele dziesięciu huzarów, przemknął się do feldmarszałka Suworowa, który podobno gdzieś koło Brześcia Litewskiego stoi, i doniósł mu o tem, że korpus jenerała Fersena przeprawił się przez Wisłę i pragnie się z feldmarszałkiem połączyć. Polecił mi przytem jenerał Fersen, abym zawiadomił Suworowa, że korpus nasz liczy szesnaście tysięcy i dział sześćdziesiąt.

— To przesada! to nie może być! — zawołał jenerał Sierakowski.

— Tak mi kazał powiedzieć jenerał Fersen, a nie widzę dla czegoby miał kłamać — zauważył Podczaski. — Ja, który służę w tym korpusie oddawna, obliczam go nawet na więcej. Wolą to Bożą widać było, żebym naprawił moje winy i ostrzegł waćpanów, choć, szczerze mówiąc, nie miałem tego zamiaru. Sądziłem, bowiem, że ścigający nas ułani dawno już zawrócili do swoich, tymczasem oni spokojnie popasali konie we wsi Kaleniu i ja z mymi huzarami niespodzianie wpadłem w ich środek. Stało się! taka była wola Boża i błagam cię, jaśnie wielmożny Naczelniku, że jeżeli nie masz większych, a przynajmniej równych sił Fersenowi, to unikaj z nim bitwy. On jest zdecydowany na wszystko i jego żołnierze będą się bili jak lwy, bo wiedzą, że innego wyjścia nie mają, jak tylko zwycięstwo lub śmierć.

Słowa te wywarły na wszystkich obecnych silne wra-

żenie i zapanowało między niemi posępne milczenie. Po chwili Naczelnik rzekł:

— Nie mógłbyś mi waćpan narysować na karcie położenia obozu Fersena?

— Czemu nie? mogę to zrobić.

Podano mu tedy kartę białą papieru i ołówek, a on rozpoczął rysować, objaśniając gdzie stoją oddziały Tormasowa, Denisowa, Chruszczewa i Rachmanowa. Wszyscy obecni obstąpili stół, ponachylali się i ciekawie wpatrywali się w rysunek Podczaskiego i słuchali jego objaśnień. W sali panowała cisza, tylko rozlegał się śpiewny, akcentem litewskim brzmiący, głos jeńca Podczaskiego.

W ogólności jednak opowiadanie jeńca dość przygnębiająco oddziałało na wszystkich, bo choć Naczelnik i jenerał Sierakowski zaprzeczali temu, by nieprzyjaciel był tak silny, jak to mówił Podczaski, jednakże większość zebranych była przekonana, że było to prawdą, a przynajmniej rzeczą prawdopodobną. Stąd wielu najsmutniejsze snuło myśli i wśród znajdujących się w tej sali, pełnej jeszcze straszliwego zniszczenia, zapanowało posępne milczenie.

W tem adjutant Fiszer zameldował, że przybył od jenerała Henryka Dąbrowskiego goniec z wieściami. Gońcem tym był kapitan Wolski, który zjawił się w sali, cały pokryty kurzem, zmęczony nadzwyczajnie, ale z twarzą pełną radości. Skłonił się Naczelnikowi, a nawet w oznakę czci bezgranicznej dla tego wodza, schylił się i z uszanowaniem w ramię go ucałował, a Kościuszko mówił:

— Jak się masz obywatelu kapitanie? jakież nam wieści przynosisz?

— Dobre wodzu naczelny, bardzo dobre!

To rzekłszy, począł opowiadać, jak jenerał Dąbrowski dopadł na czele swego korpusu, znanego okrutnika, pruskiego jenerała Szekuli, pod miastem Bydgoszczą, jak go

pobił na głowę. Bydgoszcz szturmem zdobył, a samego Szekulego ciężko ranionego wziął do niewoli. Zdobyczą tego pięknego zwycięstwa było 313 jeńców, stu zabitych i 50 ranionych Prusaków, podczas gdy z polskiej strony stracono tylko 25 zabitych i 30 ranionych. Bogato zaopatrzone magazyny w żywność, mundury, proch i kule w Bydgoszczy, dostały się w ręce polskie. W końcu kapitan Wolski wręczył Naczelnikowi raport jenerała Dąbrowskiego, przez niego samego spisany o tym nowym triumfie broni polskiej, przyczem donosił, że wódz polski zamierza ruszyć na Toruń i miasto to, silnie ufortyfikowane, zdobyć.

Raport ten odczytany głośno wielką radość sprawił wśród zebranych i zatarł zupełnie smutne i przygnębiające wrażenie, wywołane przez opowiadanie Podczaskiego. Wszystkim rozjaśniły się twarze, wielu rzucało się sobie w ramiona w uniesieniu szczęścia, bo zdawało się, że przyćmiona gwiazda polska na nowo świetnym, dawnym blaskiem zajaśniała. Pan adjutant Niemcewicz zwrócił się do jenerała Kamińskiego i rzekł:

— A co? Twoje Liwjuszowskie kruki na klęskę, ale zwycięstwo wywróżyły.

— Oby tak było — rzekł pełen smutnych przeczuć Kamiński — wróżba rzymska, wysnuta z lotu kruków, nie Dąbrowskiego, ale nas dotyczy.

— Zobaczysz, że i nam szczęście przyniesie.

Ale już Naczelnik kazał się wszystkim rozchodzić, bo było późno i spocząć należało po przebytych trudach i nabrać sił do nowych. Niebawem na tym zrujnowanym dworze korytnickim zapanowały ciemności i senne milczenie.

IX

Pułkownik Krzycki wyszedł za innymi ze zrujnowanego dworu Korytnickiego i, rozmyślając nad tem co tam widział i słyszał, posuwał się wolno przez spaloną wieś, dążąc do swego pułku i do grenadjerów krakowskich, gdy nagle gdzieś przed nim w ciemnościach rozległ się głos:

— A! otóż i pułkownik Krzycki.

W tejże chwili kapitan Luke przystąpił do pułkownika i salutując po wojskowemu rzekł:

— Szukam pana pułkownika oddawna.

— Cóż takiego?

— Ta pani ma ważny do pana pułkownika interes.

To rzekłszy, odsunął się nieco na bok i wskazał ręką na jakąś mglisto rysującą się w ciemności sylwetkę kobiety. Pułkownik zdumiony, żwawo zapytał:

— Co za pani?

W tejże chwili krokiem wolnym, z szelestem swych sukien i czarnego welum, jak to wtedy nazywano, zbliżyła się do Krzyckiego jakaś wysoka, szczupła postać niewieścia, i głosem cichym, miękkim i żałośnym, spytała:

— Jakto? nie poznajesz mię panie kuzynie?

Pułkownik roztworzył szeroko ramiona i krzyknął:

— Andzia! bój się Boga, a ty tu co robisz?

— Przyszłam błagać twojej pomocy — odrzekła swym cichym, żałośliwym głosem, w którym drżały łzy, kobieta, nazwana przez pułkownika Andzią.

— Mojej pomocy? jakiej pomocy? wiesz dobrze, iż

wszystko gotów jestem zawsze dla ciebie zrobić, co tylko mogę. Lecz skąd się tu wzięłaś? skąd przybyłaś?

— Skąd? z domu, z Maciejowic.

— Z Maciejowic? przecież tam jest nieprzyjaciel?...

— Tak... ale możebyśmy gdzie spoczęli. Tak jestem zmęczona, że ledwie trzymam się na nogach, dwie noce już nie śpię...

— Do licha! gdzie tu spocząć? widzisz, że cała wieś jest spalona, zrujnowana, jednej chałupy niema całej... dalibóg nie wiem gdzie cię zaprowadzić.

— Możeby do dworu — wtrącił kapitan Luke.

— Tam stoi Naczelnik i sztab.

— Zawsze panie pułkowniku znajdzie się jakiś swobodny kącik. Dwór jest duży.

— A przytym jabym chciała się zobaczyć z samym Naczelnikiem, moja prośba bez jego wiedzy, nie może być spełniona.

Pułkownik Krzycki pomyślał chwilkę, wreszcie rzekł:

— A więc chodźmy.

Poprowadził ich do kuchni dworskiej, gdzie pokotem na słomie i sianie spało kilku oficerów, a adjutant Fiszer na pozbawionym dwóch nóg, haniebnie porąbanym i cudem utrzymującym się w równowadze stole, pisał coś przy blasku łojowej świeczki, wsadzonej w stłuczoną szyjkę od butelki. Gdy pułkownik Krzycki wszedł do kuchni, z damą i kapitanem Luke, Fiszer podniósł głowę i nie mogąc rozróżnić osób we włóczących się po tej wielkiej izbie, cieniach, spytał:

— A co tam? kto przyszedł?

Pułkownik Krzycki wysunął się naprzód i objaśnił o co idzie, ale Fiszer głównie zwrócił uwagę na to, że dama, zwana Andzią, przybywa z Maciejowic.

— Jakto! — pytał — pani wprost jedziesz z Maciejowic?



Pani Zaleska błaga o pomoc i ratunek

— Wprost, nie! teraz właściwie jadę od Puław.

— Ale jesteś pani z Maciejowic?

— Tak.

— Kiedyś z nich wyjechała?

— Wczoraj w nocy.

— Ależ do krocset, to jest ważne. Pani nam możesz udzielić wiadomości!

Podniósł świeczkę, żeby się lepiej przypatrzeć przybyłej zanurzonej dotąd w ciemnościach tłukących się po kątach, których jedna łojówka rozpędzić nie mogła. Na swe wielkie zdziwienie ujrzał przed sobą kobietę młodą, o jasnych, złocistych, koloru dojrzałego zboża włosach, ubraną w czarne suknie, otuloną wielkim szalem, także czarnym. Stała przed nim w swej wysokiej, smukłej postaci, z oczami szeroko rozwartemi, a łzy jej po twarzy ciekły strumieniem i łamiąc ręce, składając je jak do modlitwy, szeptała:

— Panie, ratuj mego męża!

— Jakiego męża?

— Mojego... wzięli go, uwięzili, chcą powiesić.

— Nic nie rozumiem — rzekł Fiszer i zwracając się do Krzyckiego, spytał:

— O co to idzie? Czy pułkownik znasz tę damę?

— To jest pani Anna Zaleska, moja daleka kuzynka. Ale panie adjutancie, proszę nas zaprowadzić w jaki kąt spokojny, tam o wszystkiem pogadamy.

— Do krocset! Nie bardzo mam czas... tu jest najważniejsze, że ta pani z Maciejowic przybywa... hm! hm! ano chodźmy. Może się jaki kąt znajdzie...

Jakoż taki kąt, dzięki ordynansowi adjutanta Fiszera, znalazł się od strony ogrodu. Był to maleńki pokoik, zapewne niegdyś zamieszkały przez jakąś młodą kobietę, może córkę właściciela, bo obity był różową materją, teraz w strzępach wiszącą na ścianach i w kącie leżały szczątki

pięknej, gdańskiej toalety damskiej, porąbanej i potłuczonej haniebnie. Ordynans pozatykał papierami, książkami i jakiemiś szmatami wybite okna, sprowadził kilka krzeseł, z których każdemu brakowało albo nogi, albo poręczy, i tutaj to Fiszer przyjął swoich gości, nieznajomą damę, pułkownika Krzyckiego i kapitana Luke. Łojowa świeczka, ciągle osadzona w szyjce stłuczonej butelki, słabo oświecała ten pokój, zgęszczając cienie po kątach, migotając blaskiem nikłym po twarzach i postaciach zebranych tu osób.

Skoro już wszyscy pomieścili się jak mogli, adjutant Fiszer zapytał, zwracając się do pani Zaleskiej:

— O cóż więc idzie?

Dama podniosła zasłaniający jej twarz czarny „welum“ i głosem, który do serca przenikał, przyczem płakała ciągle, poczęła opowiadać, że mąż jej, pan Feliks Zaleski, był we wsi Uchacze rządcą folwarku należącego do dóbr Maciejowickich pana Zamoyskiego, i że gdy jenerał Fersen przeszedł ze swym korpusem przez Wisłę, więc Uchacze zajął jenerał Rachmanow, i trzeba nieszczęścia, że jakiś żołnierz poznał jej męża, jako tego, który w Warszawie koło kościoła Karmelitów na Lesznie, w czasie powstania w kwietniu, dowodził oddziałem mieszczan warszawskich. Żołnierz ów twierdził uparcie, że Zaleski sam osobiście zabijał poddających się Rosjan, że jest niebezpieczny buntownik, tak że jenerał Rachmanow kazał rządcę aresztować i odgraża się, że go powiesi. Więc żona jego, pani Anna Zaleska, chcąc ratować męża, błagała jenerała Rachmanowa, by go puścił, zaręczając, że to wszystko nieprawda, że przecież nie można polegać na świadectwie jednego, pijanego „sałdata“, że klękała przed okrutnym komendantem rosyjskim, u nóg mu się włóczyła i tyle tylko uzyskała, że się wstrzymał z wykonaniem natychmiastowego

wyroku i odesłał ją do głównego dowódcy, jenerała Fersena.

Tu pani Zaleska zalała się łzami i dla powstrzymania łkań, szarpiących jej piersi, na chwilę wstrzymała się z opowiadaniem swej smutnej historji, a adjutant Fiszer, rzekł:

— Nie wiem co my tu w tem wszystkiem pomóc waćpani możemy. Ale byłażeś waćpani u jenerała Fersena?

Nieszczęśliwa kobieta obtarła łzy, siłą woli płacz swój powstrzymała i rzekła:

— Ach panie oficerze, byłam, byłam. Padłam przed nim na kolana i tyle mojemi błaganiami wyjednałam, że przyobiecał całą sprawę sam później rozpatrzyć, bo, jak mówił, teraz czasu niema. Ofuknął mię srogo i kazał mi w końcu precz iść.

— A gdzież jest kwatera jenerała Fersena?

— We wsi Tyrzynie.

— Gdzież to jest ta wieś Tyrzyn?

— Niedaleko Maciejowic, nad samą Wisłą. Tam most zbudowali i tamtędy przeszli przez rzekę.

— A nie wiesz waćpani dużo ich tam jest?

— Ach panie oficerze, czyż ja mogłam o tem myśleć i ich liczyć? Ja myślałam tylko o moim nieszczęśliwym mężu. To tylko mogę powiedzieć, że ich jest straszna moc, piechota, kawalerja, armaty, jak okiem zasięgnąć wszędzie jeno widać „sałdatów“, a wszystko straszne i odgraża się, że wyrżną Polaków do cna, do nogi, że nikomu za Warszawę pardonu nie dadzą.

Znów zalała się łzami, ręce łamała i była w takiej rozpaczy, że kamienie by poruszyła. Żal się zrobiło Fiszerowi i rzekł:

— Współczuję położeniu waćpani, ale cóż my ci poradzić możemy? Miej nadzieję w Bogu, a skoro mąż wać-

pani nic nie jest winien, to przecie nie powieszą go. I oni są ludzie, nie dzikie zwierzęta.

— Ach panie oficerze! — zawołała z krzykiem rozpaczy — więc mię opuszczacie, więc właśni rodacy nic mi dopomóc nie chcą?

— Ale cóż my waćpani pomóc możemy? w jaki sposób, powiedz? Zresztą przecież najdziksi nawet ludzie nie karzą niewinnego człowieka.

— Boże mój! kiedy mój mąż, mój Feliks drogi, był w rzeczy samej wtedy w Warszawie i bił się z mieszczanami na Lesznie, ale nie mordował nikogo, owszem wielu ocalił przed zajadłością ludu. Być może, iż i temu „sałdatowi", który go teraz oskarżył, ocalił życie i takiej za to doczekał się wdzięczności. O! ja nieszczęśliwa! o biedny mój mąż!

Znów załamała ręce, znów łkania szarpały nią, aż litość budziła, wreszcie uspokoiwszy się nieco, rzekła:

— Jest przytem jeszcze jedna rzecz, o której w tem strasznem mojem nieszczęściu zapomniałam panu powiedzieć. Mój mąż przechowywał u siebie mnóstwo papierów, listę tych wszystkich mieszczan warszawskich, którzy należeli do spisku, listę składek całej tutejszej okolicy, korespondencję z Litwą, bo my pochodzimy z województwa wileńskiego, a mój mąż ma tam dużo krewnych i znajomych, listy pisane w sprawie insurekcji do ziemian znajomych na Ukrainie i Podolu, i bo ja tam wiem co jeszcze. To jedno tylko wiem, że mąż mój nieraz mi mówił, że gdyby te papiery dostały się do rąk Rosjan, to setki osób ciężkoby za to odpowiedziało...

— Do licha! — zawołał Fiszer — czemuż on te papiery przechowywał, takie rzeczy się niszczy.

— Musiał je przechowywać, bo pan nie wie, panie oficerze, że mój mąż w tej okolicy był główną osobą insu-

rekcji, że przez niego odbywała się komunikacja z obywatelami na Podolu, Ukrainie, Litwie i w Mińszczyźnie...

— Aaa! a jak to się nazywa mąż waćpani?

— Feliks Zaleski.

— Prawda! prawda! przypominam sobie. W istocie przez niego rząd nasz prowadził korespondencję z tamtemi prowincjami. Tak, tak, to dzielny człowiek i dobry patrjota. Ale cóż się stało z temi papierami? Zabrał je ten... jakże on tam... Rachmanow?

— Dotąd nie. Bo jak tylko mąż mój dowiedział się, że korpus nieprzyjacielski przeprawia się przez Wisłę, część tych papierów spalił, ale najważniejsze zebrał w skórzany pugilares i chciał w ziemi, w ogrodzie zakopać. Ale już nie było czasu, bo kozacy do naszego dworku wpadli, więc mąż ten pugilares schował w cholewie od buta, rachując na to, że jak kozacy odejdą, to on go zakopie w sadzie. Ale kozacy nie odeszli, a tymczasem z piechotą nadciągnął jenerał Rachmanow i kazał zaraz swoim „sałdatom" dawać jeść a kozakom siana i owsa. Mój mąż poszedł do śpichrza, żeby wydać to wszystko i wtedy to ów niegodziwy „sałdat" poznał mego męża, i zaraz doniósł jenerałowi, który nie pytając o nic, przykazał schwytać mego Felisia i krzyczał i tupał nogami, wołając: ach ty miatieżnik! ach ty buntowszczyk! i inne brzydkie wyrazy...

— Więc mąż waćpani ma te papiery przy sobie.

— Tak, panie oficerze.

— Do licha! a to bigos! to nieszczęście! Bo widzisz waćpani tu nie idzie o samego męża waćpani, choć przypominam sobie, że to jest zacny patrjota, wielkie usługi oddał naszej insurekcji, ale o tyle osób, które mogą ciężko odpokutować za to, że ojczyznę swą kochały. Do krocset co tu robić?

— Panie oficerze, ratuj mego męża! zmiłuj się, błagam cię na Boga, na wszystko co święte!

— Ale cóż ja tu poradzić mogę! Jużcić ze względu na te papiery, cośby trzeba poradzić, ale jak, co, sam nie wiem.

— Tu niema innego środka — odezwał się nagle milczący dotąd kapitan Luke — tylko trzeba wykraść pana Zaleskiego.

Na chwilę zapanowało milczenie, wszyscy spojrzeli na mówiącego, a adjutant Fiszer rzekł nie bez pewnego szyderstwa w głosie:

— Rada pana kapitana Luke byłaby piękną, gdyby była rozumną i miała w sobie jakąkolwiek możliwość wykonania. Łatwo powiedzieć: wykraść, ale trudno tego dokonać.

Kapitan Luke, zadraśnięty temi słowy, podniósł się i rzekł tonem ostrym:

— Panie adjutancie, skoro ja, kapitan Teofil Luke, taką radę daję, to znaczy, że sam podejmuję się ją wykonać.

— Waćpan, panie kapitanie, podejmujesz się ją wykonać? podejmujesz się wykraść pana Zaleskiego z pośrodka obozu nieprzyjacielskiego?

— Tak, podejmuję się.

— Pan, pan się podejmujesz? czyś się zastanowił nad tem?

— Czym się zastanowił czy nie, to do rzeczy nie należy, dość, że się podejmuję to zrobić i zrobię, tak mi Boże dopomóż, choćby mi przyszło głową nadłożyć. Ja znam pana Zaleskiego, sam pochodzę z Podola i wiem ilu tam moich znajomych i przyjaciół może przez te nieszczęśliwe papiery pojechać na Sybir, a może i śmiercią przypłacić. Dla tego czuję się w obowiązku zrobić wszystko co można, by ich ocalić. Oto co jest.

— Bardzo to pięknie, ale jakże pan kapitan myśli to zrobić?

— Jeszcze nie wiem i taka impreza wymaga namysłu i rozwagi, ale że ją zrobię, że wszystko uczynię co jest w mocy ludzkiej, to jest tak pewnem, jak to, że w tej chwili jest noc, a rano słońce wejdzie.

Gdy to mówił, czuć było, że dokona tego co powiedział, i pani Zaleska w uczuciu wdzięczności z krzykiem rzuciła się przed nim na kolana i obejmując je rękami, wołała:

— Niech ci Bóg wynagrodzi dzielny mężu! ty jeden zrozumiałeś i odczułeś rozpacz moją, niechże ci Pan Jezus da tyle szczęścia w życiu, ile kropli krwi jest w mych żyłach.

I błogosławiła go i obejmowała rękami za kolana, całowała po rękach, aż bronić się musiał i podniósł ją prawie siłą, wołając:

— Ale co waćpani robisz, pani Feliksowa dobrodziejko, godzi się to, by dama całowała po rękach mężczyznę? Ale wstańże waćpani, proszę wstań!

Adjutant Fiszer patrząc na to rzekł:

— Niech no waćpani się uspokoi, bo tu trzeba się naradzić. Jeżeli kapitan Luke decyduje się na taką niebezpieczną imprezę, gdzie łacno może zginąć, to trzeba wszystko poważnie i gruntownie rozważyć. Niechże mi kapitan powie, czy zamyśla sam jeden udać się do obozu nieprzyjacielskiego?

— Sam? nie! będę potrzebował choć dwóch zdecydowanych na wszystko ludzi, ale nie więcej. Prawda pani Feliksowo dobrodziejko?

Ale pani Feliksowa po nadzwyczajnym wybuchu żalu i wdzięczności, nagle uczuła się tak osłabioną, że usiadła na połamanem krześle i opuściwszy głowę i ręce na dół, podobną była raczej w swych czarnych sukniach i w swym czarnym welonie do posągu rozpaczy i zniechęcenia, niż do żyjącej istoty. Świeczka łojowa, osadzona ciągle w szyjce od stłuczonej butelki, niedobrze osłonięta

od wiatru, który przez źle zatkane okno przedostawał się do pokoju, migotała się gwałtownie i rzucała raz blaski, to znów wielkie cienie na tę nieszczęśliwą kobietę i na tych zbrojnych mężów. Z zewnątrz, ze dworu dochodził tylko lekki szum drzew, szelest spadających liści i gwar stłumiony obozowiska żołnierzy.

Tymczasem adjutant Fiszer mówił:

— Dwóch ludzi, a zkądże ich pan kapitan weźmiesz?

— Już ja ich sobie znajdę.

— Gdzie? tu w wojsku?

— Oczywiście, że w wojsku. Gdzieżby?

Adjutant Fiszer wstał i rzekł:

— Tak czy owak, nie może to być zrobione bez pozwolenia Naczelnika. Szkoda tylko, że śpi, a mnie żal go budzić, tak jest zmęczony.

— Trudno panie adjutancie, sprawa jest ważna, los paru tysięcy najdostojniejszych obywateli od tego zawisł — odezwał się milczący dotąd pułkownik Krzycki. Czasu przytem jest niewiele, zwlekać nie można, bo kto wie co się tam dzieje z panem Zaleskim...

Pani Zaleska jęknęła żałośliwie:

— Bój się Boga kuzynie! więc przypuszczasz że mimo przyrzeczeń ich jenerała mogą mi męża zamordować?

— Tego nie przypuszczam, jaki on tam jest ten Fersen, ale zawsze żołnierz, który słowa dotrzyma. Ale widzisz kuzynko, mogło im przyjść do głowy zrewidować pana Feliksa... co nawet, mówiąc prawdę, powinni byli zaraz zrobić.

— Boże wielki! — zawołała dama łamiąc ręce.

— No, niema czego rozpaczać — mówił dalej pułkownik Krzycki swym spokojnym, ufność budzącym głosem — może się to stać, a może się nie stać. Wszystko jest w ręku Boskiem, a człowiek powinien czynić co do niego należy. Otóż panie adjutancie, racz udać się do Na-

czelnika, opowiedz mu wszystko i wyjednaj pozwolenie dla kapitana Luke i paru żołnierzy, których on sobie wybierze, do udania się tam, dokąd uznaje za stosowne się udać. A my tu tymczasem poczekamy na rezolucję Naczelnika. Tylko racz panie adjutancie pośpieszyć się, bo tu każda chwila jest drogą.

— Idę! — odrzekł Fiszer i wyszedł.

W małym pokoiku, w którym migotała świeczka i szeleściało różowe pozrywane, zwieszające się kawałami ze ścian obicie, została nieszczęśliwa, zrozpaczona, na pół nieprzytomna dama i dwaj żołnierze, oczekujący z niecierpliwością na powrót adjutanta Fiszera.

X.

Po wyjściu adjutanta Fiszera, zapanowało wśród trzech pozostałych osób głębokie milczenie. Każda z nich pogrążona była w swoje bardzo zresztą niewesołe dumy. Pani Zaleska myślała o swym nieszczęśliwym mężu, któremu śmiertelne groziło niebezpieczeństwo i od czasu do czasu wzdychała ciężko, ocierała łzy, wstrząsana łkaniem i płaczem; kapitan Luke zastanawiał się zapewne nad tem, w jaki sposób wykonać zamierzone przedsięwzięcie, bardzo ryzykowne i niesłychanie trudne. Pułkownik Krzycki wstał z krzesła, które chwiało się pod nim, przeszedł się parę razy po pokoju, stał przez chwilę przy oknie, patrząc przez resztki szyb na ogród, na niebo usiane gwiazdami niedawno, teraz jednak powoli zaciągające się chmurami. Nagle jakby pragnąc rozjaśnić zadawane sobie w duszy pytanie, zwrócił się do pani Anny i rzekł:

— To jednak dziwne, kuzynko, że ty, sama jedna kobieta, potrafiłaś wymknąć się z Uchacza i przez całe wojsko nieprzyjacielskie przejechać aż tutaj do nas. Nikt cię nie zaczepiał? nikt ci nie bronił przejazdu?

— Ach, kuzynie, — odrzekła na to pani Anna — dużo przeszłam i dużo potrzebowałam odwagi, by swego zamiaru dokonać. Ale Bóg Wszechmogący mię wspierał. Nie przejeżdżałam ja wcale przez ich wojsko, tylko nocą wymknęłam się z naszego dworku niepostrzeżenie ku Wiśle, do folwarku leżącego nad samą rzeką, zwanego Prze-

wóz. Potrafiłam szczęśliwie się tam dostać, brnąć po bagnach i błotach. Spotkał mnie wprawdzie jakiś młody huzar, który był u nas we dworze w Uchaczu, bardzo grzeczny młodzieniec i dałam mu wtedy butelkę wina, bo mówił, że mu zimno i mokre ma na sobie ubranie, za co mi serdecznie podziękował i nawet powiedział jak się nazywa... Fedor Łysienko. Otóż ten pan Fedor Łysienko, zdybał mnie brnącą po błocie i spytał „Kuda ja idę?" i coś tam jeszcze gadał, czego ja nie zrozumiałam, ale grzecznie mówił i nie fukał jak inni. Czy i on mię rozumiał, nie wiem. Powiedziałam mu, że idę do drugiego folwarku po siano i po owies, on jeszcze coś gadał, wreszcie machnął ręką i pojechał.

— No! no! to jakiś grzeczny człowiek — odezwał się kapitan Luke, ciekawie przysłuchując się opowiadaniu pani Zaleskiej.

— Bardzo grzeczny — ciągnęła ona dalej. — Dość, że dostałam się szczęśliwie do Przewozu. Kozaków tu nie było, bo folwark ten leży nieco z boku, ale swoją drogą wszyscy, kto żył, wynosili się albo do boru, albo na drugą stronę Wisły. Bóg mi jakoś sprzyjał, że natknęłam się na znajomego mi rybaka Jędrzeja, który właśnie z żoną i chłopcem swoim wybierał się przeprawić na łódce, na brzeg przeciwny. Pytał mnie się, czy ja uciekam, a gdy mu powiedziałam, że tak i prosiłam go, by mnie zabrał, zgodził się na to chętnie, dziwił się tylko, żem męża opuściła. Mój Boże! nie wiedział jakie mię nieszczęście spotkało, ale ja mu nic nie powiedziałam. Dość, że szczęśliwie dostaliśmy się na drugą stronę, i tu we wsi Bielany najęłam za grube pieniądze, bo nikt nie chciał jechać i każdy się bał, furmankę i na Kozienice, dojechałam dobrze już za dnia do Sieciechowa. Tu znowu przeprawiłam się przez Wisłę i gdy mi powiedziano w Stężycy, że nasi stoją w Okrzei, pojechałam tam. Ale gdy przybyłam,

już nikogo nie zastałam, dowiedziałam się tylko, że wojsko poszło do Kłoczowa. Tak goniąc, dogoniłam przecie panów w Korytnicy. Oto jest moja historja.

— No! no! kuzynko, zaiste dzielną jesteś niewiastą! — zawołał pułkownik Krzycki.

— A maszże waćpani pieniądze? — spytał nagle Luke.

— Zabrałam co miałam w domu, cały tysiąc złotych. Jeżeli panu potrzeba, wszystko oddam co do grosza.

— Ale co też waćpani mówisz? — zawołał Luke — mnie wcale nie potrzeba pieniędzy. Pytam się jeno dla tego, że według mego planu, będziesz waćpani musiała, oczywiście jeżeli Naczelnik się zgodzi na naszą imprezę, zaraz jechać i nie szczędzić grosza, by najpóźniej jutro świtaniem być w tej wsi, do której z Uchacza się przeprawiłaś.

— W Bielanach?

— Tak.

— Jeżeli potrzeba, to będę, choćbym miała całe tysiąc złotych stracić. Wszystko zrobię, wszystko poświęcę, byle mego Felisia wyratować. Już nie pojadę na Stężycę i Sieciechów, bo to daleko i kołuje się bardzo, ale puszczę się ztąd do Wargocina, to znacznie bliżej, tam się przez Wisłę przeprawię...

— A nie natkniesz się gdzie waćpani na kozaków?

— Bogu się w opiekę oddam. Co będzie, to będzie, ale nie myślę, bym w Wargocinie ich spotkała. Oni wiedzą o naszych i rozpuścili kozactwo ku Godziszowi i Kaleniowi, ale tam ku Wargocinowi chyba ich niema. Zresztą wola Boża.

Urwała i łkając głośno, chustkę do oczów przycisnęła. Zapanowało znów milczenie, a pułkownik Krzycki zwracając się do Lukego, spytał:

— Dużo pan kapitan myśli wziąć ze sobą ludzi?

— Najwyżej dwóch. Muszę mieć kogoś co dobrze zna

tę okolicę, sądzę, że ten dzielny kosynier, który tak walecznie bił się w Czerwonej Karczmie, Kłonica nazwiskiem, a który z tych stron pochodzi, chętnie pójdzie ze mną. Wezmę też podoficera Rędzinę, znam go oddawna, jest przytomny i rezolutny.

— A maszże, panie kapitanie, jaki plan?

— Przebiorę się za chłopa bez broni, jeno z pistoletami w kieszeniach, naładowawszy furę sianem, którego tu jest mnóstwo, ruszymy ku Maciejowicom, niby dostawiając rekwizycję do ich wojska, a potem zobaczymy...

— Hm! planta niezła, byle się tylko udała.

— W Bożym to jest ręku — odrzekł Luke — ale muszę się też waćpani zapytać, jaki jest rozkład dworu w Uchaczu i gdzie uwięziony jest jej mąż?

Powstała z krzesła i rzekła:

— Żebym miała kartę papieru i ołówek, zaraz bym waćpanu narysowała plan domu i tę izbę, w której te zbóje zamknęli mego męża. Ten pokój jest od tyłu, od ogrodu, od strony Wisły. Żebym miała papier...

W tejże chwili wszedł adjutant Fiszer. Nieszczęśliwa kobieta ujrzawszy go, skamieniała i wlepiwszy weń oczy z widocznem drżeniem w całem ciele, oczekiwała jaką wiadomość przynosi.

— No! — rzekł Fiszer — Naczelnik dał pozwolenie waćpanu, panie kapitanie. Możesz robić co chcesz, brać ludzi ilu ci się podoba i jakich chcesz, by wyratować pana Zaleskiego. Naczelnik, muszę to powiedzieć, dość niechętnie się na to zgodził, powiadał, że się to nie uda, udać się nie może i szkoda, gadał, walecznego kapitana Luke, ale z drugiej strony ważną jest rzeczą wydobyć pana Zaleskiego z rąk nieprzyjaciół...

Pani Zaleska westchnęła ciężko, jakby jej kamień z serca spadł, i tak jak stała z głośnem szlochaniem upadła na kolana i obejmując nogi Fiszera, wołała:

— O! niech ci to Bóg wynagrodzi, panie! oby ci się szczęściło we wszystkiem, co zamierzysz. Całe życie modlić się za ciebie będę...

Nie mogła więcej mówić, bo łzy i wzruszenie odebrały jej siłę i widocznie osłabła biedna kobieta, bo słaniąć się poczęła i o mało nie padła na ziemię. Pośpieszyli jej z pomocą wszyscy, podnieśli ją, usadowili na krześle, a pułkownik Krzycki mówił:

— Odwagi kuzynko, odwagi! Nie trzeba tracić sił w chwili, gdy ci ich najwięcej potrzeba.

— Niech Bóg da zdrowie Naczelnikowi! — mówiła — niech go ma w swojej świętej opiece.

— Głównie to pan Niemcewicz przekonał Naczelnika — mówił adjutant Fiszer — że jeżeli można, to trzeba ratować pana Zaleskiego. Naczelnik zrazu chciał posłać parlamentarza z trębaczem do jenerała Fersena, proponując zamianę Podczaskiego za pana Zaleskiego, ale toby zwróciło uwagę Fersena, że nam coś zależy na osobie Zaleskiego, sprawę by pogorszyło tylko, a do zamiany by nie przyszło. Przytem Podczaski za nic nie chce tam do nich wracać. Dość, że Naczelnik rzekł: a więc niech Luke robi jak uważa. Maszże pan kapitan jaki plan?

— Mam, ale jeszcze niewyraźny. Można prosić pana adjutanta o kawałek papieru i ołówek?

— Na co?

— Pani Zaleska narysuje mi rozłożenie swego domu.

Więc Fiszer sięgnął do teki, wydobył z niej żądane przedmioty i rzekł:

— Naradzajcież się waćpaństwo, a ja idę się trochę przespać. Żegnam waćpanią i oby Pan Bóg uwieńczył jej zabiegi dobrym skutkiem.

Z dość niezgrabnego ale jasnego rysunku pani Zaleskiej, pokazało się, że dwór w Uchaczu stoi tyłem do Wisły i że od tej strony ma dość krzaków i zielska. Okazało

się dalej, że męża jej zamknięto w małym pokoiku od tyłu, do ogrodu, że pokoik posiada jedno tylko, ale za to opatrzone w kraty okno i ten wzgląd, uniemożliwiający ucieczkę skłonił zapewne jenerała Rachmanowa do pomieszczenia w izbie tej więźnia.

— Kraty! — zawołał kapitan Luke. — Zkądże u licha w zwyczajnym wiejskim dworze znalazły się kraty w oknie?

— W Uchaczu kiedyś tam, jeszcze za ojca pana Zamoyskiego, mieścił się zarząd dóbr Maciejowickich, i w tym pokoju przechowywano kasę, dlatego w obawie złodziejów zaopatrzono okno w kratę żelazną — odrzekła pani Anna.

— Do krocset — zawołał Luke — to znacznie utrudnia położenie. W jakiż sposób ja się dostanę do tego pokoju?

Pani Zaleska znów zalała się łzami i rzekła:

— Prawda! nie pomyślałam o tem. O mój Boże, co tu zrobić?

— No! niech no waćpani nie rozpacza — odparł Luke — jakoś i na to się poradzi. W mojem życiu przekonałem się nieraz, że niema takiego położenia, z któregoby nie było wyjścia. Nie trzeba więc rozpaczać i płakać, bo płacz nic nie pomoże.

Zamyślił się na chwilę i dodał:

— Z tego wszystkiego widzę, że waćpani musisz wrócić do Uchacza. Bez pomocy waćpani i jej obecności tamże, nic nie zrobimy.

— Dobrze panie, wrócę do Uchacza, skoro potrzeba — wszystko zrobię, na wszystko się narażę, byle męża ocalić.

— Więc zbieraj się waćpani i jedź!

— Za pozwoleniem — wtrącił się milczący dotąd pułkownik Krzycki — czy pan kapitan myśli jeszcze tej nocy wydobyć z więzienia mego kuzyna?

— Czy tej nocy? ano bo ja wiem, czy się to da zrobić.

— A wie pan kapitan, która jest teraz godzina?

— Nie wiem.

— Pierwsza po północy.

— Do krocset, jak to czas leci. Anim przypuszczał, że to tak późno.

— A późno. Nim państwo się ostatecznie ułożycie, bo przecież to, coście dotąd mówili, nie stanowi ściśle określonego planu działania, nim moja kuzynka znajdzie furmankę, a waćpan udasz się do obozu, pobudzisz owych dwóch zuchów, z którymi masz swego zamysłu dokonać, nim wyszukasz fury i naładujesz na nią siana, będzie już z pewnością dzień. Na dzisiejszą noc niema co liczyć i trzeba całą imprezę odłożyć na jutro. Kuzynka tymczasem odpocznie sobie choć parę godzin, bo widzę, że upada ze zmęczenia.

Kapitan Luke zamyślił się chwilę i rzekł:

— Ma pan pułkownik racją, dziś już nic nie da się zrobić, a przytem przyszła mi nowa myśl do głowy.

— Cóż takiego? co takiego? racz pan kapitan powiedzieć, bo wobec tego wszystkiego mnie rozpacz ogarnia, głowę tracę! O! o ja nieszczęśliwa! — wołała z niewypowiedzianym żalem w głosie pani Zaleska.

— Mówiłem już waćpani, że rozpacz nic nie pomoże i złym jest doradcą. Jeżeli waćpani chcesz męża uratować, to trzeba działać spokojnie, przytomnie i z rozmysłem. Otóż mnie przyszła myśl, że jeżeli ja z sianem pojadę drogą od Korytnicy, to wzbudzę tem podejrzenie, boć przecie oni doskonale wiedzą, że nasze wojsko tu obozuje i że potrzebując sami siana dla koni, nie pozwoliliby go zawozić do nieprzyjaciela. Czy nieprawda, panie pułkowniku?

— Oczywiście, że prawda. Tak! tak! toby zaraz obu-

dziło podejrzenia. Nie możesz pan kapitan jechać wprost z Korytnicy, stanowczo nie!

— Otóż tedy, ponieważ już tej nocy nic nie zrobimy, ja radzę, żebyś waćpani teraz sobie odpoczęła i sił nieco nabrała, bo widzę, że omdlewasz z utrudzenia.

— To nic nie znaczy! — zawołała nieszczęśliwa kobieta — jeżeli trzeba, natychmiast, choćby pieszo udam się w drogę, znajdę jeszcze siły w sobie.

— Nie! nie trzeba — odrzekł Luke — dziś już nic nie zrobimy. Niech więc waćpani sobie spocznie, tylko ja nie wiem — zwrócił się do pułkownika Krzyckiego — gdzie tu tę damę pomieścić. Dwór cały zajęty, a we wsi niema ani jednej chałupy niespalonej.

— Hm! w ostateczności może kuzynka spocząć na mojej bryczce — rzekł Krzycki — nie będzie tam wygodnie, ale może lepiej jak na gołej ziemi.

Pani Zaleska, ocierając łzy, które ciągle strumieniem płynęły z jej oczów, rzekła nieśmiało:

— Gdzie mnie myśleć o spoczynku, kiedy nad moim mężem śmierć wisi! Czyż istotnie nic się dziś zrobić nie da? Zaklinam panów na wszystko, co macie świętego, zastanówcie się! O! mój Boże! mój Boże! czemuś na mnie spuścił tak straszne nieszczęście?!

— Niech no się waćpani uspokoi, wszystko się zrobi co można, ale działać trzeba ostrożnie i mądrze, a co nagle, to po djable. Otóż tedy, niech sobie waćpani spocznie na bryczce pana pułkownika, a ja tymczasem przygotuję wszystko, co trzeba będzie, i jutro rano ruszymy razem do Wargocina.

— Do Wargocina? — zapytała pani Zaleska.

— Tak do Wargocina. Zastanowiłem się nad tem i przyszedłem do przekonania, że tak będzie najlepiej. Waćpani przeprawisz się tam przez Wisłę i ruszysz zaraz do Bielan. Widzi mi się, że waćpani tak tę wieś nazwała?

— Tak.

— Otóż to. W Bielanach wyszukasz waćpani znajomego ci rybaka Jędrzeja, jeno czy to człowiek pewny i czy nie zdradzi?

— Znam go oddawna i mniemam, że jest człowiekiem uczciwym. Zresztą oddam mu wszystkie pieniądze, jakie mam, obiecam co będzie chciał. Ale cóż on ma robić?

— Ma waćpanią przeprawić na prawy brzeg, do Przewozu, i tam czekać z łodzią, dobrze ukrytą. Czy będzie tam gdzie łódź ukryć?

— O! oto najmniejsza. Tam jest kilka łach, jakie rzeka tworzy, a wszystkie obrosłe tak gęsto wikliną, że łódź jaknajdoskonalej się ukryje.

— Więc dobrze. Trzeba żeby łódź była dość duża, tak, żeby nas sześć osób, liczę już z przewodnikiem, mogła pomieścić i bezpiecznie dostawić na drugi brzeg.

— Jędrzej ma łódź dużą, choć ciężką trochę.

— To mniejsza, dopomożemy mu przy wiosłowaniu. Niech zabierze ze sobą ze cztery wiosła. Byle wszystko inne szczęśliwie poszło i bylebyśmy się na łódź dostali, to już zresztą damy sobie radę.

— Ale cóż ja mam robić?

— Waćpani, jakby nic, wrócisz do Uchacza, spenetrujesz wszystko dobrze i czekać będziesz na mnie i moich zuchów. A już na miejscu ułożymy się, co i jak robić należy.

— Hm! — wtrącił pułkownik Krzycki — rozumiem plan ten pana kapitana. Najgorszem jednak będzie to, co moja kuzynka powie, jeżeli ją w Uchaczu zapytają: a gdzie to waćpani byłaś? zkąd wracasz? wszak nie widzieliśmy cię przez dwie noce i dzień, gdzieżeś to waćpani przebywała?

— Ha! na to, już ja rady dać nie mogę — odezwał się kapitan Luke — sama pani Zaleska może tylko zna-

leźć odpowiedź, znając miejscowe stosunki. No! mówże waćpani, co powiesz gdy ci takie pytania zadadzą?

Pani Zaleska milczała przez chwilę, widocznie bijąc się z myślami, wreszcie rzekła:

— Nie wiem co powiem. Bóg mię natchnie z pewnością, a może też wcale mi takich pytań nie zadadzą. Nikt nie widział, jak się wymknęłam z Uchacza, prócz jednego oficera huzarów, Łysieńki, ale ten, nawet gdyby mnie powtórnie zobaczył, to mię nie zdradzi, młodzieniec jest grzeczny i honorowy.

— Nie można się na to spuszczać. Ja tam w ich grzeczność i honor nie wierzę. I myślę, że trzeba koniecznie wynaleźć jakąś odpowiedź — zauważył pułkownik Krzycki.

— Bóg mnie natchnie! — powtórzyła pani Zaleska.

— Zapewne, proszę kuzynki, wszystko jest w ręku Boskim, ale pomagaj sobie, a Bóg ci dopomoże.

— Nie maszże waćpani jakich dobrych znajomych, albo krewnych z drugiej strony Wisły, na których w razie potrzeby mogłabyś się powołać, że do nich jeździłaś? — pytał kapitan Luke.

— Jużcić znajomych mam, choćby księżnę Wirtemberską w Mniszowie, lub opata księży Benedyktynów w Sieciechowie, a nawet w Kozienicach znam pana gubernatora kozienieckiego, ale wszystkich ich niema, wszyscy pouciekali, bo kiedy jenerał Fersen szedł od Warszawy, to palił wsie i miasta po drodze, a ludzi zabijali. Cała tamtejsza strona opustoszała. Kto tylko mógł, z duszą uciekał. Ale niech się panowie o to nie troszczą, co ja powiem, gdy mnie się zapytają, gdzie ja byłam. Bóg mię natchnie, a może, powtarzam, wcale pytać mię nie będą. Tam taki panuje zamęt, jedni przybywają, drudzy odchodzą, wojska ciągle się zmieniają, że może nawet nie zauważyli mojej nieobecności. A jak się zjawię znowu, to cóż

w tem będzie dziwnego? Wszak jestem gospodynią domu. Została w Uchaczu stara moja sługa, kobieta mądra i wygadana. Uciekając, prosiłam jej, by na wszystko miała oko. Janowa się z męża nazywa.

— Więc ta służąca Janowa, wiedziała, że waćpani zamierzasz do nas się przedostać?

— Wiedziała, powiedziałam jej wszystko. To wierna sługa i zaleciłam jej, by pamiętała o mężu, jeść mu nosiła i co trzeba.

— Przypuszczać więc należy, że jeżeli zauważono nieobecność waćpani, to Janowa potrafiła to wytłumaczyć?

— Co prawda, nie mówiłam z nią o tem, nie sądziłam, że potajemnie wracać będę do Uchacza. Liczyłam na to, że Naczelnik list instancjonalny za moim mężem do jenerała Fersena napisze, że się coś takiego zrobi, że mi mę uwolnią. Nie przypuszczałam, że trzeba będzie uciec s do takiej imprezy, jaką waszmość panowie postanow liście.

— Coby nam pomógł list Naczelnika! — zawołał pułkownik Krzycki. — Wszak oni nas mają za buntowników, za wyjętych z pod prawa. Co też kuzynce przyszło do głowy!

— Ach kuzynie nie dziw się temu! Ja już sama w tem mojem nieszczęściu nie wiem, co myślę, co robię i co mam robić.

Wybuchła znowu płaczem, znowu łamała ręce w bezsilnej rozpaczy, a kapitan Luke starał się wszelkiemi sposobami ją uspokoić i natchnąć odwagą i męstwem.

— Z tego co waćpani mówisz o tej swojej słudze Janowej, widać, że da ona sobie radę i nic takiego nie powie co mogłoby waćpani zaszkodzić. Bądź co bądź, cokolwiek się stanie, waćpani musisz być w Uchaczu, w chwili gdy ja się tam zjawię z moimi zuchami i z furą siana. Gdyby jednak, czego Boże broń, waćpanią uwięziono, bo wszystko

trzeba przewidzieć, to staraj się ową Janową uwiadomić o tem, kto my i po co mamy przybyć do Uchacza. Bez takiej pomocy my sami nie będziemy mogli nic zrobić. Czy waćpani mię rozumiesz? czy pojmujesz całą doniosłość mojej rady?

— Ach, panie kapitanie, czy pan możesz o to pytać. Każde słowo pańskie ryje się w mojej pamięci niezatartemi głoskami. Zrobię jak pan każesz, niczego się nie ulęknę, przed niczem nie cofnę, bo wiem, że tu idzie o życie mego męża. Och, mój Boże, mój Boże, zlituj się nademną. Czy pan jednak przypuszczasz, że mogą mnie pod straż wziąć?

— Wszystko przypuszczać trzeba i na wszystko być należycie przygotowanym. Może się to nie stanie, może oni nie zauważyli ucieczki waćpani, może Janowa umiała ją wytłumaczyć. Wszystko to może być, ale może być inaczej, ecz dość już tego. Obgadaliśmy, zdaje się wszystko, a jeżeli eszcze przyjdzie albo pułkownikowi Krzyckiemu, albo waćpani do głowy jaka myśl, to zakomunikujemy ją sobie jutro, a raczej dziś, bo już jest po północku. A teraz niech waćpani idzie spocząć nieco, by nabrać sił do ciężkiego jutra, ja zaś idę do obozu, by pogadać z mymi zuchami i wystarać się o furmankę. Dobranoc waćpani, a proszę nie płakać i nie tracić nadziei. Bóg czuwa nad nieszczęśliwymi. Kłaniam się panu pułkownikowi.

Gdy kapitan Luke wyszedł na dziedziniec dworski, panowała tu senna cisza. Wszystko spało, tylko na ganku, przed drzwiami wchodowemi przechadzała się warta. Niebo z wieczora wygwiażdżone i czyste, zaciągnęło się chmurami i wiatr chłodny szedł od zachodu, co zapowiadało niepogodę. Psy we wsi wyły, zgliszcza tlały i ów cuchnący dym spalenizny unosił się ciężko nad ruinami chat. W oddali na wzgórzu dogasały ogniska obozowe, migocąc słabym, czerwonawym blaskiem przez zwieszający się tuż nad ziemią dym i mgłę wydobywającą się z sąsiednich mo-

czarów. Świat wyglądał smutnie i ponuro, noc była czarna, a bory, okalające wieś szumiały posępnie. Kapitan Luke szedł głęboko zamyślony, nie bez troski o jutro i myśli o niebezpieczeństwie, grożącem mu przy wykonaniu trudnego zadania, jakiego się podjął.

— Ha! co będzie, to będzie — rzekł w końcu do siebie — człowiek raz się rodzi i raz umrzeć musi, a czy wcześniej, czy później to ostatecznie na jedno wyjdzie!

XI

Podoficerowie Rędzina i Walek Kłonica, gdy ich kapitan Luke wezwał do siebie i powiedział im o co idzie, podrapali się po bujnych czuprynach, spojrzeli na siebie, przestąpili parę razy z nogi na nogę, wreszcie Rędzina rzekł:

— A no cóż? kiej pan kapitan przykazuje, to pójdziewa. A że ta człek może przytem kopyrtnąć, to i cóż? Raz kozie śmierć. Prawda Walek?

— A juści, że prawda.

— Bądźcie więc gotowi, gdyż świtaniem pojedziemy — mówił kapitan — trzeba mnie tylko słuchać, a Bóg da, że szczęśliwie swego dokonamy i dzielnego patrjotę z rąk nieprzyjacielskich wydobędziemy. Nie ukrywam przed wami, że rzecz jest bardzo niebezpieczna, boć przecie wejdziemy w sam środek obozu nieprzyjacielskiego, niby w paszczękę lwa srogiego, ale od czegóż rozum i nadzieja w Bogu? Pan Jezus zawsze dobrej sprawie sprzyja, a czy może być lepsza sprawa jak nasza? Kosy zostawić, pojedziemy bez broni, tylko pistolety weźmiemy pod sukmany, ażeby w razie ostatecznym mieć choć parę strzałów. Może Bóg da, że wszystko pójdzie dobrze.

Ale rano, kiedy już dwie niewielkie bryczki stały gotowe, kapitan Luke zmienił nieco swój plan pierwotny. Nie przebrał się za chłopa, ale za ekonoma. Wdział na siebie kusy żupanik, rzemiennym pasem spięty, długie buty z cholewami, na głowę zasadził zasmoloną czapkę i ha-

rapnik przyczepił do pasa. Obwisłe wąsiska, twarz ogorzała i ten strój uczyniły go ekonomem albo podstaroścnn doskonałym.

— Bo to proszę waćpani, — mówił do Zaleskiej, — skoro dwie fury siana mają być dostawione z rekwizycji do obozu jenerała Fersena, toć trzeba, żeby z parobkami ktoś pojechał, choćby dla odebrania pieniędzy. Ja też takim będę. Przytem na chłopa nie patrzę, ale ekonomską gębę to mam akuratną.

Uśmiechnęła się na to smutnie pani Zaleska i swą opłakaną, zmizerowaną twarzyczkę, okryła czarnem welum i nic nie odrzekła, a Luke zauważył, że się modliła. Jechali na dwóch bryczkach, na jednej kapitan i dama, na drugiej Rędzina i Kłonica. Bryczuszki były małe i wywrotne, ale szło o to, żeby wychudzonym szkapom ulżyć i żeby jak najprędzej dostać się do Wargocina, bo kapitan tak sobie postanowił, aby o zmroku zajechać do Uchacza z sianem, które miał zamiar nabyć w Wargocinie.

— A kto tam mieszka w Wargocinie? — pytał pani Zaleskiej.

— Podstarości pana Zamoyskiego, imćpan Kozłowski.

— Znasz go waćpani?

— Znam.

— Da on nam siana?

— Oczywiście, że da, a zresztą można kupić.

— A jak niema siana?

— Gdzieżby nie miał. Tam nad Wisłą są najpiękniejsze łąki, i chłopi też mają go dosyć. O to niema obawy, bądź waćpan spokojny.

— To dobrze, bo gdyby nie było siana, to cała nasza planta na nic.

Kapitan nalegał na woźnicę, żeby śpieszył, ale chłopskie szkapy były nędzne, a przytem niebo jeszcze w nocy, po wczorajszym pięknym dniu, zaciągnęło się chmurami i nie

ujechali od Korytnicy nawet ćwierci mili, gdy począł padać deszcz; nieznośny, jesienny kapuśniaczek rozmiękczył drogę niegodziwie. Wlekli się więc noga za nogą, na co kapitan się zżymał, a pani Zaleska się tylko modliła, a od czasu do czasu wstrząsały nią łkania. Zato Rędzina i Kłonica, ukołysani miarowem chybotaniem się bryczki, niebawem zasnęli i kiwając się szpetnie, a tłukąc się głowami o siebie, spali jak zabici.

— Byleśmy się tylko nie natknęli na kozuniów — mówił kapitan Luke — to wszystko będzie dobrze.

— W Bogu nadzieja — odpowiadała pani Zaleska.

— Jakież tam wsie są najbliższe Wargocina? — pytał dalej.

— Będziemy jechali przez Konary, mały folwarczek, a z drugiej strony jest wieś Wróble, a na drodze ku Maciejowicom, duża wieś Kobielnica.

— Ale ja się pytam o wieś od naszej strony. Bo widzisz waćpani, jakbyśmy się natknęli, czego Boże broń, na kozuniów, to trzeba im przecie powiedzieć cośmy za jedni i skąd jedziemy. Jakaż więc wieś jest z tej strony?

— Konary.

— Któż tam siedzi?

— A nikt chyba, ekonom.

— Znasz go waćpani?

— Nie znam.

— To źle. Wszelako trzeba gadać, żeśmy z Konar i jedziemy do Wargocina, żeby siana zebrać dla ich obozu. Rozumiesz waćpani? a jak przystaniemy, żeby szkapom wytchnąć trochę, to moim chłopom dam przykaz, żeby tak samo gadali.

Ale nie spotkano nikogo do samego Wargocina. Jechano przeważnie lasami i żywej duszy nigdzie nie było widać. W Konarach, małej wiosczynie, złożonej z kilkunastu chałup, na wygonie leśnym zbudowanych, kapitan

dowiedział się, że kozaków tu nie było, ale mówili ludzie, że podobno w Wargocinie wczoraj „straśne breweryje“ wyprawiali. Zaniepokoiło to trochę kapitana, ale cóż było robić, jechać trzeba dalej. Dziwił się tylko, że pani Zaleska przyjęła tę wiadomość z zupełnym spokojem, tylko płakała ciągle i cicho się modliła. Ten spokój słabej niewiasty oddziałał dodatnio na kapitana i wstydził sę, że on, żołnierz i mężczyzna, lęka się spotkania z kozakami, kiedy pani Zaleska obojętnie przyjmuje wieści o nich i o ich „straśnych breweryjach“ w Wargocinie.

Ale w Wargocinie, do którego dobito się dobrze po południu, było cicho zupełnie i o kozakach nikt prawie nie słyszał. Podstarości, pan Kozłowski, przyjął podróżnych bardzo gościnnie, dla pani Zaleskiej był z wielką rewerencją i gorącem współczuciem, z powodu uwięzienia jej męża. Sama pani Kozłowska, kobieta młoda i tęga, załamała ręce i mówiła:

— Nieszczęście! czyste nieszczęście! Bo i poco to ta wojna? tylko zniszczenie ludzi i tylo. Nie lepiej to było siedzieć cicho, Pana Boga chwalić, a króla Jegomości szanować. Ale co to z przeproszeniem mężczyznom gadać, oni mają swój mężczyński rozum i nas niewiast słuchać nie chcą. Ot, i mają teraz! Skaranie Boskie i tylo. I mój chciał iść na te wojaczkę, ale nie puściłam go, o nie! Jeszcze czego, kto ma żonę i dzieciaków, niech ich pilnuje a nie wojuje. Prawda pani Feliksowa? Albo i to. Czegójś brakowało panu Feliksowi? chyba ptasiego mleka, ale jemu zachciało się wojaczki, i masz djable kaftan!...

Pani Zaleska słuchała tych niemądrych słów w milczeniu, patrzała błędnym wzrokiem na rezolutną niewiastę, a łzy jej po twarzy jak groch ciekły. Na szczęście mąż, pan Kozłowski, przerwał tę gadaninę swej połowicy, mówiąc tonem dość pokornym:

— Ale Franulko, dajże pokój! Czyż nie widzisz, że

pani Feliksowa płacze? Ot lepiej dałabyś co zjeść, bo zapewne państwo po takiej drodze i na taki psi czas są wygłodzeni.

Uwaga ta przerwała wielosłowne wynurzenia pani „Franulki", plasnęła w pulchne ręce i zawołała:

— Prawda! prawda! że mi też to na myśl nie przyszło. Ale w tych tarapatach to człowiek głowę traci. Zara będzie, zara!

I wybiegła z izby. Kapitan Luke tymczasem przysiadł się do pana Kozłowskiego i zaczął pytać:

— Nie byli tu kozacy u waćpana?

— Dzięki Bogu, nie. Ale wczoraj to wpadli do Korytnicy, sprali batogami podstarościego, zabrali trzy woły i piętnaście baranów i wszystko to pognali do Maciejowic. Co prawda, proszę jegomości, to człowiek tu siedzi jak mysz na pudle, w okrutnym strachu, bo nuż i do mnie zajrzą? aż skóra na mnie cierpnie. Ale skąd to waćpaństwo jedziecie i co tu robi pani Zaleska?

Kapitan Luke nic na to nie odrzekł, tylko zapytał:

— Nie słyszałeś waćpan czego o panu Zaleskim?

— Jużcić słyszałem, że go uwięzili, choć nie chciałem temu wierzyć. Bo i za co?

— A od kogóż to waćpan słyszałeś?

— A to tak, proszę jegomości było. Wczoraj wieczór przyszedł do mnie rozkaz z gubernii z Maciejowic, ażebym dziś, najpóźniej do wieczora dostawił do obozu rosyjskiego dwie fury siana.

— Dwie fury siana? — zawołał kapitan Luke na tak szczególny zbieg okoliczności.

— Tak dwie fury siana.

— I dostawiłeś już waćpan?

— Jeszcze nie, ale już są gotowe i zara wyruszą. Parobcy z okrutnym strachem jadą, bo wszędzie ludzie opowiadają o tem, że kozacy biją i są zawzięci na nas.

— Hm! — mruknął kapitan Luke — i słusznie, że się boją. Ale wiesz waćpan co? ja koniecznie z moimi ludźmi muszę być dzisiaj w Uchaczu, a co większa ja się tam wcale nie boję kozaków. Oddaj mi waćpan obie fury siana, a ja je z pomocą moich dwóch chłopaków dostawię gdzie należy.

Kozłowski popatrzał nieco zdziwiony na nieznajomego sobie gościa i rzekł:

— A czy wolno zapytać kto jegomość jesteś?

Ale w tejże chwili przysłuchująca się tej rozmowie pani Zaleska zerwała się, i podbiegając do Kozłowskiego, zawołała składając ręce jak do modlitwy:

— Panie Kozłowski nie pytaj się, nie pytaj! Wszak mię znasz i to ci powinno wystarczyć. Och! nie pytaj się i nie sprzeciwiaj się temu, co ten pan, najzacniejszy z ludzi, chce. Bóg ci to wynagrodzi panie Kozłowski! Widzisz mię przed sobą nieszczęśliwą, opuszczoną, ni wdowę ni mężatkę, nie sprzeciwiaj się, zaklinam cię na żonę, na dzieci twoje!

Stała przed nim w swych czarnych sukniach, blada i wynędzniała, z oczami czerwonemi od płaczu, z twarzą zroszoną łzami, istny posąg bolejącej Niobe, a Kozłowski zdziwiony tem nadzwyczajnie i wzruszony temi błaganiami, powstał z siedzenia i chwytając za ręce panią Zaleską, rzekł:

— Ale pani Feliksowa, niechże mię waćpani nie prosi. Wszystko zrobię, co chcesz i o nic pytać nie będę. Jak jest, to jest, choć tam Franulka wygaduje, aleć i ja przecie jestem Polakiem i ona też jest dobrą Polką, ale zwyczajnie kobieta... A niechże waćpani nie płacze, bo mi się serce kraje na ten widok. Chce ten pan jechać z sianem, niech jedzie. Tym lepiej dla mnie, bo parobki mają takiego z przeproszeniem pietra, że jeszcze ostawią gdzie po drodze i konie i siano, i drapną.

A zwracając się do kapitana Luke, zapytał:

— Chcesz więc jegomość jechać?

— Mówiłem już waćpanu, że chcę.

— A więc dobrze. Jeno Franulka da nam co zjeść, to zaraz jegomość możesz jechać.

— Jeszcze jedno — rzekł kapitan Luke — trzeba żebyś waćpan przewieźć kazał panią Zaleską na drugi brzeg Wisły i to zaraz, bo czasu jest niewiele.

— Jakto, to pani Feliksowa nie zostanie u nas?

— Nie mogę! nie mogę! — zawołała nieszczęśliwa kobieta — muszę myśleć o moim mężu, to dla niego wszystko, dla niego! Nie mogę zostać panie Kozłowski i Bóg ci zapłać za twoje dobre serce.

Kozłowski zafrasował się nieco i rzekł:

— Ano... Bóg mi świadkiem, że krwi bym z pod serca dla pani Feliksowej utoczył i myśleliśmy z Franulką, że waćpani u nas zostaniesz, ale kiedy pedasz, że niemożna, to niemożna. Cóż robić. Chcesz więc waćpani przeprawić się za Wisłę?

— Tak, i to zaraz. Widzisz waćpan, że stoję jak na rozżarzonych węglach, drżę cała, bo niewiem co się tam z moim Felisiem dzieje.

— Ale niechże pani Feliksowa się nie boi. Nic się nie stało z panem Feliksem, cóżby się miało stać? Ludzie by przecie gadali, gdyby co było.

— Ludzie mogą nie wiedzieć. Bój się pan Boga, panie Kozłowski, każ mię zaraz za Wisłę przeprawić.

— Ale natychmiast! jeno Franulka da co przekąsić. Przecież nie mogę waćpani puścić na głodno i jegomość widzę pasa przyciąga. Zaraz! zaraz!

Pobiegł ku drzwiom, zapewne żeby zawołać na swoją Franulkę, ale ona właśnie weszła, a za nią dziewka służebna, niosąca na tacy gorzałkę, chleb, masło, wędliny i ogromną miskę dymiącego bigosu. Więc pan Kozłowski

zaczął zapraszać do jedzenia i jego Franulka też, ale pani Zaleska nic nie chciała do ust wziąć, jeno chodziła niespokojna od okna do okna, wpatrując się w nieznośny deszcz, który ani na chwilę padać nie przestawał. Ledwie wmuszono w nią kawałek chleba z masłem i wędliną, ale za to kapitan Luke przysiadł się do bigosu i zmłatał aż mu się uszy trzęsły. Wysłano też jeść Rędzinie i Walkowi, którzy przedostali się do kuchni, grzali się przy kominie, ale milczeli o tem co są za jedni i po co tu przyjechali, choć ich dziewki kuchenne, ciekawe jako niewiasty, ciągle się o to dopytywały. Ale pamiętni rozkazu swego kapitana, milczeli jak ryby, a Walek nawet wpadł w fantazję i opowiadał, jako są obaj gęsiarze i przybyli do Wargocina, żeby gęsi nakupić.

— Tera — gadał Walek — dobre są czasy i z pięknym zarobkiem można wojakom sprzedać gęsi. Myśwa oba to aż od Radomia i za gęsiami se chodziwa.

Dziewki nie bardzo temu wierzyły, bo ani Rędzina ani Walek ne wyglądali na handlarzy, ale musiały się tem zadowolnić, bo obaj nic więcej nie gadali, a gdy im dano gorzałkę i miskę bigosu, to tak pałaszowali, że dziewki porozdziawiały usta i stały i patrzyły jak na dziwowisko.

— Musi, nie jedliśta chyba ze dwa dni — mówiła jedna.

— Aha, dwa dni... — odrzekł na to Walek — myśwa nie jedli już całuśkie dwie niedziele.

— Ej, wytrzymałby to człowiek przez jedzenia bez dwie niedziele?

— Jak potrza, to musi wytrzymać.

Tak się zabawiano w kuchni, a tymczasem pan Kozłowski, zostawiwszy gości ze swoją Franulką, sam pobiegł szukać przewoźnika i łódź przygotować dla przeprawienia na drugi brzeg pani Zaleskiej. Ta z nadzwyczajnym nerwowym niepokojem oczekiwała powrotu

Kozłowskiego, nic się prawie nie odzywała, choć gadatliwa Franulka kilkakrotnie usiłowała z nią zawiązać rozmowę, tylko wzdychała ciągle, łamała ręce i szeptała:

— O! mój Boże, żeby się nie spóźnić! tylko żeby się nie spóźnić.

— Nie spóźnisz się waćpani, nie! — pocieszał ją kapitan Luke — do wieczora jeszcze mamy kilka godzin, a nim ja z sianem po takim deszczu i błocie zajadę, to waćpani będziesz już dawno tam, gdzie masz być.

Franulka słuchała tego nic nie rozumiejąc, a że była białogłowa ciekawa i o wszystkich sekretach cudzych wiedzieć musiała, więc się poczęła natrętnie dopytywać, co? jak? dokąd ma jechać pani Feliksowa? dlaczego na taki psi czas śpieszy się i do tego chce się przeprawiać przez Wisłę, kiedy fala idzie duża.

— Ot, — mówiła, zakładając pulchne ręce na wydatnym brzuchu — niech pani Feliksowa ostanie u nas, wypocznie sobie, wywczasuje się. Słychane to rzeczy, żeby słaba niewiasta puszczała się na taką pogodę na Wisłę. Toć psa żal wygnać, a pewnikiem na rzece fala taka, że strach...

Pani Feliksowa słuchała tych uwag, wypowiadanych głosem krzykliwym, poczem zbliżyła się do Franulki i, stając naprzeciw niej, rzekła:

— Tam mój mąż jęczy w więzieniu, a może już nie żyje! czy waćpani...

Ale nie skończyła, bo Franulka plasnęła w swe duże, ale pulchne ręce i zawołała:

— A nie prawda, bo mąż pani Feliksowy żyje i ma się dobrze.

— Zkąd wiesz o tem droga pani? zkąd wiesz? — wołała pani Zaleska, chwytając Franulkę za ręce. — Mów, bój się Boga, czyż nie widzisz, co się dzieje ze mną?

— Zkąd wiem? a od kobiet co chodziły świtaniem do

Maciejowic z nabiałem, masłem i serami. Ja sama posłałam Kaśkę z całym tuzinem serków owczych. Oni tam w obozie wszystko kupią i płacą dobrze. Za serki, uwierzy pani Feliksowa, wzięłam po dwa złote, a pewno Kaśka mię oszukała i dostała więcej, bo to szelma cygan jakich mało...

— Ale mów pani, zkąd wiesz o moim mężu?

— Zkąd wiem? jużcić że wiem od Łukaszowej. Pani Feliksowa ją zna, żona karbowego.

— Co mówi Łukaszowa? powiedz pani, widzisz, że stoję jak na rozpalonych węglach.

— A dobrze mówi. Zaszła Łukaszowa do Uchacza i widziała pana Feliksa. Siedzić on siedzi w tej izbie, co to dawniej w niej kasa była, za kratami nieboraczek, a sałdaty go pilnują, ale zdrów jest jak ryba i peda Łukaszowa co się śmiał do niej przez okno. Niema się czego pani Feliksowa frasować, ptasiego mleka nie brakuje panu Feliksowi. Albo to Janowy tam niema, czy co? Pani przecie wie, że Janowa to Szwed baba, ona samego z przeproszeniem djabła się nie ulęknie, a nie dopiero ich sałdatów. Już niech pani Feliksowa będzie spokojna, nic złego panu Feliksowi się nie stało...

— Boże wszechmogący! — zawołała Zaleska, podnosząc ręce do góry — dzięki Ci, dzięki. Co mówił, powiedz waćpani, czy nie mówił nic do Łukaszowy?

— Co miał mówić? albo to sałdaty mu dadzą mówić? siedzi biedaczek za kratami jak zbrodniarz jaki i koniec. A to wszystko przez tę przeklętą wojnę. Zachciało im się wojować, z motyką na słońce. Przecie słyszę, jak gadają ludzie, co u Imperatorowej tyle wojska jako piasku w morzu...

Byłaby zapewne więcej jeszcze rozprawiała, wpadłszy na swój ulubiony temat, gdyby nie to że jej mąż, pan

Kozłowski, wrócił i zaraz na progu, otrząsając czapkę z deszczu, zawołał:

— Łódź gotowa, jeżeli pani Feliksowa chce jechać, to może zaraz... ale, widzi mi się, lepiej by było ostać u nas, bo fala idzie duża...

— Ani chwili nie zostanę, ani jednej chwili! — wołała nieszczęśliwa kobieta i gorączkowo poczęła się owijać chustkami i owem welum czarnem, które z niej czyniło istny posąg żałoby i smutku.

— Ha! wola waćpani, ale Bóg świadkiem mnie i Franulce, że radzibyśmy panią zatrzymać.

— Nie mogę! nie mogę! dziękuję waćpaństwu za ich dobre serce, ale nie mogę — mówiła zalewając się znowu łzami, łkając głośno, co tak oddziałało na panią Franulkę, że i ona szlochać zaczęła, wołając:

— Bodaj przepadła ta głupia wojna! narobili nieszczęścia i tylo!

Podniósł się też od miski z bigosem kapitan Luke i rzekł:

— Waćpani, widzę, nie jesteś patrjotką i masz trochę za długi język, a to w tych czasach nie jest bezpiecznie.

Na te słowa Franulka zaczerwieniła się jak indyk i miała już coś odrzec, gdyż mąż syknął:

— Cicho byś była! nie rozumiesz, czy co?

A kapitan Luke, nie czekając na odpowiedź gadatliwej niewiasty, zbliżył się do pani Zaleskiej i pociągnąwszy ją do okna rzekł:

— Niechże waćpani pamięta, żeby przewoźnik z łódką czekał dobrze ukryty w wiklinie choćby całą noc.

— Pamiętam, pamiętam.

— Jedźże zatem waćpani z Bogiem i oby nam się poszczęściło!

— Panie! — szepnęła Zaleska, składając ręce jak do

modlitwy — w twoim ręku jest los mego męża. Do śmierci ci wdzięczną będę!

I w uniesieniu pochyliła się i chciała ucałować rękę kapitana, tak, że ten zmieszany i oburzony z trudnością ją wyrwał, wołając:

— Ale co waćpani czynisz? słychane to rzeczy! Jedź już waćpani, odprowadzę cię do łodzi.

To rzekłszy, chwycił czapkę, skłonił się Franulce mówiąc:

— A niech waćpani nie wygaduje na wojnę, bo to idzie o ojczyznę.

I nie czekając na odpowiedź wyszedł z panią Feliksową i Kozłowskim. Deszcz jeszcze padał, ale już na zachodzie niebo przecierało się i była nadzieja, że nieznośna plucha ustanie wkrótce. Szli, brnąc po błocie, a przez drogę kapitan szeptał jeszcze różne rady swej towarzyszce. Przy brzegu Wisły stała niewielka łódź, na którą dzielna kobieta, istna Imogena Szekspirowska, śmiało wsiadła. Widok rzeki nie był pocieszający. Toczyła ona swe mętne żółtawe wody z szumem, a że wiatr szedł od północy, więc podnosił duże fale.

— Mój Macieju — mówił Kozłowski do przewodnika — tylko ostrożnie.

— Ej, nie znam to ja rzeki, czy co?

Stali długo nad brzegiem, patrząc jak łódź płynęła, wreszcie gdy już była blizka brzegu przeciwnego, kapitan Luke westchnął i zawołał:

— No, a teraz my. Dawaj waćpan fury siana. Jedziemy do Uchacza!

XII

Pierwszą furę siana, na wierzchu której kapitan Luke ułożył się wygodnie, jakby zamierzał spać spokojnie, prowadził Rędzina, jako starszy i doświadczeńszy, drugą Walek, który najadłszy się w kuchni w Wargocinie bigosu i naplótłszy dziewkom służebnym niestworzonych rzeczy, szedł teraz koło fury siana i nucił sobie piosnkę, której się już potrafił nauczyć w obozie:

„Ty coś nadzieją jest naszą.
Wodzu! o Polski ozdobo!
Żadne nas groźby nie straszą,
Gdziekolwiek pójdziesz, my z tobą".

Ale ponieważ lada chwila mogli się natknąć na nieprzyjaciela, więc Kapitan Luke krzyknął na niego, aby był cicho, ile że wyjechawszy za wieś i nie widząc nikogo, dobył głosu i na całe gardło drzeć się, bo nie śpiewać, zaczął.

Deszcz ustał, ale za to wiatr chłodny i nieprzyjemny się zerwał i niebo ciągle zaciągnięte było mętnemi chmurami.. Na szczęście droga nie była ostatnia. Zaraz za Wargocinem gościniec szeroki, wysadzony drzewami, był piaszczysty, tak, że błota nie było, choć koła fur w piasku grzęzły po osie, a nędzne koniki wlokły się noga za nogą. Taka jazda oddziałała na kapitana Luke, oczy mu powoli kleić się poczęły i wreszcie kiwając się na furze, jak żyd przy modlitwie, zasnął.

— Obudziła go jakaś dość głośna rozmowa. Podniósł się i spojrzał dokoła. Miało się już pod wieczór. Deszcz zupełnie ustał i wypogodziło się, tylko wiatr zimny i przenikliwy świszczał między rosochatemi wierzbami, po obu stronach drogi rosnącemi. Ogromne, czerwone jak krew słońce, już do połowy skryło się za dachami dużej wsi, która czarna od deszczu, w tym blasku szczególnie ponury przedstawiała widok. Obie fury siana stały na drodze, a Rędzina i Walek z batami w rękach rozmawiali z jakimś chłopem siwym, w kożuchu i łapciach na nogach, który podejrzliwie patrzał to na nieznajomych mu furmanów, to na fury.

— To wy z Wargocina?

— Z Wargocina.

— Ze dworu?

— Ze dworu.

— Parobki?

— Parobki.

— Nie widziałem was tam nigdy.

— Owa! — odezwie się na to Walek — dużośta jeszcze rzeczy nie widzieli na świecie, choć wam głowa osiwiała.

Chłop spojrzał na Walka i mówił:

— Dziwne mi to. Do Uchacza jedzieta?

— Do Uchacza.

— Nie wiecie to, że tam straśna moc jest Rusów?

— A wiemy ale kiej kazali jechać z sianem, to i jedziewa — rzekł Rędzina.

Chłop patrzał, patrzał, wreszcie rzekł:

— Byli tu óni dzisiok w Kobielnicy, breweryi narobili, świniaków, kur i gęsi narzezali, niech Pan Jezus broni! Straśna tego moc.

Kapitan Luke podniósł się i zapytał:

— Powiedz no, bracie, to oni stoją w Uchaczu?

Chłop, który dotąd nie zauważył kapitana, zagrzebanego w sianie, spojrzał do góry, czapkę powoli zdjął z głowy, i odrzekł:

— A stoją wielmożny panie.

— Piechota czy kawalerja?

— Nie, jeno uzary czy tam jakoś się nazywają...

— A cóż słychać w Uchaczu?

— Nic nie wiem wielmożny panie. Coby ta miało być słychać? Byli oni tu dzisiok w Kobielnicy, batami ludzi prali, okez i mnie nie sprali, alem smyrgnął w wiklinę i naleźć mię tam nie mogli. Straśne zawzięte są na naszych.

— A pan Zaleski jest w Uchaczu?

— Chyba je, bo gdzieżby był? Ale gadali ta ludzie, co pono go zaharaśtowali, niby te Rusy, ale jo ta nie wiem, czy to prawda.

Spojrzał znowu na kapitana i spytał:

— To wielmożny pan z Wargocina?

— Z Wargocina.

— Niby od rządcego?

— A tobie co do tego od kogo ja jestem. Ruszaj swoją drogą. Czego wy stoicie? — zwrócił się do Rędziny i Walka — jazda dalej!

— Ale bo ten głupi chłop nas zatrzymał i pyta się i pyta... — mruknął Walek.

— To czego mu odpowiadacie. Jazda dalej!

Chłop tymczasem podrapał się po głowie z miną bardzo zaambarasowaną i rzekł:

— To wielmożny pan znają pana Zaleskiego?

Uderzyły kapitana te pytania, zadawane jedne po drugich, to ciekawe oglądanie jadących, to zachodzenie chłopa z różnych stron, żeby się coś widocznie dowiedzieć. Rozgniewany tem, bo wyglądało mu to wszystko na szpiegostwo, krzyknął:

— Ruszaj swoją drogą! a co tobie, kpie jakiś do tego kogo ja znam. Widzicie go, jaki ciekawy. Stary, a głupi.

— Ej, wielmożny panie, może ja nie taki głupi.

— Więc czego się pytasz?

— Ano... może ja ta co wiem.

Drapał się po głowie, oczami zerkał, oglądał się dokoła niespokojnie. Wszystko to wydało się kapitanowi podejrzanem mocno i widoczną rzeczą było, że chłop czegoś chce, ale przez zwykłą ludowi naszemu podejrzliwość i prostacką ostrożność, obawiał się wprost wypowiedzieć tego, co mu na sercu leżało. Luke zaniepokojony tem, rozgniewany przytem mocno tem spotkaniem, które go zatrzymało na drodze, zeskoczył z fury i, zbliżywszy się do chłopa, spytał ostro:

— Czego ty chcesz? gadaj wyraźnie. Co wiesz?

Chłop obejrzał się dokoła i spytał przyciszonym głosem:

— Wielmożny pan od Korytnicy jadą?

Tego już było zanadto kapitanowi Luke. W gniewnem uniesieniu chwycił chłopa za ozydle u kożucha i krzyknął:

— Coś ty za jeden? czego chcesz? gadaj do stu siarczystych bataljonów! Zkąd jesteś?

— Niech no się wielmożny pan nie gniewają — odrzekł chłop spokojnie, przyczem mrugał oczami, jakby wskazywał na Rędzinę i Walka.

— Co? nie chcesz przy nich gadać? — spytał kapitan, zrozumiawszy nakoniec mruganie chłopa — mówię ci, możesz gadać, to są moi ludzie, nikt nas tu nie zdradzi.

— Ano, kiej wielmożny pan tak mówią, to powiem. Ja tu przysłany z Uchacza do wielemożnego kapitana... jeno zabaczyłem, niby z imienia i przezwiska...

— Mniejsza o to, jestem tym kapitanem, którego szukasz.

— Na pewno?

— A jaki to głupi chłop! Przecie ci musieli powiedzieć, że jadę z dwoma furami siana od Wargocina.

— Ano, prawda, powiedzieli. Ha! to powiem. Mnie tu przysłała pani Zaleska.

— Jakto? pani Zaleska jest w Uchaczu?

— A ino. Dopiero co przyszła, utaplana jak z przeproszeniem nieboskie stworzenie.

— Dawno przyszła?

— Niedawno.

— I nic jej nie mówili kozacy?

— Co mieli mówić? albo to óni wiedzieli, że jej niema?

— Więc wysłała ciebie do mnie? Gadaj zaraz z czem?

— Ano z tem, żeby wielmożny pan z sianem zajechał przed karczmę do żyda Moska i tam czekał, i tyż, żeby wielemożny pan nie jechał na Kawęczyn, bo tam stoją ich jednerały, ale gościńcem od Podzamcza, na lewo, od siebie.

Kapitan Luke nadzwyczajnie był zdziwiony i uradowany temi wieściami.

— Patrzajcież, — mówił — więc pani Zaleska jest już w Uchaczu! To się pośpieszyła. A zatem do karczmy kazała mi zajechać?

— A ino wielemożny panie.

— Kiedy ja nie wiem gdzie ta karczma.

— Zara, na samym początku wsi, przy drodze. Ja wielemożnego pana zaprowadzę i drogę pokażę, taki mam przykaz.

— A więc jazda, bo czasu nie wiele.

— Niema się czegój śpieszyć wielemożny panie. Lepiej po ciemku zajechać, jak Mosiek gorzałki kufę wytoczy dla kozuniów.

Mówiąc to, chłop uśmiechał się szyderczo, a kapitan wszystkiem tem niezmiernie zaciekawiony, pytał:

— A cóż się dzieje z panem Zaleskim?

— A nic wielemożny panie, siedzi se niby w hareście, ale taki to ta i hareśt. Z kużdym kiej chce może gadać. Ale wielemożny panie jedźwa już chyba, bo mi się widzi, że do Kobielnicy znowuj wpadli kozaki. Kiedy nas obaczyli na drodze stojących, to by zaraz przyskoczyli, lepiej jechać.

Ruszono więc dalej, i w rzeczy samej nieprzyjaciel musiał być we wsi, bo dochodziły z niej krzyki kobiet i dzieci, a nawet widać było ludzi uciekających w strasznym popłochu przez pola ku Wiśle. Walek patrząc na to uczuł, jak mu ciarki po skórze przeszły, i jeżeli dotąd nie zastanawiał się nad niebiezpieczeństwem tej wyprawy, nie myślał o tem wcale i był w jak najlepszym humorze, zwłaszcza po spałaszowaniu w kuchni Wargocińskiej całej miski przedniego bigosu, to teraz spuścił nos na kwintę i widział, że nie pójdzie wszystko tak gładko jak myślał. Ale nie okazywał tego po sobie. Szedł śmiało przy furze, na którą wdrapał się kapitan Luke i z tej wysokości bacznie wsłuchiwał się w krzyki, dochodzące ze wsi, i rozglądał się niespokojnie. Jakoż nie ujechali i dwudziestu kroków, gdy ze wsi wypadło na drogę trzech brodatych kozuniów, z batogami w rękach, goniących uciekającego przed nimi jakiegoś chłopa. Droga w tem miejscu miała po obu stronach wykopane głębokie rowy, pełne teraz po deszczu wody, a za rowami poczynały się zarośla gęstej wikliny, ciągnące się aż do niedalekiej Wisły. Ścigany chłop skorzystał z tego i jednym potężnym skokiem przesadził rów i zaszył się w wiklinę, gdzie go było trudno szukać, a przytem kozacy spostrzegli jadące fury z sianem, ludzi przy nich i zaniechawszy pościgu chłopa, puścili się pędem ku zmartwiałemu ze strachu Walkowi i Rędzinie, którzy na to wszystko patrzyli. Kapitan Luke, siedząc na wierzchu siana, krzyknął:

— Nie odzywać się nic, ja z nimi pogadam.



Kapitan Luke na furze siana wśród kozaków

Jako pochodzący z Podola, znał trochę ich język i liczył na to, że potrafi jakoś obronić się od batogów, jeżeli nie od czego gorszego. Gdy więc kozacy w postawach bardzo groźnych dopadli do fur, krzycząc już zdala: „stoj! stoj!" podniósł się i począł głośno w moskiewskim języku coś do nich przemawiać. Zatrzymali się i zdziwieni zapewne tem, że do nich po moskiewsku mówią, wysłuchali przydługiej nieco i jąkającej się przemowy kapitana Luke, zadali jeszcze parę pytań, wreszcie jeden z nich krzyknął:

— *Nu, koli tak, to stupaj!*

A sami zdzieliwszy batogami swe szkapy pognali drogą ku Wargocinowi.

— Jedź! — rozkazywał kapitan i dodał na pół do siebie — chwała Bogu, żeśmy się tak szczęśliwie tych zbójów pozbyli. A teraz żywo, poganiaj, bo nie chciałbym drugi raz z nimi się spotkać.

— Zara, wielemożny panie, skręcimy od siebie — rzekł chłop przysłany przez panią Zaleską — zaszyjemy się w wiklinę i ominiemy Kobielnicę. Droga tam kiepska, ale cóż robić?

Jakoż niebawem znalazły się obie fury na wązkiej, bocznej drożynie, wijącej się zygzakowato wśród gąszczu wikliny, tak że wieś Kobielnica, zkąd dochodziły nieustanne krzyki, została zupełnie na boku. Droga tu była ciężka, błoto grzązkie po osie, wązka, tak, że ledwie fury przecisnąć się mogły przez rosnącą po obu jej stronach wiklinę, ale zato bezpieczna. Odetchnęli też wszyscy spokojniej. Walek aż czapkę zdjął i obtarł połą sukmany zroszone potem ze strachu czoło, choć zimno było przenikliwe, i nabożnie się przeżegnał. Kapitan Luke stanął na furze, by lepiej widzieć, co się dzieje i bacznie się dokoła rozglądał. Ale widać, że nic takiego nie dostrzegł, coby mógł uważać za groźne dla całości swej skóry, bo usiadł i rzekł:

— Ano, chwała Bogu!...

A chłop posłaniec, idąc koło fury, spytał:

— Co óni wielemożnemu panu gadali?

— Pytali się, czy my nie jesteśmy buntownicy i zkąd i dokąd jedziemy.

— A z przeproszeniem wielemożnego pana, cóż im pan odpowiedział?

— Odpowiedziałem, że my nie jesteśmy żadni buntownicy, że jedziemy z Wargocina z sianem, które ich jenerał Fersen kazał sobie dostawić do obozu.

— I uwierzyli?

— Ano widzisz, że uwierzyli głupcy, skoro nas wolno puścili.

— Pan Jezus im odjął rozum, ani chybi. Podziękować trza za to Panu Bogu.

Kapitan Luke zanadto był niespokojny i zamyślony o zbliżającem się rozwiązaniu całej tej niebezpiecznej i awanturniczej imprezy, by miał mieć ochotę do pogawędki z chłopem, okrutnie jak widać było ze wszystkiego, ciekawym i rozmowa na tem się urwała. Jechano więc dalej w milczeniu drogą wązką, pełną błota, dziur i wybojów, tak że biedne szkapy ostatek sił dobywały, a parę razy niewiele brakowało, że się fury nie wywróciły. Okrążono nakoniec szczęśliwie i niepostrzeżenie wieś Kobielnicę, zkąd nieustannie krzyki i głucha wrzawa, aż tutaj dochodziła, a nawet ujrzano buchające ponad wikliną kłęby dymu.

— Pali się, czy co? — zapytał kapitan.

— A zbereźnicy! — zawołał chłop — podpalili Kobielnicę. Óni wszyćko palą. Kara Boża i kóniec.

Tymczasem słońce zaszło zupełnie i na zachodzie, poza Wisłą niebo gorzało purpurą i złotem, a wiatr świszczał wśród wikliny posępnie, gromady kruków i wron, kracząc przeraźliwie, ciągnęły gdzieś nad głowami podróż-

nych. Świat był niewypowiedzianie smutny z temi niknącemi blaskami zachodu, z jękliwym świstem wichru, z rozpaczliwemi krzykami nieszczęśliwych ofiar wojny, z temi czarnemi kłębami cuchnącego dymu, który porywany przez wiatr dochodził aż tutaj i leniwie rozwłóczył się po zaroślach. Zaraz też potem, gdy mrok wieczorny gęstnieć począł, a niebo na zachodzie czernieć, ukazały się czerwone blaski ognia i wielka łuna pożaru zajaśniała na ciemnem niebie. Chłop posłaniec patrzał na to i wzdychał ciągle, ale już nic nie mówił. Jechano tak w posępnem milczeniu, z wielkim niepokojem w sercach, boć teraz zbliżał się najważniejszy moment całego tego przedsięwzięcia.

Noc tymczasem zapadła, ciemna, czarna, bezgwiezdna i wietrzna, oświecona tylko łuną palącej się Kobielnicy i jak okiem zasięgnąć ogniskami obozowisk nieprzyjacielskich. Wszędzie te ognie było widać i na prawo i na lewo i wprost. Kapitan Luke przypatrywał się temu, jedynemu w swoim rodzaju widowisku i coraz był smutniejszy. Stary ten żołnierz po liczbie ognisk usiłował odgadnąć jak wielką jest siła nieprzyjaciela i sądząc po nich, nabierał przekonania, że korpus polski, liczący pięć do sześciu tysięcy ludzi, jest trzy razy słabszy od nieprzyjaciela. Na tę myśl ogarniał go smutek i głucha rozpacz, bo wiedział, że bić się trzeba, że niemożna pozwolić na to, by Fersen połączył się z Suworowem, który szedł pod Warszawę od Brześcia Litewskiego, i dwukrotnie pobił jenerała Sierakowskiego.

— Żeby przynajmniej Naczelnik — mówił sobie Luke, wpatrując się ciągle w ogniska nieprzyjacielskie — ściągnął do siebie jenerała Ponińskiego, który nie wiem po co stoi gdzieś tam nad Wieprzem, tobyśmy liczyli razem jakieś dziesięć tysięcy ludzi i wtedy już łacniej byłoby zmierzyć się z Fersenem. Ha! nie mnie o tem sądzić, Na-

czelnik wie co robi, ale Bóg świadkiem, że mi smutno na duszy.

Fury wyjechały już z wikliny na szeroki gościniec, wysadzony po obu stronach wysmukłemi topolami i klonami, których zżółkłe liście, zmoczone deszczem z szelestem spadały na ziemię. Droga tu była lepsza i konie żwawiej ruszyły, a że horyzont niczem nie był ograniczony, więc widać było doskonale szeroko rozłożone obozowiska nieprzyjacielskie.

— To ich tu widzę dużo jest? — rzekł kapitan Luke.

— O! straśna moc, wielemożny panie, — odpowiedział chłop — i piechota, i konnica, i harmaty. Harmat, pedają ludzie, będzie pono ze sześćdziesiąt. O! widzi wielemożny pan, jak okiem sięgnąć, wszędzie óni stoją. I w Uchaczu, i w Kawęczynie, i we Stryju, i w Maciejowicach, i w Podzamczu, we dworze... Straśna tego panie moc. Wszędzie ich pełno, zabierają wszyćko i zboże, i nabiał, i drób. Keby u nas w Uchaczu nie klucznica, pani Janowa, co jest niewiasta, panie, okrutnie gębata, toby też wszyćko zabrali. Ale pani Janowa jak nie pocznie wrzeszczeć, a wy złodzieje, a wy rabusie tacy i owacy, jeno mi się tkniecie, to zaraz polecę do waszego jednerała, a nawet, panie, dzisiok rano, to z przeproszeniem warząchwią po łbie wyprała jakiegoś ta ich sałdata. Uciekł, panie, jak niepyszny i gadał jeno po swojemu proklata baba!... He! he! he!

Śmiał się chłop i widocznie rad był temu, że Janowa warząchwią wyprała jakiegoś, jak mówił „sałdata“, ale po chwili odezwał się:

— Tera, wielemożny panie, nie trza gadać, bo ju dojeżdżamy do Uchacza. Dzienki Panu Bogu, kozaków niema, jeno kónnica, co ją ta jakoś nazywają, uzary, czy coś takiego. To są grzeczne sałdaty i nie batożą tak ludzi, jak te hycle kozaki.

W rzeczy samej widać już było wieś i mnóstwo w niej

świateł i gwar ludzi ztamtąd dochodził. Dojeżdżali do pierwszych chałup, gdy nagle w ciemności zarysowała się sylwetka czaty konnej i rozległ się głos:

— *Kto idiot?*

— Swój, panie żołnierzu, swój! — zawołał chłop — wieziemy siano dla koni waszych.

Pan „żołnierz" podjechał bliżej, trzymając w ręku pistolet z odwiedzionym kurkiem, obejrzał wszystko i pytał:

— *Od kuda wy jediotie?*

— Ze dworu, panie sałdacie, z Wargocina.

Nie wiele z tego zrozumiał pan „sałdat" i nie wiele więcej byłby się dowiedział, ale bądź co bądź zapewne byłby pytał dalej, a może, jak to każe regulamin wojskowy, odprowadziłby fury do oficera dyżurnego, czego kapitan Luke nieco się obawiał, gdyby gdzieś zdala, z ciemności nie dał się słyszeć krzykliwy głos kobiecy:

— Kto to jedzie? czy nie siano w Wargocina? Sylwester to ty?

— A ja! — odezwał się chłop posłaniec.

— Z sianem?

— A jeno! niechno jejmość przykaże temu sałdatowi, żeby odstąpił.

Rozległy się szybkie kroki po drodze i przed zdumionym kapitanem, który zlazł był z fury, stanęła ogromna, gruba kobieta, rysująca się w szerokich kształtach w ciemności, i zaraz zaczęła wołać na huzara:

— Stupaj precz ty mużyk! nie widzisz, gamoniu jakiś, że to siano, żeby wasze króniska miały co źreć. Stupaj, mówię, i nie zatrzymuj ludzi.

Żołnierz widocznie wiedział z kim miał do czynienia, bo począł gadać niechętnie, ale odsunął się na bok, mrucząc:

— Czort baba!

— Co ty tam mruczysz, mużyku? czekajno, pójdę ja

do Łycienki, to ci pyski nabije, że będziesz łaził opuchły jak Karmelicka bania w Warszawie. No! czego stoisz? jazda dalej.

Żołnierz jeszcze raz powtórzył swoje: „czort baba!", zawrócił konia i odjechał, a imćpani Janowa, bo to ona była, czego się zresztą zaraz domyślił kapitan Luke, zbliżyła się do niego i półgłosem szepnęła:

— Więc to waćpan? z utęsknieniem na waćpana czekamy. No, jazda, a stanąć przed karczmą. Skoczno Sylwester i uprzedź Moška, a żywo!

Fury ruszyły i za chwilę zatrzymały się przed dużą, murowaną karczmą, z której okien biło światło i gwar mnóstwa głosów się rozchodził.

XIII.

Przed karczmą stał żyd, o ile można było w ciemności rozróżnić, wysoki, chudy i gdy fury podjechały, zawołał:

— Siano z Wargocina?

— Tak! — odpowiedział Rędzina.

— A jejmość Janowa jest?

— Jestem, Mośku.

Zwrócił się do Rędziny i spytał:

— To wy, Wojciechu?

Rędzina, któremu było inaczej na imię zrazu chciał odpowiedzieć, że on nie jest Wojciechem, ale że to był człowiek sprytny, zrozumiał, że trzeba udawać znajomego żydowi Wojciecha, odrzekł więc potwierdzająco, a żyd mówił:

— Ta fura niech zajedzie za karczmę, a ta niech tu ostanie. Jedźta, Wojciechu, za mną, zara wam pokażę, gdzie macie stanąć.

Karczma jak widać było przez okna, zapełnioną była huzarami, pili oni i hałasowali mocno, a wielu śpiewało i wrzawa była ogromna. W wielkiej sieni kręciło się też mnóstwo żołnierzy i rzędem stały konie okulbaczone przy żłobach. Na ławach przed karczmą siedziało też kilku huzarów, wszędzie ich było pełno. Kapitan Luke obejrzał to wszystko jednym rzutem oka i szepnął do siebie:

— Otóż jestem w jaskini lwów, jak Daniel z Pisma św. Ciężka to będzie sprawa, ale może Bóg, da, że jakoś poradzimy sobie.

Tymczasem Rędzina, prowadzony przez żyda, zajechał ze swą furą poza karczmę, za jej bok lewy, gdzie nie było okien tylko mur gładki, a w tym murze, małe drzwiczki. Rosło tu kilka drzew, rzucających mocny cień, tak, że nic widać nie było, a nadewszystko ani jeden żołnierz tu nie zachodził. Za furą pociągnął kapitan Luke, zaciekawiony dlaczego żyd każe jej tam jechać, pociągnęła i pani Janowa.

— Ny, — rzekł żyd, zwracając się do Rędziny, — tera trza zrzucić połowę tego siana.

— A to na co?

— Na co? tak potrza i koniec. Niech się waćpan nie pyta jeno robi. Ja się waćpana nie pytam po-cośta tu przyjechali.

— Zrzucać nie gadać! — dodała pani Janowa, i nie czekając, chwyciła stojące przy ścianie widły, widocznie umyślnie przygotowane, i poczęła niemi szybko i sprawnie zrzucać siano na ziemię. Znalazło się jeszcze parę innych wideł, któremi Rędzina i sam kapitan Luke wzięli się do roboty, zgoła nie rozumiejąc jej celu, ale przekonani, że trzeba postępować według wskazówek miejscowych ludzi, którzy lepiej znają okoliczności i wiedzą co robią. Kapitan Luke tylko myślał sobie, że jednak dzielna musi to być kobieta, ta pani Zaleska, skoro zdołała tak szybko wrócić do Uchacza i wszystko przygotować, by zamysł oswobodzenia jej męża mógł być wykonany.

Siano, energicznie rękami zrzucane, spadało na ziemię, a tymczasem żyd dobył z kieszeni kluczy i począł otwierać owe drzwiczki, umieszczone w ścianie. Zjawił się też przy nim młody jakiś żydek, z którym poszwargotał, a gdy drzwiczki owe otworzył, ukazał się oczom kapitana Luke, który na wszystko miał zwróconą uwagę, loszek ciemny i schody doń wiodące. Z loszku biła woń stęchlizny i gorzałki. Żyd z młodym szajgecem zeszedł po

schodach do lochu i dość długo nie było go widać i kapitan Luke nie mógł pojąć co to wszystko znaczy, ale nic nie mówił, tylko pracował usilnie widłami i siano zrzucał, oglądając się trwożliwie czy jaki huzar się nie zjawi i tej tajemniczej robocie nie zacznie się przypatrywać. Ale na szczęście, żaden nieproszony gość się nie pokazał i było tu cicho, tylko słychać było przyśpieszony oddech pani Janowej, która dzielnie robiła widłami, ale widocznie, kobieta tęga i otyła, męczyła się tą pracą.

Wkrótce jednak skończyć się ona miała. Już prawie trzecia część siana była zrzucona na ziemię, gdy z lochu dobiegł odgłos, jakby coś ciężkiego toczono po schodach, a zaraz potem ukazali się obaj żydzi, stary i młody, z trudem popychający przed sobą dość dużą kufę, od której zdala czuć było gorzałkę. Gdy ją nakoniec wynieśli na wierzch, nie tracąc ani chwili czasu, wezwali pomocy Rędziny i kapitana, by ją włożyć na furę. Tu umieszczona i okryta sianem, jak się domyślał Luke, miała służyć za przynętę dla rozgoszczonych we dworze w Uchaczu huzarów i dać im tak silne zajęcie, by nie patrzyli na to, co się w tym dworze dziać będzie.

Kiedy już z beczułką się załatwiono, żyd karczmarz obtarł czoło z potu i wysłał szajgeca, żeby druga fura ruszyła, a kapitan Luke zwracając się do oddychającej ciężko ze zmęczenia pani Janowej, szepnął:

— To wcale dobrze pomyślane. Komuż to przyszło do głowy?

— Komuż by, jak nie Mośkowi. To tylko żydowski rozum na to zdobyć się może.

— Proszę ja waćpani — pytał dalej kapitan — podobno do pana Zaleskiego przystęp jest wolny?

— Przystęp wolny! a któż to waćpanu takich banialuk naplótł? żeby był wolny, to wiedziałabym co robić.

— Właśnie, bo to widzi waćpani, idzie o te papiery...

— Już ja wiem o co idzie i gdyby można było, tobym dawno je miała w ręku i ostałby z nich jeno popiół... Zobaczy waćpan, jaki to tam przystęp jest wolny... No! nie mamy czego czekać, jazda do dworu!

Nadjechał też Walek ze swą furą i mruczał:

— Ostawiliśta mnie samego, a te bezskórcyje opadły mię nikiej osy: a ty od kuda, a czyje to siano, i wiem ja to, co óni ta jeszcze gadali? Szturgali mię pod boki, ażem jeno zęby ściskał... Godziło się to mię tak samego ostawić?...

— Nic ci się nie stało, nie gadaj, tylko jedź! — zauważył kapitan.

Ruszono więc naprzód, a Luke widząc zbliżającą się ostateczną i najważniejszą chwilę, pełen niepokoju, choć nie tracący determinacji i zdecydowany na wszystko, podszedł znowu do Janowej i spytał szeptem:

— Powiedz mi waćpani, dużo ich tam pilnuje pana Zaleskiego?

— Co ma być dużo, wszystkiego jest ze trzydziestu, a i tych większa część, jakeś to waćpan widział, siedzi w karczmie, a Mosiek ich częstuje gorzałką i miodem. We dworze niema i dziesięciu nawet, ale się trza śpieszyć, bo może nadjechać jaki oficer i spędzić to hultajstwo do dworu.

— A gdzież się reszta podziała? wszak mówiła pani Zaleska, że w Uchaczu stanął z całym korpusem jenerał Rachmanow?

— Bo tak było, ale wczoraj wyszli do Kawęczyna, Kochowa i Maciejowic, tak że ostawili jeno trzydziestu w Uchaczu. Powiadam waćpanu, palec to Boży uczynił, bo inaczej jakżeby można było co zrobić? Ale nie gadajmy, bo oto i dwór widać.

Dwór, budynek murowany, dość duży, był na pół ciemny, w trzech tylko oknach się świeciło, otoczony

wysmukłemi topolami włoskiemi, a z tyłu za nim, z poza wysokiego dachu widać było korony ogromnych drzew. Z boku czerniały stajnie, stodoły i inne zabudowania gospodarskie. W stajniach, gdzie, jak się domyślał kapitan Luke, stały konie huzarskie, błyszczało słabe, mętne światełko. Po niedawnej wrzawie w karczmie, cisza, jaka tu koło dworu panowała, robiła pewne przygnębiające wrażenie. Wiatr wzmógł się i wył pomiędzy drzewami, niebo było czarne i zanosiło się na potężną wichurę.

Gdy wjeżdżano w bramę, u której wrota na pół zerwane z zawias, wisiały w melancholijnej postawie i szarpane wiatrem skrzypiały przeraźliwie, wystąpił z ciemności jakiś cień i zbliżywszy sę do kapitana i Janowej, którzy szli nieco przodem, spytał szeptem:

— Czy to Janowa?

— Ja, paniuńciu.

— I ja także — dodał kapitan, poznawszy w tym tajemniczym cieniu panią Zaleską.

Nic na to nie odrzekła, tylko poszukawszy w ciemności ręki kapitana Luke, uścisnęła ją mocno i łkać cicho poczęła. Nie było zresztą czasu na rozmowę, bo zaraz podbiegło kilku huzarów i dopytywać się zaczęli kto to jedzie i z czem.

— Nie widzita, — zawołała swym krzykliwym głosem Janowa, — czy co? Siano dla was wieziemy, żeby wasze króniska miały co jeść. Siano, rozumiesz?

— Nu, nu, *sieno!* — odezwał się jeden z nich i coś tam jeszcze gadali, powtarzając ciągle swoje „sieno", a zaraz też nadbiegli i inni, i gdy fury wjechały na dziedziniec, obskoczyli je dokoła, ściągać zaczęli siano i natknęli się na kufę z gorzałką, i poczęli pytać, co to takiego.

— To nie dla was, to gorzałka dla waszych oficerów! — krzyczała Janowa — nie ruszajcie!

I niby broniąc baryłki, rozkazywała Walkowi i Rędzi-

nie, ażeby ją zabrali i zanieśli do dworu. Ale żołnierze nie dali i mówili, jak potem opowiadał kapitan Luke, który ich język rozumiał, że to oszustwo, że zapewne Laszki dla siebie, a nie dla oficerów sprowadzili gorzałkę, że oni nie głupi baryłkę oddać i t. p. Zaraz też ją porwali, uczęstowawszy Walka, który jej bronił, pięścią w kark i ponieśli do stajni. Walek poskrobał się po karku, zaklął: „żeby was wciurności", a pani Zaleska wziąwszy kapitana za rękę, ruszyła z nim i z Janową do dworu. Dwór ten podzielony był na dwie połowy dużą sienią, słabo oświetloną małym i dymiącym szkaradnie kagankiem, umieszczonym na prostym, z desek zbitym stole, przy którym drzemał huzar, złożywszy głowę na rękach. Właściwie nie drzemał on, ale owszem podniósłszy głowę, słuchał bacznie radosnych okrzyków swych towarzyszy, zachwyconych ze zdobycia baryłki z gorzałką.

Gdy do sieni weszła pani Zaleska z kapitanem Luke i Janową, huzar poznawszy gospodynią dworu, zapytał, czego jego kamraci tak krzyczą? Pani Zaleska nie wiele zrozumiała z tego pytania, ale wyręczył ją kapitan, który rzekł po rosyjsku:

— Czy wy nie jesteście starszym? bo oto przywiozłem z sąsiedniej wsi dwie fury siana i trochę gorzałki tutaj dla dworu, a wasi żołnierze zabrali mi ją. Proszę was, odbierzcie ją, bo mój pan będzie się na mnie gniewał.

— *K'czortu z twoim panom!* — mruknął żołnierz, powstał leniwie, obejrzał się dokoła, a zwłaszcza na drzwi po jego lewej ręce się znajdujące, ziewnął głośno, przeciągnął się i wyszedł na dziedziniec szybko, zapewne lękając się, by tamci kamraci nie pośpieszyli się i przed jego przybyciem nie wypili wszystkiej wódki.

Pani Zaleska, gdy za huzarem zamknęły się drzwi, odetchnęła głośno i zawołała:

— Prędko! prędko! trzeba Felisia wypuścić!

I gorączkowo, drżącemi rękami poczęła czegoś szukać po kieszeniach. Ale widocznie siły odmówiły posłuszeństwa tej nieszczęśliwej kobiecie, na tak ciężkie próby wystawionej, bo zbladła, zachwiała się i w tym decydującym momencie, kiedy korzystając z nieobecności strażnika, należało działać szybko i stanowczo, padła na ławę szepcząc:

— Boże Wszechmogący, nie mogę!

Ale Janowa zato przytomności i energji nie straciła i syknęła:

— Dawaj pani klucz! klucz prędko!

A gdy pani Zaleska na pół omdlała, nieprzytomna, drżąca i przerażona poczęła tego klucza szukać po kieszeniach i znaleźć go nie mogła, Janowa nie wiele myśląc sama tam sięgnęła, szepcząc:

— A niechże pani nie traci przytomności! niech się pani przeżegna i niczego się nie boi, już ja wszystko zrobię... A! otóż i klucz!

I porwawszy go, z szybkością zdumiewającą w takiej otyłej, ciężkiej kobiecie, pobiegła do drzwi znajdujących się po prawej stronie, otworzyła je i znikła za niemi. Pani Zaleska patrzyła na nią osłupiałemi, szeroko rozwartemi oczami, poczem nagle padła na kolana i wznosząc ręce do góry, szeptała:

— Boże, dopomóż jej! Boże, bądź miłościw mnie grzesznej, święta Marjo, Matko Boska, zmiłuj się nademną!

Kapitan Luke zrazu nie rozumiał tego wszystkiego, co widział i słyszał, ale domyślił się, że chwila stanowcza nadeszła i że trzeba najprzód uspokoić tę kobietę klęczącą i modlącą się głośno. Lękając się, by który z żołnierzy z dziedzińca nie zobaczył tego, co się dzieje w sieni, przedewszystkiem zdmuchnął kopcący nieznośnie kaganiec i ciemności nieprzejrzane zaległy sień, a potem starał się uspokoić panią domu.

— Niechże waćpani, na miłość Boską, będzie cicho, wstań waćpani!

Starał się ją podnieść, natchnąć odwagą, oglądał się niespokojnie na drzwi od dziedzińca i nadsłuchiwał pilnie co się tam dzieje. Ale gdy stamtąd żaden głos podejrzany nie dawał się słyszeć i gdy pani Zaleska owładnęła sobą i powstała na nogi, spytał:

— Co to za klucz? gdzie poszła Janowa?

— Klucz jest od pokoju, w którym Feliś jest zamknięty.

— Więc poszła go uwolnić?

— Tak.

— Czy tam straży niema?

— Nie, tu był żołnierz, aleś go waćpan nadzieją upicia się gorzałką wywabił. O! Boże, co ona tak długo tam robi?

— Jakto? więc tylko ten żołnierz pilnował?

— Tak... ale nie, jest jeszcze jeden od strony ogrodu... pod oknem. Panie! idź zobacz co ona tak długo tam robi! ja się ruszyć nie mogę, nogi mi zdrętwiały zupełnie. O! mój Boże, mój Boże, ratuj mnie nieszczęśliwą!

Kapitan nie wiedział gdzie się obrócić, chciałby pójść tam, zobaczyć co Janowa robi, to znów lękał się zostawić samą panią Zaleską, która z przerażenia poprostu traciła przytomność, i jęczała i łamała ręce i cała drżała jak w febrze. W tejże chwili dał się słyszeć szept Janowej, widocznie przybiegła do otwartych drzwi i mówiła:

— Nie mogę wyprowadzić go (domyśleć się należało, że pana Zaleskiego), bo w pokoju się świeci, a „sałdat“ stoi pod oknem i patrzy. Trzeba tego sałdata usunąć, bo inaczej nic nie zrobimy!

— Boże! — jęknęła pani Zaleska — wszystko przepadło!

— Nic jeszcze nie przepadło! — zawołał kapitan i zwracając się do Janowej, zapytał — dużo ich tam jest w ogrodzie pod oknem?

— Tylko jeden; tam zawsze jeden staje.

— A więc wszystko dobrze!

To rzekłszy, skoczył do drzwi prowadzących na ganek i na dziedziniec. Na ganku ujrzał siedzące na ławach dwie jakieś figury, których z powodu ciemności nie mógł rozróżnić.

— Kto tu? — zapytał.

— Ja, Rędzina i Walek Kłonica.

— Nie odchodźcie nigdzie i czekajcie na mnie!

— Dobrze, panie kap...

Tu Rędzina uderzył się dłonią w usta, przypomniawszy sobie gdzie się znajduje i że nie jest rzeczą bezpieczną wymieniać głośno tytuł Lukego. Zaklął tylko mocno:

— Bodaj to siarczyste! okez nie wyrzekłem...

A kapitan Luke już był w sieni i tonem rozkazującym komenderował:

— Jejmość pani Janowa ruszaj do aresztu pana Zaleskiego i jak usłyszysz szamotanie za oknem, otwieraj i wyprowadzaj więźnia. Światła w areszcie nie gasić. Waćpani zaś (zwrócił się do pani Zaleskiej) pokaż którędy droga do ogrodu.

Pani Zaleska czy zdołała już opanować swoje wzruszenie i trwogę, czy też oddziałało na nią energiczne zachowanie się kapitana i rozkazujący ton jego głosu, dość że przestała drżeć i wskazując ręką zamknięte drzwi w głębi sieni, szepnęła:

— Tędy chodź waćpan, poprowadzę cię.

Ale kapitan dał jej znak, by zaczekała, a sam zawołał Walka i Rędzinę i wziąwszy ich nieco na bok, szepnął:

— Uważać, co wam powiem. Musimy strażnika tam w ogrodzie schwytać i ubezwładnić, ale tak cicho i nieznaczenie, by nie zrobił alarmu. Rozumiecie?

— Rozumiemy! — odrzekli obaj grenadjerzy.

— Co robą tamci w stajni?

— A cóż? piją i śpiewają.

— To dobrze, tego nam właśnie trzeba. Ty, Rędzina, pójdziesz na lewo, a ty, Kłonica, na prawo. Ja wam dopomogę. Jak będziecie blisko, skoczyć na niego, gębę mu zatkać i związać. Hej, masz tu waćpani sznury?

— Boże! czy ja wiem? juścić muszą być gdzieś, trzebaby poszukać.

— Na to niema czasu. Mniejsza z tem, odwiążcie pasy i niemi go skrępować, ale mu żadnej krzywdy nie robić, chyba, żeby za dużo hałasu robił. W gębę mu wpakować jaką szmatę, broni nie tykać, co nam po...

Urwał i po chwili dodał:

— Znakomita myśl! Zabierzemy mu płaszcz i furażerkę i w nią więźnia ustroimy. Że też to mi wcześniej do głowy nie przyszło. No, chłopcy zrozumieliście mnie?

— Zrozumieliśmy.

— A więc do roboty! prowadź nas waćpani.

Przeżegnała się i w milczeniu ruszyła przez ciemną sień ku drzwiom, wiodącym do ogrodu i cicho je otworzyła. Pierwszy kapitan wyszedł na dwór i obejrzał się dokoła. Noc się zrobiła nadzwyczaj czarna, bo drobny deszcz znowu zaczął kropić i mgła widać spadła, bo Luke własnej ręki nie mógł dostrzec. Tutaj w ogrodzie, wskutek drzew i gąszczu krzaków, ciemności te były jeszcze większe i tylko po prawej wązki pasek światła wydobywał się z okna więźnia i krasił niepewnym, żółtawym blaskiem konary jakiegoś ogromnego drzewa. W oddali, gdzieś w głębi, poza drzewami widać było bladą, czerwoną łunę, czy od pożaru, czy też od ognisk obozowisk wojskowych. Ze stajen dochodziły krzyki i śpiewy rozweselonych gorzałką żołnierzy.

Kapitan Luke zorjentował się szybko w położeniu i widać, że mu jakaś nowa myśl przyszła do głowy, bo szepnął:

— Waćpani stój tutaj przy drzwiach. Ja idę przodem, a wy obaj za mną.

Ruszył śmiało naprzód, nie zachowując żadnych ostrożności, klapiąc głośno po kałużach wody i błocie. Nie uszedł i sześciu kroków, gdy z ciemności rozległ się głos:

— *Ej tam! kto idiot?*

A na to kapitan:

— *Małczi! eto ty Fiedor?*

— *Niet* — odrzekł głos — *ja Iwan Mitrofanowicz.*

— *Nu, charaszo! idu na smienu.*

— *Razwie eto uże wremia?*

Na to pytanie kapitan nie odpowiedział, bo swym bystrym wzrokiem dojrzał już blizko siebie ciemną sylwetkę warty. Syknął więc do idących za nim Rędziny i Walka:

— Za mną! — i jednym skokiem rzucił się na spokojnie stojącego i niespodziewającego się napaści wartownika. Jednem potężnem uderzeniem pięści pomiędzy oczy powalił go na ziemię, przysiadł na nim i nim ten zdołał oprzytomnieć gwałtem wpakował mu swoją czapkę w usta, tak że krzyknąć nie mógł, tylko charczał i rzucał się jak szalony. Ale już nadbiegli z pomocą ciężko dyszącemu kapitanowi, Rędzina i Walek i ostatecznie ubezwładnili strażnika.

— Zdjąć mu płaszcz i furażerkę i związać szelmę silnie! — rozkazywał kapitan.

W jednej chwili rozkaz ten był wypełniony i pokonany żołnierz leżał nieruchomy na ziemi jak kłoda.

— Zabrać mu karabinek, może się przydać — mówił kapitan — płaszcz i furażerka wzięta?

— Wzięta panie kapitanie.

— A więc marsz za mną!

Zatrzymał się jednak chwilkę i zajrzał przez zakratowane okno do więzienia pana Zaleskiego. Dostrzegł w głębi drzwi otwarte i dwie figury w nich ciemne, co dowodziło,

że pani Janowa zrobiła swoje. Pobiegł więc co żywo ze swymi zuchami do sieni, ale tu we drzwiach nie zastał już pani Zaleskiej, tylko usłyszał gdzieś w głębi głośne pocałunki, szlochanie i okrzyki:

— Feluś! Feluś! mój skarb, dusza moja!

— Andziu droga!

— Do licha! — zawołał kapitan — teraz nie czas na pocałunki. W nogi, bo tu chwili niema do stracenia. Gdzie waćpan panie Zaleski?

— Tutaj!

— Ubieraj się w ten płaszcz i furażerkę i w nogi. Prowadź nas waćpani do łodzi. Żywo! śpieszyć się! bo lada chwila, może który z huzarów tu zajrzeć i wszystko przepadło.

— Jestem gotów! — wołał Zaleski.

— A więc w drogę! marsz!

XIV

Miano już wychodzić do ogrodu, gdy kapitan, który o wszystkiem pamiętał i na wszystko miał zwróconą uwagę, zapytał się nagle Janowej:

— Zamknęłaś jejmość więzienie pana Zaleskiego na klucz?

— Nie! zabaczyłam.

— Ruszaj mi jejmość natychmiast, zamknij starannie a klucz schowaj, żeby go nikt znaleźć nie mógł. Żywo!

Na ten rozkaz, wygłoszony tonem stanowczym, babina skoczyła jak oparzona, a choć była tęga, w mig jednak załatwiła się i wróciła do sieni. Ale tu nie zastała już nikogo. Wszyscy wybiegli do ogrodu i słychać było tylko zdala ich przyśpieszone kroki.

— O laboga! — szepnęła — chcą mię tu widzę zostawić, ale ja za nic nie zostanę, nie głupiam kłaść zdrową głowę pod Ewangelję.

To rzekłszy, co tylko sił miała poczęła biec przez główną ścieżkę ogrodu, choć panowały tu nieprzejrzane ciemności, wołając stłumionym, zdyszanym głosem:

— Zaczekajcie na mnie! zaczekajcie!

Widocznie strach jej dodawał skrzydeł, bo choć była otyła i niemłoda, a tamci biegli szybko, jednak dogoniła ich i oddychając ciężko, rzekła:

— Cóż to? asaństwo myślicie mnie zostawić tutaj na pastwę *moskali*? to nie po ludzku i nie po katolicku!

— Ale kochana Jasiowa — odpowiedziała pani Zaleska — łódź jest niewielka, nie pomieścimy się wszyscy.

— Więc tak? więc chcieliście mię ostawić, by mię *moskale* zamordowali? Otóż nie zostanę, wolę się utopić, jak w ich ręce wpaść.

— Myślałam, znając twój rezolutny charakter, że dasz sobie z nimi radę, jakeś sobie dotąd dawała.

— Co jenszego było dotąd, co jenszego teraz. Nie zostanę!

— Jużcić — wtrącił się kapitan — jejmość Janowa ma rację, zostać tu nie może. Jakoś pomieścimy się na łodzi. Zamknęłaś waćpani więzienie?

— A jakże, na dwa spusty.

— I światło się tam pali?

— Pali się.

— A klucz?

— Klucz mam przy sobie i rzucę go do Wisły.

— Wszystko więc dobrze. Śpieszmy!

Nie potrzebował tego powtarzać kapitan, bo przez cały czas tej rozmowy nie zatrzymano się ani na chwilę. Wszyscy biegli co jeno sił mieli, nawet omdlewająca dotąd pani Zaleska, teraz nabrała nowej energji, wyprzedzała wszystkich, ciągnąc za sobą męża i dbając tylko o niego. Nie doszli jeszcze do końca ogrodu, którego furtka, wychodząca na pola była zamknięta, i naraz musieli się zatrzymać, nim pani Zaleska doszukała się klucza w kieszeniach swej sukni, gdy nagle za nimi, od dworu, wiatr wiejący w tę stronę, przyniósł im wyraźnie słowa, wypowiedziane głosem grubym i ochrypłym:

— *Czort znajet czto eto takoje! Ej, Iwan!*

Widoczną było rzeczą, że któryś z żołnierzy zaszedł do dworu i zdziwiony panującemi w nim ciemnościami, wydostał się z sieni na ogród i wołał wartownika Iwana, który związany, z ustami zakneblowanemi, nie mógł mu

odpowiedzieć. Ale oczywiście niebezpieczeństwo było groźne, bo żołnierz nie otrzymując odpowiedzi, mógł pójść poszukać Iwana i ostatecznie wcześniej czy później natknąć się na niego i narobić alarmu. A tu na dobitkę panią Zaleską opadła nowa bezsilność, drżała cała, klucza od furtki nie mogła znaleźć, wreszcie znalazłszy go, w żaden sposób nie mogła go włożyć w zamek.

— Nie mogę! — szepnęła.

— Daj go mnie! — zawołał pan Zaleski.

W jednej chwili otworzył i byli za ogrodem, ale niebezpieczeństwo przez to wcale się nie zmniejszyło. Trzeba było przebiec znaczną przestrzeń nagiem i otwartem polem, przez które szła droga, prowadząca do Kochowa, nimby się dostali w zarośla, wikliny i bagna, ciągnące się aż do Wisły i gdzie na nich rybak Jędrzej miał z łodzią oczekiwać.

— Do krocset! — mruczał kapitan Luke — trzeba było zamknąć na klucz drzwi prowadzące z sieni do ogrodu. Zapomnieliśmy o tem.

— Zapewne — odparł pan Zaleski — ale nie o wszystkiem można pamiętać. Przytem na niewiele by się to zdało. Ogród przecież nie jest fortecą i z dziedzińca prowadzi doń furtka. Cała nadzieja teraz w nogach.

Ale i tutaj okazała się nowa przeszkoda. Pani Zaleska znowu z przerażenia tak omdlała, że już nie biec, ale iść nie mogła.

— Nie mogę! — mówiła — nie mogę! padnę zaraz! O Boże, czemuż mię w tej stanowczej chwili opuszczasz? O! mój Felisiu uciekaj, ja zostanę. Ratuj się sam, a ja już sobie jakoś dam radę, a choć zginę, to ty ocalejesz, mój drogi, mój jedyny!

Rzuciła mu się na szyję i poczęła go całować. Rozgniewany tem kapitan, bo to wstrzymywało ich ucieczkę, zawołał groźnie:

— Co waćpani wyrabiasz do stu siarczystych batalionów! Akuratnie też jest teraz pora na czułości!

— Kiedy ja iść nie mogę! ja zostanę! niech się ze mną co chce dzieje, byleś ty, o! mój drogi ocalał.

— Ale Andziu, — odezwał się na to Zaleski — co też ty mówisz? przecież cię nie zostawię, oprzyj się na mnie i ruszajmy!

Wziął ją pod rękę z jednej strony, kapitan z drugiej i tak ją napół nieśli, na pół ciągnęli, śpiesząc ile tylko mogli, by jak najprędzej przebiec przez nagie pole i dostać się do wikliny nadbrzeżnej. Kapitan zły i zaniepokojony, bo omdlenie pani Zaleskiej opóźniało ich ucieczkę, pilnie jednak słuchał czy wiatr, wiejący od strony Uchacza, nie przyniesie jakich podejrzanych głosów, jakiej wrzawy świadczącej, że tam we dworze wykryto już wszystko. Gdyby bowiem tak było, to niewątpliwie nastąpiłby zaraz pościg, a na tem nagiem, bez żadnej zasłony polu, nicby nie pozostało, jak sprzedać drogo swe życie. Na szczęście z tej strony nic nie było słychać, cisza dokoła leżała, tylko wicher wył zawzięcie po ściernisku, wydając jakieś jękliwe, żałosne tony. Biegli na przełaj przez pola, pokrajane w zagony, stąd droga była ciężka, tym cięższa, że ziemia rozmoczona przez deszcze, zmieniła się w grzązkie błoto, w którem nogi więzły po kostki. Drobny deszcz padał nieustannie i ciemno było takie, że na dwa kroki przed sobą nic nie było widać. Tę ciemność, jakkolwiek utrudniającą wielce ucieczkę, kapitan jednak błogosławił w duszy, bo nawet w razie pościgu, mogła się ona stać tarczą i osłoną zbiegów. Ale w chwili gdy przechodzili przez drogę, prowadzącą do Kochowa, nagle zadął silniejszy wicher i rozpędził mgłę, ciężką chmurę leżącą na polu i zrobiło się widniej i jaśniej a pani Zaleska, mając wzrok bardzo bystry, szepnęła:

— Ocaleliśmy. Już wiklina, jeszcze kilkadziesiąt kro-

ków, a będziemy bezpieczni. Ach! bylebym tylko sił nabrała!

Ale właśnie w tej chwili największe zagroziło im niebezpieczeństwo. Jeszcze kapitan i pan Zaleski niezdołali przeciągnąć omdlałej pani Anny przez gościniec, gdy nagle tuż, tuż dał się słyszeć tętent kilku koni i rozległ się surowy, donośny głos:

— *Kto idiot?*

— Jezus Marja! — krzyknęła przeraźliwym głosem pani Anna i zwisła na ręku obu mężczyzn zupełnie bezwładna i zemdlała naprawdę.

Kapitan puścił ją, szepcząc do męża:

— Zaciągnij ją waćpan do wikliny!

I zwrócił się do jeźdźców, których było trzech i których sylwetki wyraźnie się rysowały w ciemności nocy. Ci dopytywali się ciągle, kto idzie i najeżdżali końmi coraz bliżej, tak, że kapitan sięgnął już po pistolet, gdy nagle, nietracąca przytomności pani Janowa, krzyknęła swym piszczącym głosem:

— Dzierży konia ty mużyk! a tobie co do tego kto tu idzie!

— A to waćpani pani Janowa? — odezwał się po polsku jeden z jeźdźców.

— Ja panie Postuchowski.

— A co waćpani tu robisz i jak widzę nie sama? co to za ludzie? co to się tam dzieje?

Pytanie to było zwrócone w stronę wikliny, do której pan Zaleski usiłował donieść omdloną żonę. Ale był to mężczyzna nizki, chuderlawy i w żaden sposób nie mógł udźwignąć swej wysokiej małżonki, zwłaszcza, że wiklinę oddzielał od drogi dość głęboki rów, pełen wody, którego przeskoczyć z takim ciężarem nawet silny mężczyzna nie byłby w stanie. Szamotał się więc biedny pan Zaleski i na dobitkę poślizgnął się na mokrej od deszczu drodze

i z głośnym pluskiem wpadł w rów, i ten to plusk właśnie zwrócił uwagę Postuchowskiego, Polaka, służącego w huzarach *moskiewskich*. Lecz Janowa i tym razem nie straciła przytomności i zawołała:

— Jedźno waćpan, mości Postuchowski, gdzie masz jechać, a nam nie przeszkadzaj!

— Hej, co tu się robi? — krzyknął nie zważając na to Postuchowski — gadaj, coś ty za jeden?

Słowa te zwrócone były do kapitana Luke, na którego najechał zaprzaniec polski i pochyliwszy się na koniu, chwycił ręką za pozbawioną nakrycia czuprynę dzielnego komendanta grenadjerów krakowskich. Ten niewiele myśląc palnął kolbą pistoletu, który już dobył z kieszeni, w łapę napastnika, ale tak nieszczęśliwie, że pistolet wypalił z głośnym hukiem, powtórzonym przez liczne echa. Jednocześnie Walek, nie zastanawiając się nadtem, jaki to może mieć skutek, zmierzył z karabinka, zabranego wartownikowi w Uchaczu, do jednego z jeźdźców i dał ognia. Jeździec trafiony zachwiał się, krzyknął: hospodi Boże! i runął jak długi na ziemię. I jakgdyby te dwa niespodziewane strzały były hasłem, od strony Uchacza, a raczej w jego dworze huknęło ich kilka raz po razu i jednocześnie, niby wąż ognisty wzbiła się w górę z sykiem, pryskając iskrami, rakieta i pęknąwszy z trzaskiem, spłynęła deszczem ognistym na ziemię. Widoczną było rzeczą, że we dworze znaleziono już powiązanego wartownika i dowiedziano się o ucieczce więźnia. Niebezpieczeństwo stawało się więc z każdą chwilą groźniejsze.

Na szczęście w tej chwili dwa strzały kapitana i Walka ten miały skutek, że Postuchowski i pozostały przy życiu żołnierz, przerażeni mocno, spięli konie ostrogami i heroicznie drapnęli drogą tam, zkąd przybyli, to jest do Kochowa. Sądzili oni zapewne, że strzały grzmiące w Uchaczu, nie są czem innem jak tylko walką z jakimś

oddziałem nieprzyjacielskim i że tu natknęli się na ten oddział, uważali więc za stosowne salwować całość swych skór, ale tym sposobem zostawili swobodne do ucieczki pole kapitanowi i jego towarzyszom i towarzyszkom. To też dzielny Luke nie stracił ani chwili czasu.

— W wiklinę! — zakomenderował i jednym skokiem rów przesadził, poczem przy pomocy Walka i Rędziny wydobył grzebiącego się w błotnistej wodzie pana Zaleskiego, przeniósł wciąż omdlałą jego żonę i nagląc do pośpiechu, zaszył się w gąszcz zarośli. Teraz przedewszystkiem szło o przywrócenie do przytomności pani Zaleskiej, bo najprzód ona wiedziała gdzie czekał z łodzią rybak Jędrzej, a potem dźwiganie jej wśród gąszczu było rzeczą mozolną w chwili gdy wolność i życie tylu osób zależało od szybkości działania. Zabrała się do tego z właściwą sobie energją Janowa i prysnąwszy na twarz omdlałej kilkakrotnie wodą, otrzeźwiła ją zupełnie, do czego zapewne przyczyniło się zimno, nieustanny deszcz, a nadewszystko wzmagająca się z każdą chwilą salwa z karabinów w Uchaczu, Kochowie i wogóle na całej przestrzeni obozowisk nieprzyjacielskich. Kapitan Luke przez czas, kiedy Janowa zajęta trzeźwieniem omdlałej pani Zaleskiej, przysłuchiwał się temu trzaskowi ognia karabinowego, wreszcie rzekł na pół do siebie, na pół do obecnych:

— Oni tam widocznie strzelają nawzajem do siebie. A tośmy im narobili bigosu! Nim się zorjentują i opatrzą, upłynie kawałek czasu, bo w nocy wszystkie koty szare, a co się swoich nabiją, to nabiją! Wszelako należy nam się śpieszyć, by skorzystać z tego zamieszania, bo ten zdrajca, co nas na drodze napadł... jak to on się nazywa?

— Postuchowski! — mruknęła Janowa zajęta trzeźwieniem pani Zaleskiej.

— Miły gagatek! w każdym razie śpieszmy się, bo ten

pan Postuchowski zda raport, że natknął się na nas na drodze i tu jeno patrzeć jak wyślą podjazd.

— W wiklinie nic nam nie zrobią — zauważył Zaleski — ale dobrze waść mówisz, śpieszyć się trzeba.

Pani Zaleska, przyszedłszy do siebie i wsłuchawszy się we wzmagający się huk strzałów, zawołała przerażona:

— Co to? strzelają! o mój Boże, zginęliśmy!

— Niech no waćpani będzie spokojna — odparł kapitan — dotąd wcale nie zginęliśmy. Oni tam do siebie, a nie do nas strzelają. Nabierz waćpani odwagi i prowadź nas do łodzi nie tracąc czasu.

Pan Zaleski począł także łagodnemi słowy uspakajać swą zestrachaną żonę, tak że w końcu ta, nabrawszy nieco otuchy, ruszyła przodem, prowadząc swych towarzyszy do łodzi.

— To niedaleko — mówiła — za trzy pacierze tam będziemy. Byleśmy przebyli bagna, zaraz napotkamy Jędrzeja z łodzią. O! jakże strzelają; święta Marjo, Matko Boża, miej nas w swej opiece.

— Śpieszmy się, śpieszmy! — nalegał kapitan — bo byłoby wielkiem głupstwem, gdybyśmy teraz wpadli w ich łapy, jak ten co przepłynąwszy całe morze, przy brzegu utonął.

Wszyscy doskonale rozumieli potrzebę pośpiechu, przedzierali się też jak można najprędzej przez wiklinę, grzęźli w błocie, taplali się w wodzie, ale biegli naprzód. Zapanowało teraz śród nich posępne milczenie, zwykły objaw poczucia groźnego niebezpieczeństwa, jeno słychać było żałośliwe westchnienia pani Zaleskiej i ciężki, zdyszany oddech Janowej, która jednak bohatersko dotrzymywała placu, pomimo swej otyłości. Ale strach wiele może.

Tymczasem, tam za nimi, w obozowiskach nieprzy-

jacielskich grzmiała ciągła salwa karabinowa i nikt nie wątpił, że uwaga kapitana jest słuszną i prawdziwą. Widoczną było rzeczą, że w nagłym popłochu, wywołanym mniemaniem napadu polskiego, strzelano nawzajem do siebie, nie mogąc nic rozróżnić z powodu ciemnej i dżdżystej nocy. To oczywiście osłaniało ucieczkę zbiegów, bo w takim rozgardjaszu nikt z pewnością o nich nie myślał, ale kapitan jednak był niespokojny i chciałby jak najprędzej być na łodzi, bo przecież nieporozumienie w obozie nieprzyjacielskim wcześniej czy później wyjaśnić się musi, rzecz się cała wykryje, a wtedy rozpocznie się niechybnie zawzięty pościg za sprawcami całego tego zamętu.

Nareszcie szczęśliwie wydobyto się z wikliny, utrudniającej niezmiernie posuwanie się naprzód i znaleziono się na nagiem, piaszczystem wybrzeżu, o które z głośnym pluskiem obijały się fale Wisły. Rzeka szumiała smagana deszczem i wichrem i od czasu do czasu srebrzyste błyski na niej się pojawiały. Wygląd wybrzeża był smutny i ponury.

Kapitan obejrzał się dokoła i rzekł:

— Do krocset, przecież na tym nagim brzegu łódź na nas nie mogła czekać? Widocznie waćpani źle nas poprowadziłaś.

Pani Zaleska na tę uwagę zawołała ze straszną trwogą w głosie:

— Boże wielki, pobłądziłam!

Załamała ręce, szlochała głośno i w bezradnej rozpaczy wołała:

— O! ja nieszczęśliwa, zginęliśmy!

— Uspokój się Andziu — perswadował mąż — wcale jeszcze nie zginęliśmy. Powiedz jeno gdzie miał czekać Jędrzej?

— Nie wiem, już nic nie wiem! straciłam głowę! o! mój Felisiu jaka ja nieszczęśliwa, zgubiłam cię, zgubiłam!

— Ależ wcale nie. Proszę cię uspokój się, namyśl. Przecież tutaj na otwartym i odsłoniętym brzegu Jędrzej nie mógł czekać. Prawda?

Przetarła ręką czoło, jakby zbierała myśli, a Janowa rzekła:

— Ani chybi, on czeka od strony Kobielnicy, bo tam wiklina do samusieńkiej rzeki dochodzi, a jest taka gęsta, że dobrzeby ten musiał szukać, ktoby chciał tam kogoś znaleźć. Ja pedam, co tam potrza iść.

— Zastanów się waćpan nad tem co mówi jejmość Janowa — wtrącił kapitan — przecież jako tutejszy musisz znać okolicę.

— Cóż, że znam! — odrzekł Zaleski — wskazówki są bardzo niepewne, wiklina nie tylko koło Kobielnicy dochodzi do rzeki... ale chodźmy!

— Andziu — zwrócił się do żony — nie pamiętasz gdzie Jędrzej miał na nas czekać?

— Nie! nie pamiętam... w wiklinie, bo gdzieżby?

— Ale gdzie, w którem miejscu?

— Nie wiem, nic nie wiem! Straciłam pamięć, nie wiem co się ze mną dzieje. O! Boże, miej mię w swej opiece!

Nieszczęśliwa kobieta wskutek ciosów, jakie na nią od kilku dni spadały, naprężenia nerwów i nieustannej trwogi, traciła poprostu przytomność. Poczęła się cicho śmiać i półgłosem nucić starą pieśń szlachecką:

„Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą
A ja doliną
Ty zakwitniesz różą, ty zakwitniesz różą
A ja kaliną!“

Zaleski usłyszawszy to, zawołał przerażony:

— Andziu, co się z tobą dzieje?

A gdy ta nic mu nie odrzekła, tylko dalej nuciła swą żałośliwą piosnkę, biedny człowiek chwycił się oburącz za głowę i krzyknął:

— O! ja nieszczęśliwy, ona oszalała chyba! Co ja tu teraz zrobię?

I stał tak z giestem niemej rozpaczy i patrzał na żonę. Ale wmieszał się w to kapitan i rzekł:

— Nic tu waćpan teraz nie poradzisz i przedewszystkiem trzeba się ratować, odszukać łódź, bo inaczej przepadniemy wszyscy.

Janowa też objęła w pół swą panią i poczęła jej szeptać coś do ucha, starając się widocznie uspokoić nieszczęśliwą kobietę. Stali na nagiem wybrzeżu, nie wiedząc na razie co począć, wszyscy przejęci żalem, bólem i trwogą, jeden tylko Rędzina posunął się naprzód kilkanaście kroków i począł wołać:

— Wiklina! tu je wiklina, do samusieńkiego brzegu dochodzi.

Ruszyli więc naprzód, prowadząc panią Zaleską wciąż nucącą swą piosnkę i niebawem zanurzyli się w gęste zarośla. Tu kapitan przyłożywszy dłoń zwiniętą w kształcie trąbki do ust, począł krzyczeć:

— Jędrzej! oho! Jędrzej!

Kilkakrotnie powtarzał ten okrzyk, którego słuchali wszyscy z dręczącym niepokojem, a właściwie nie wszyscy, bo pan Zaleski i Janowa zajęci byli panią Anną i starali się ją uspokoić, przywrócić do przytomności, zapominając wobec tego nowego ciosu o niebezpieczeństwie zagrażającem im z każdą chwilą. Kapitan krzyczał, Walek i Rędzina mu dopomagali, aż nareszcie zatrzeszczała wiklina i odezwał się głos:

— Jestem! kto mię woła?

Te słowa oddziałały na panią Zaleską odrazu tak, że nagle padła na kolana i zawołała:

— Boże, dzięki ci! ocaliłeś nas!

Pan Zaleski porwał żonę w objęcia i głosem niesłychanego uniesienia, pełnym łez wołał:

— Andziu, droga Andziu! więc rozumiesz? więc jesteś przytomna?

— Tak Felisiu, tak! albo ja byłam nieprzytomna? Och Jędrzeju, jakże ja się bałam czy was znajdziemy.

Nieszczęśliwa kobieta zupełnie zapomniała, że przed chwilą straciła świadomość położenia, a teraz radośnie dziękowała Bogu, ściskała męża, rękę podała kapitanowi i dziękowała mu za wszystko, co dla niej zrobił. Ale kapitan wołał:

— Dobrze! dobrze! później mi waćpani podziękujesz, a teraz siadajmy do łodzi i w nogi.

— O! — rzekł Jędrzej — to widzę dużo jest osób, nie wiem czy się pomieścimy. Ano trudno... chodźta państwo za mną. Zmarzłem nikiej pies, bo kazaliśta długo czekać na siebie.

Poprowadził ich przez wiklinę do brzegu, łódź dobrze ukrytą odwiązał i kazał siadać. W jednej chwili znaleźli się wszyscy na niej, a choć chwiała się i zanurzyła po same burty, nie zważano na to, bo wydawało im się, że groźniejsze jest niebezpieczeństwo od strony lądu, jak od wody. I nie mylono się wcale. W chwili gdy łódź przy pomocy wioseł Jędrzeja i Walka odbijała od brzegu, strzały w obozowiskach nieprzyjacielskich zaczęły cichnąć i ucichły niebawem zupełnie.

XV.

Tymczasem mała armja polska spoczywała w Korytnicy, przygotowując się do śmiertelnego boju z nieprzyjacielem. Nad wieczorem owego dnia, w którym kapitan Luke wydobył z niewoli pana Zaleskiego, przybył z Warszawy w pośpiesznym marszu regiment Działyńczyków i rozłożył się na wzgórzach tuż obok grenadjerów krakowskich. Sierżant Kawka nie mając co robić, poszedł do ich obozowiska, bo miał tam wielu znajomych, ale zdziwił się bardzo, zauważywszy wśród nich ogromne zniechęcenie. Byli zmęczeni, zmoczeni deszczem, głodni i głośno narzekali.

— Pędzą nas nikiej szewców na jarmark — mówił do Kawki jeden z nich, Frysztacki nazwiskiem, sam synek szewca warszawskiego — a jeść nie dadzą. Jak tu się bić kiedy w brzuchu pustki? człek ledwie karabin udźwignie.

— Owa! — mówił na to Kawka — gadają o was coście wielcy rycerze, ale mnie się widzi, że jeno do miski. Tacyście wy to żołnierze? Nie powinien to żołnierz prawdziwy kiej potrza i zimno znieść i z głodu przymrzeć?

— Co ty tam wiesz! — odrzekł na to Frysztacki — taki cham jak ty, niema nijakiej kalkulacyi we łbie, a kałdon byle czem napcha i jest mu dobrze. Co jenszego my pochodzenia miastowego, delikatniejsze ludzie.

— Patrzajta! — zawołał na to obrażony nieco Kawka — francuski piesek! delikatniejsze ludzie! łyczek miej-

ski! Będzie mi tu od chamów wymyślał! Obaczymy jak się jutro spiszecie kiej przyjdzie do bitwy. Pewnikiem będziecie wołali: grenadjery reta! A jeno! poratujemy was! żeby was do nogi wybito!

Splunął gniewnie i wrócił do swoich i wygadywał głośno na Działyńczyków, mówiąc:

— Po co to to sprowadzić przykazał Naczelnik? Nie obeszlibyśmy się to przez nich? Co oni nam pomogą? jeno zły dadzą przykład i tyle. Gadają wszyscy, co Działyńczyki najlepszy żołnierz w całem wojsku. Aha, najlepszy żołnierz! to taka prawda jak to, że ja będę jednerałem.

Ale i Działyńczykom niebawem poprawiły się humory, gdy im rozdano wódkę, chleb i słoninę. Rozjaśniły się twarze i wieczorem w ich obozie rozlegały się do późna wesołe pieśni, a głównie ów marsz, co go ktoś dla ich regimentu skomponował:

„Do broni! bracia do broni
Dzień sławy dla nas przychodzi,
Podnieś oręż w dzielnej dłoni
Lepsza od ojców twych młodzi!"

Nazajutrz dnia 9 października wyruszono z Korytnicy drogą ku Maciejowicom. Dzień był prześliczny, jakby natura chciała ozłocić blaskami cichego słońca jesiennego ostatnie chwile wojownikom polskim, idącym na całopalenie za ojczyznę. Szli polami, pokrytemi rżyskiem, wśród którego tu i owdzie sterczały wielkie grusze o liściach złotych i czerwonych, w całej krasie sennej, zadumanej w sobie, polskiej jesieni. Srebrzyste nici babiego lata zwijały się i rozwijały po polach, samotnych gruszach, po ścierniach, wieszały się u bagnetów, kos, lanc i kitek ułańskich, niby festony jakieś, uwite z delikatnej przędzy. Maszerowano lasami, gdzie witał garść tych polskich straceńców szum starych sosen, świergot ptactwa, złowieszcze krakanie kruków. Te wrony i kruki stale towarzyszyły

wojownikom, jakby chciały złowróżbną przepowiednię rzymskiego historyka urzeczywistnić. Powietrze po wczorajszym deszczu było świeże, a choć tu i owdzie brnięto po błocie, jednakże kurzu dławiącego nie było. Gdy zbliżano się do jakiejś wsi, których kilka po drodze spotykano, grenadjerzy krakowscy godnym, grzmiącym niby burza chórem, śpiewali swą pieśń ulubioną:

„Bartoszu, Bartoszu
Nie traćwa nadziei
Bóg pobłogosławi
Ojczyznę nam zbawi“.

I ta nadzieja w Boże błogosławieństwo, w zbawienie ojczyzny, płynęła z chłopa polskiego piersi szeroko, daleko, po nad smętne niwy ścierniem pokryte, owite w nici babiego lata, po nad lasy szumiące melancholijnie, pod niebo jasne, czyste, pełne cichych uroków jesiennych. We wsiach mieszkańcy tłumnie wylegali by się przypatrzyć polskim rycerzom, kobiety płakały, a ta i owa wtykała w ręce żołnierzom to bułkę chleba, to serek, to garnuszek masła lub mleka. We wsi Godziszu Naczelnik osobiście zapytał się kilku starszych chłopów, stojących koło drogi, czy nie słyszeli co o nieprzyjacielu.

— Byli tu wczoraj kozaki raniuśko, ale potem nie widzieliśmy ich więcej, polatali po wsi kieby psy wściekłe, tego i owego batem zdzielili, parę świniaków porwali i kajsik pognali, ale kaj my ta nie wiemy.

— A powiedzcież Pietrze — ozwał się na to drugi wieśniak — że wczoraj nocką była wielga bitwa w Maciejowicach.

Słowa te zaciekawiły Naczelnika i począł się dopytywać zkąd wiedzą o jakiejś bitwie i coby to była za bitwa i z kim. Ale chłopi nie umieli objaśnić.

— Wiemy my to, kto i z kim się bił? — odpowiadali.

— A skądże o tej bitwie wiecie?

— Ano wczoraj na odwieczerz słychać było straśny huk, pewnikiem z harmat strzelali, ale to ta nie trwało długo, może półgodziny, może godzinę, czy ja wiem? I paliło się też kajś kole Maciejowic, bo łunę na niebie było widać.

Nic więcej od nich wydobyć nie można było, bo też więcej nie wiedzieli i przestraszeni byli mocno nawiedzinami kozaków. Naczelnik i jego adjutanci, pan Fiszer i Niemcewicz w głowę zachodzili, co mogło znaczyć to wczorajsze strzelanie i z kimby się bił Fersen, czynili różne przypuszczenia, jenerał Sierakowski nawet zrobił uwagę, że może to Poniński zerwał się ze swoim korpusem z nad Wieprza i napadł na Fersena, ale wydało się to nieprawdopodobne, bo przecież Poniński miał wyraźne rozkazy i nie mógł działać samowolnie. Łamano sobie głowę, ale nic wymyślić nie zdołano i dopiero rzecz się wyjaśniła, gdy w pobliżu wsi Oronne dognał wojsko na spienionych od szybkiej jazdy koniach, kapitan Luke i dwaj jego dzielni towarzysze Rędzina i Walek Kłonica. Gdy Naczelnikowi dano o tem znać, wezwał natychmiast do siebie kapitana i począł się ciekawie wypytywać o szczegóły jego awanturniczej wyprawy. Luke opowiedział wszystko jak należy i Naczelnik pochwalił go, mówiąc:

— Dałeś dowód obywatelu-kapitanie wielkiej odwagi i wielkiego poświęcenia, szkoda tylko, że dla tak małego celu. W ogólności byłem przeciwny tej wyprawie, bo cóż znaczą losy pojedyńczego człowieka wobec losów ojczyzny? Więc ostatecznie gdzież jest teraz ten pan Zaleski, który był na tyle niemądry, że wszelkie świstki i papiery przechowywał, zapominając o mądrej zasadzie starożytnych: *verba volant, scripta manent* *). Gdzie on jest teraz?

---

*) Słowa ulatują, pisma pozostają.

— Zapewne w Warszawie obywatelu Naczelniku, bo tam pojechali, zwłaszcza, że pani Zaleska wskutek ciężkich przejść podległa lekkiemu pomieszaniu zmysłów.

— Tak? biedna nieszczęśliwa kobieta, ale nie czas nam użalać się nad jej niedolą gdy wielka niedola ojczyzny nas dręczy. Więc to ty obywatelu kapitanie byłeś przyczyną tych strzałów, które wieśniacy w Godziszu wczoraj wieczorem słyszeli?

— Tak obywatelu Naczelniku. Zdaje się, że w nocnem zamieszaniu różne oddziały nieprzyjacielskie do siebie strzelały. Gdybym był miał ze sobą choć parę szwadronów jazdy, byłbym narobił nielada bigosu.

— Parę szwadronów jazdy! — uśmiechnął się Naczelnik — nie baczysz na to kapitanie, że trudnoby ci było dostać się w środek obozowiska nieprzyjacielskiego z paru szwadronami jazdy. Powiedzże mi, jakie wiadomości zebrałeś o sile i położeniu nieprzyjaciela?

— Prawie żadnych.

— Jakto prawie żadnych? — zapytał Naczelnik tonem surowym.

— Tak obywatelu Naczelniku. Zajęty byłem głównie tem, poco pojechałem. Wiem tylko, że kozacy sięgają podjazdami aż do Wargocina, że w Uchaczu stoi pluton, może mniej, może więcej huzarów, że w Kochowie stoi ze swym korpusem jenerał Rachmanow. Ludzie i pan Zaleski obliczają nieprzyjaciela na 18 tysięcy wojska i sześćdziesiąt armat.

— I nic więcej nie wiesz?

— Nie!

— To bardzo źle mości kapitanie. Jeżeli zgodziłem się na tę wyprawę, to jedynie dlatego, że sądziłem, iż dowiesz się czegoś więcej o nieprzyjacielu. To co mi mówisz, znanem mi jest i mam poważne przyczyny wątpić o prawdzi-

wości tej relacji. Którędy wróciłeś? czy tą samą drogą, którą pojechałeś?

Kapitan Luke zmartwiony mocno naganą Naczelnika, tym większe mającą znaczenie, że przy znanej swej dobroci serca, rzadko kogo ganił i raczej starał się uniewinnić każdego i otuchę mu w serce wlewać, jak karcić, usiłował się usprawiedliwić.

— Nie wiedziałem obywatelu Naczelniku — mówił — że taki cel miała moja wyprawa. Pan adjutant Fiszer nic mi o tem nie powiedział. Gdybym był uprzedzony, byłbym to zrobił, choćby mi przyszło życiem to nawet przypłacić.

— Gdybyś był zginął kapitanie, pożytku by to żadnego ojczyźnie nie przyniosło. Sądziłem, iż nie trzeba takich rzeczy nakazywać, one same się rozumieją. Ale stało się, nie mówmy o tem. Nie martw się kapitanie, wszyscy popełniamy błędy, wszystkich nas nieszczęścia ojczyzny uczą dopiero, jak postępować należy. Powinniśmy sobie nawzajem wszelkie błędy wybaczać i starać się je w przyszłości naprawiać. No! no! nie martw się, nie chciałem ci przykrości zrobić. Znam cię jako dzielnego i mężnego oficera, walecznie stawałeś pod Szczekocinami...

Tyle było dobroci w tych słowach, tyle szlachetności, jaką posiadają tylko dusze wzniosłe i wspaniałomyślne, że kapitan Luke rozrzewniony mocno, przypadł do ręki Naczelnika i począł ją całować, szlochając głośno jak kobieta.

— Wybacz Naczelniku! — mówił — jesteś najszlachetniejszym z ludzi, największym z wodzów! wybacz mi! wybacz!

— Dobrze, dobrze kapitanie, ale ja ci nie mam co wybaczać. Twoja wyprawa jest dowodem wielkiej odwagi i rezygnacji. Gdybyśmy mieli więcej takich zrezygnowanych na wszystko ludzi, ojczyznaby nigdy tak nizko nie

upadła. No! no! uspokój się i wróć do szeregów! Ale... ale... nie powiedziałeś mi, którędy wróciłeś?

— Za radą pana Zaleskiego, dotarłem z nimi do Mniszewa, tam się przeprawiłem przez Wisłę i na Łaskarzew jadąc, dopędziłem nasze wojsko.

— A w tamtych stronach nie słychać co o nieprzyjacielu?

— Nie, tylko Fersen, wracając z pod Warszawy, wszystko palił i rabował. Mniszów cały jest w ruinie.

— To wiem. Ciężką stratę poniosła księżna Wirtemberska, ale któż dziś w tej nieszczęśliwej Polsce strat nie ponosi? Jesteśmy jedną wielką ruiną, jednem wielkiem zgliszczem. Ale dość tego. Do widzenia, kapitanie Luke!

Kapitan wrócił do swoich grenadjerów silnie wzruszony i smutny, ale wielbiący w duszy dobroć Naczelnika, co jeszcze większą cześć w nim wzbudziło dla tego wodza w chłopskiej sukmanie. Maszerowano teraz ciągle głuchym borem, od którego szedł szum, pełen jakiegoś smętku, a kruki i wrony nieustannie unosiły się nad wojskiem, kracząc złowrogo, co wielu zabobonnie za zły znak uważało.

Około godziny 4-ej wydobyto się nakoniec z lasów i ujrzano przed sobą długą wieś Oronne, ciągnącą się po obu stronach drogi. Słońce miało się ku zachodowi i ukośnemi czerwonemi jak krew promieniami, oświecało tę wieś, w trzech czwartych spaloną i zupełnie opustoszałą. Psy tylko włóczyły się po zgliszczach i wyły przeraźliwie, a złowróżbne gromady kruków z krzykiem zrywały się z ziemi za zbliżeniem się wojska i siadały na rosochatych wierzbach i wyniosłych topolach, w żółte i purpurowe liście jesienne ubranych. Naczelnik rozkazał zatrzymać się całemu wojsku a wziąwszy kilku ułanów z pułku jenerała Kamińskiego, w towarzystwie adjutanta pana Niemcewicza, puścił się wyciągniętym kłusem drogą ku miasteczku

Maciejowice, zapewne dla rozpoznania obozu nieprzyjacielskiego. Jechano twardą, skalistą drogą, mając po swej prawej stronie zarośla, na końcu których wznosiło się niewielkie wzgórze, a na nim zamek panów Zamoyskich, właścicieli Maciejowic i folwarków okolicznych. Naczelnik zatrzymał się na tem wzgórzu, by się przypatrzeć widokowi, jaki przed jego oczami się rozciągał. Słońce już do połowy skryło się za horyzont i wielka jego rozpalona kula rzucała ukośne czerwone promienie na ogromne obozowisko nieprzyjacielskie, zalegające całą przestrzeń, jaką okiem objąć było można. Jakkolwiek odległość była dość znaczna i szczegółowo rozpatrzeć wszystkiego nie podobna było, jednakże widok ten miał w sobie coś imponującego i Naczelnik w niemem, posępnem milczeniu patrzał, a na jego ruchliwej, nerwowej twarzy, znać było pewne, przykre zdumienie. Widocznie przekonywał się teraz, że to, czemu dotąd uwierzyć nie chciał, było prawdą, że nieprzyjaciel w istocie był tak silny, jak mówiono. Purpurowe promienie słońca odbijały się o cały las bagnetów, o ścieśnione, czarne, długie kolumny piechoty, o błyszczące hełmy jazdy, o działa zaprzężone i gotowe lada chwila ryknąć potokiem ognia i ołowiu. Rżenie koni, głuchy gwar tylu tysięcy ludzi, dochodził aż tutaj.

Pan Niemcewicz patrząc na to wszystko rzekł:

— Widok ten zaiste, nabawia człowieka jakiejś okropności.

Naczelnik zrazu nic na to nie odpowiedział, a po chwili odezwał się na pół do siebie, na pół do swego towarzysza:

— Tak, silni są... ale trudno, już kość rzucona!

To uszykowanie się nieprzyjaciela na obszernej płaszczyźnie nadwiślańskiej, świadczyło, że już wiedział o zbliżaniu się małej armji polskiej. Oficerowie, widać było, jak pędem biegali, roznosili rozkazy, kolumny się łamały, zwi-

jały i znowu szykowały, a gromady kozactwa z pędem rozlatywały się na wszystkie strony.

— Jedźmy bliżej — rzekł Naczelnik — bo stąd niedobrze widać niektóre szczegóły.

I nie czekając na odpowiedź, spiął konia, zjechał cwałem z góry, przebiegł koło opustoszałego folwarku i znalazł się na drodze, wysadzonej staremi topolami, prowadzącej do Uchacza. Ujechawszy kilkadziesiąt kroków, zwrócił się do oficera komenderującego eskortą ułańską i rozkazywał:

— Ruszaj mi, panie oficerze, i niech tu zaraz przybiegnie regiment ułanów Kamińskiego i batalion regimentu Działyńskich.

Oficer kopnął się z kopyta, a Naczelnik dalej jechał lekkim truchtem, rozglądając się bacznie dokoła, głęboko zamyślony, zapewne układając plan przyszłego boju. Z obozu nieprzyjacielskiego głuchy gwar nieustannie dochodził, tętent koni, dudnienie dział i wozów, warczenie bębnów i sygnały, wygrywane na trąbkach. Zdala na końcu tej alei starych lip i topoli, świeciły niby dwa purpurowe ogniska, okna w jakimś domu, w których przeglądało się słońce zachodzące. Jechano wolno jakiś czas i Naczelnik co chwila się zatrzymywał i oglądał się, oczekując zapewne na pojawienie się ułanów, po których posłał oficera, i właśnie zaczął coś mówić do pana Niemcewicza, gdy nagle na drodze ukazali się kozacy, pędzący co koń wyskoczy, pochyleni na swych kulbakach, ze spisami, wymierzonemi do ataku, z piskiem i wyciem dzikiem, rozlegającem się donośnie wśród ciszy zapadającego wieczoru jesiennego.

— Kozacy! uciekajmy! — krzyknął pan Niemcewicz.

Ale Naczelnik nie myślał o tem wcale, tylko tonem spokojnym, przypatrując się jadącym kozakom, rzekł:

— Zaraz nadbiegną ułani.

A zwracając się do swej eskorty, złożonej z dziesięciu ludzi, zawołał:

— No, chłopcy pokażcie, co potrafią wasze lance!

Poskoczyli zuchy naprzód, zasłaniając swego wodza, a choć w ogromnej mniejszości, jednak zachowali postawę mężną i nie myśleli się cofać. Kozacy też swoim zwyczajem rozbiegli się dokoła, otoczyli tę garstkę, ale żaden zbliżyć się do ręcznej walki nie śmiał, tylko latali jak szaleni, wyjąc i piszcząc. Ten i ów z pomiędzy nich pochyliwszy się na koniu tak, że go widać nie było, puszczał się cwałem naprzód, jak się zdawało w zamiarze dotarcia do garstki polskiej, ale przybiegłszy na kilkanaście kroków, zawrócił nagle, by ten sam manewr znowu powtórzyć. Niektórzy zrywali z pleców janczarki i dawali ognia, ale strzał wymierzony w całym pędzie konia, nie mógł być ani pewny, ani celny. Z tem wszystkiem kule gwizdać zaczęły koło uszów polskich i położenie stawało się z każdą chwilą groźniejsze, gdyż kozaków coraz więcej przybywało, a w dali widać było w kolumnach nieprzyjacielskich jakiś ruch, bębny warczały, trąbki grały i niewątpliwie gotowano się tam dać pomoc kozakom. Ci obsaczyli dokoła gromadkę polską, strzały stawały się coraz gęstsze, a dzikie wycie i piski taką wrzawą napełniały okolicę, że konie polskie niezwyczajne tego, zaczęły się strachać i spinać.

— Naczelniku! — wołał pan Niemcewicz — cofnijmy się póki czas, bo nas zjedzą!

Ale Naczelnik ciągle stał spokojny na swym koniu i zdawał się z pewną przyjemnością przyglądać manewrom kozackim, od czasu do czasu wpatrując się w ruchy kolumn nieprzyjacielskich, które swemi czerwonemi promieniami oświeciło zachodzące słońce. Na jego wielkiej, krwawej półkuli rysował się wyraziście las bagnetów, hełmy, piki w żwawym ruchu, świadczącym, że tam gotowi są do

rozpoczęcia śmiertelnego boju. Na nalegania pana Niemcewicza Naczelnik odrzekł spokojnie:

— Tylko patrzeć jak nadbiegnie Kamiński i oswobodzi nas zupełnie.

— Ale Kamiński się opóźnia, a oni nas tymczasem zjedzą — wołał Niemcewicz.

— Nic nam nie zrobią. O! otóż i Kamiński!

W rzeczy samej lecieli już ułani polscy, a na ich czele na siwym koniu cwałował jenerał Kamiński z gołym pałaszem w garści i krzyczał:

— Naprzód wiara! nauczcie tych *moskiewskich* rabusiów moresu!

Za ułanami widać już było różowe rabaty, i żółte kołnierze Działyńczyków, jak krokiem gimnastycznym biegli, a w ich bagnetach i złocistych giwerach przeglądało się słońce zachodzące. W jednej chwili kozactwo na ten widok prysło i jak prędko się zjawiło, tak jeszcze prędzej zabrało się do odwrotu, nie przestając wyć i piszczeć oraz strzelać z po za siebie z janczarek. Kamiński z ułanami jak wicher przeleciał koło Naczelnika, potrząsając szablą krzyczał:

— Niech żyje Polska! wiwat Naczelnik!

A Naczelnik w milczeniu pokłonił im się i zawracając podjechał do biegnącego batalionu Działyńczyków i rozkazywał prowadzącemu ich oficerowi:

— Obywatelu kapitanie, masz mi zająć tę wieś, co ją widać.

I wskazał na Uchacze.

Obywatel kapitan przyłożył rękę do giweru i odrzekł:

— Dobrze, obywatelu Naczelniku!

I ruszył żwawo ze swoimi. Naczelnik tymczasem stępa puścił się ku Zamkowi i przyjechawszy na wzgórze, które już powoli zajmowały regimenty polskie, zatrzymał się, i począł patrzeć co się dzieje na drodze, na której przed

chwilą był opadnięty przez kozactwo. Pan Niemcewicz westchnął głośno, jakby mu ciężki kamień spadł z serca, i rzekł:

— A tośmy byli w opałach. Cudem, że tak rzekę, ocaleliśmy.

Naczelnik uśmiechnął się dobrotliwie i odparł:

— Cudu tu żadnego nie było...

I chciał coś jeszcze mówić, ale urwał cały zapatrzony w rozwijającą się coraz groźniej walkę na drodze do Uchacza. Tam ułani Kamińskiego zapędziwszy się za kozakami, nagle natknęli się na szeroko rozwiniętą linję huzarów nieprzyjacielskich pod wodzą jenerała Tołstoja. Jak fale dwóch wielkich wód, płynących ku sobie z przeciwnych stron, spotkają się i sycząc wściekle, pienią się, zmagają, biją i pianą pryskają, tak starły się z sobą szwadrony polskie z rosyjskiemi. Zakotłowało się tam jak w garnku z wrzącą wodą i przez chwilę nic nie było widać, tylko błyskające szable, migocące się chorągiewki biało-amarantowe i głuchą wrzawę walki, aż tu pod Zamek dobiegającą. Ale walka była nierówna. Ułanów było zaledwie parę szwadronów, jakieś dwieście do dwustu pięćdziesięciu koni, a obskoczył ich cały pułk huzarów i rój kozactwa, które wstrzymało się w ucieczce i zawróciło do walki. Wprawdzie, Naczelnik zobaczywszy to, nakazał natychmiast pułkownikowi Sobeckiemu, aby z resztą swego regimentu pośpieszył na pomoc swoim, ale już było zapóźno. Z zamętu boju z początku zaczęli się pojedyńczo wymykać jeźdźcy polscy, potem coraz więcej, aż nareszcie całą gromadą rzucili się do ucieczki, unosząc ze sobą swego jenerała, odcinając się jednak mężnie ścigającym ich huzarom i kozakom.

Kapitan, prowadzący do Uchacza dwa bataliony Działyńczyków, na ten widok zatrzymał się i widać było jak szybko i sprawnie sformował z nich dwa czworoboki, na-

jeżone bagnetami. Gdy ułani Kamińskiego pierzchli, przyjmowani przez biegnącego im na pomoc Sobeckiego, Działyńczycy opadnięci zostali przez huzarów i kozaków, uniesionych zapałem i niedawnym triumfem. Ale sforna ta kolumna, złożona ze starych żołnierzy, spokojnie wytrzymała atak, przyjęła go dobrze wymierzonym ogniem i bagnetem odparła napastników. Cofnęli się oni w nieładzie, ale odbiegłszy na taką odległość, że kule polskie ich już nie sięgały, zatrzymali się, sformowali na nowo szybko, i z głośnym okrzykiem: ura! ura! rzuciły się powtórnie na dwa bataliony polskie. Te dotrzymały placu, powitały atakujących rzęsistym ogniem, który pokrył pole trupami koni i jeźdźców i jeszcze raz odrzuciły huzarów.

Naczelnik patrzał na to wszystko i nic jego orlego wzroku nie uszło. Dojrzał on wysuwające się z Uchacza długie i czarne linje piechoty nieprzyjacielskiej i pędzące obok nich baterje artylerji konnej. Zwrócił się więc do adjutanta służbowego, Kuniewskiego i rozkazywał:

— Jedź mi waćpan i każ bataljonom Działyńskich cofać się natychmiast.

Kuniewski pognał i za chwilę widać było, jak Działyńczycy poczęli ustępować wolno i metodycznie, zatrzymując się gdy zanadto im dokuczali wieszający się koło nich kozacy i huzarzy, i odpierając ich zbyt śmiałe zapędy to ogniem to bagnetem. Skoczył też ze swoimi pułkownik Sobecki na pomoc i dzielnie poprowadzonym atakiem odparł do reszty huzarów, którzy wreszcie widząc, że Działyńczycy dochodzą do folwarku, leżącego koło Zamku i zwanego Podzamczem, dali pokój swym napaściom.

Po tej krótkiej, ale żwawej walce, pełnej wrzawy i huku, zaległa obszerne pola nadwiślańskie zupełna cisza. Słońce zaszło i mroczny półcień ogarnął sobą dwa obozy nieprzyjacielskie, gotujące się do jutrzejszej śmiertelnej walki. Nad Wisłą, nad bagniskami, otaczającemi pobojo-

wisko, rozpostarły się cienie i wielkie mgły białe, zakrywające sobą wojowników — obu stron. Wojsko polskie rozłożyło się na całej przestrzeni od Oronnego do Podzamcza, rozpaliło rzadkie i niewielkie ogniska i w sennej ciszy legło, czekając strasznego dnia jutrzejszego.

XVI

Zamek, do którego o zapadającym zmroku, po zaciętej utarczce między Uchaczem a Podzamczem, wszedł ze swym orszakiem Naczelnik, był to starożytny budynek murowany, o dwu piętrach, niegdyś wzniesiony przez Maciejowskich, a wtedy i po dziś dzień należący do rodziny Zamoyskich. Nie odznaczał się on niczem na zewnątrz, stał na wzgórzu łagodnie spływającem ku folwarkowi Podzamcza, do którego prowadziła droga lipami wysadzona. Z tyłu miał obszerny ogród, ciągnący się prawie pod samo Oronne, z prawego boku wzgórze stromo spadało do rzeczki Okrzejki.

W tej chwili gdy doń wchodził Naczelnik, znać tu było na każdym kroku ślady pobytu kozaków i ich gospodarowania. Cały dom był złupiony i spustoszony, sprzęty i kosztowne meble porąbane, bibljoteka porwana na strzępy, całe chmury pierzy i rozprutej pościeli unosiło się po komnatach. W wielkiej sali na pierwszem piętrze, do której Naczelnik udał się ze swym sztabem, na ścianach wisiały wizerunki przodków Zamoyskich i Maciejowskich, prymasów, wielkich kanclerzy, hetmanów i biskupów, i wszystkie te portrety miały oczy przeszyte dzidą kozacką, albo były pałaszami posiekane. Wszędzie ruina i zniszczenie. Wielkie zwierciadło w tej sali, było rozbite kulą z pistoletu i szczątki szkła walały się po podłodze. Przykry to był widok zmarnowanych bogactw i pracy ludzkiej, Bóg wie dlaczego i po co.

Naczelnik, zamyślony głęboko, milczący nie patrzał na to wszystko. Zewnątrz na dworze zerwał się wicher i wył ponuro między wielkiemi lipami dziedzińca, a przedostając się przez rozbite okna, szeleściał potarganem obiciem i szczątkami książek, obficie rozrzuconemi po podłodze, porywał je, podnosił i rzucał znowu, miotając przytem kilku łojowemi świeczkami, które osadzone w potłuczone szyjki butelek, migotliwem i niepewnem światłem oblewały ten obraz ruiny. Nieskończony smutek drżał w tej zniszczonej sali, w tych wielkich cieniach, włóczących się po jej kątach, w tych portretach minionej wielkości polskiej, patrzących ze ścian wykłutemi oczami na swych wnuków nieszczęśliwych. I jakgdyby ten smutek padł ciężką dłonią na całą tę garść wojowników polskich, mających jutro ostatnie całopalenie uczynić za ojczyznę miłą, nie słychać było wśród nich ani gwaru wesołego, ani wrzawy dużego zbiegowiska ludzkiego, ani ogni buchających radosnym, ciepłym płomieniem. Wszędzie leżała martwa cisza i ciemność, posępna jakaś zaduma i milczenie.

Ale kiedy tu, w obozie polskim zdawał się z ludzi i rzeczy bić smutek i jakieś przygnębienie, z szeroko rozłożonych na nizinie nadwiślańskiej stanowisk nieprzyjacielskich, widać było z okien zamku, gorejące wielkie ognie, ciemną czerwienią odbijające się na chmurnem niebie, szedł, przynoszony aż tutaj, gwar głuchy i mętny ludzi i zwierząt. Wrony, spłoszone z nocnych legowisk, z krzykiem przenikliwym zrywały się z głośnym łopotem swych skrzydeł i krążąc jakiś czas, kracząc złowrogo, zapadały znów na jaką topolę lub wierzbę.

Naczelnik wezwał do siebie jenerała Sierakowskiego i kazał mu sypać szańce, których miejsce oznaczał na mapie i rysował ich profil. Polecał przytem, aby jazda koni nie rozkulbaczała, by czaty podwojono i rozstawiono je gęsto. Wysłuchał jego Sierakowski i w końcu rzekł:

— Obywatelu Naczelniku, żołnierz jest zdrożony i głodny i nakarmić go niema czem.

— Wszak jest chleb, wódka i słonina?

— Jest, ale byłoby lepiej gdyby mógł dostać ciepłą strawę.

— Zapewne, lecz ogni nie można palić. Trudno, musimy tę noc przebiedować. Niech się nie rozchodzą nigdzie, niech broni z rąk nie puszczają.

Jenerał Sierakowski skłonił się i wyszedł, a Naczelnik, widząc dokoła siebie posępne i mroczne twarze, zapewne w zamiarze rozweselenia swego otoczenia, począł wołać by wieczerzę dawano.

Wieczerza ta Najwyższego Naczelnika, prawie dyktatora Polski, składała się z niewielkiej, twardej jak kamień szynki, chleba czarnego i wódki. Zasiedli do niej obecni i trochę twarze się rozjaśniły, a gdy pan Niemcewicz wyszedłszy na chwilę przyniósł, Bóg wie skąd, dobytą butelkę omszałą wina, wesołość zapanowała zupełna. Trącano się potłuczonemi kieliszkami i pito za jutrzejsze zwycięstwo.

— Obejrzałem ja pozycję naszą — mówił adjutant Fiszer — i uważam ją za bardzo mocną. Stoimy na wzgórzu, na ziemi suchej, kiedy nieprzyjaciel obozuje w bagnach i błotach, w których działa i konie grzęzną. Sądzę, że atak na nas wprost jest niemożliwy.

— Bóg by to dał — odrzekł jenerał Kamiński, który od czasu ujrzenia kruków po lewej ręce w Korytnicy, żywił jak najsmutniejsze przeczucia.

Usposobienie jego zgnębione oddziałało na wszystkich, zwłaszcza w tem otoczeniu ponurem, przy nędznym blasku paru świeczek, wyciu wichury na dworze i szelestu rozmaitych szczątków, pędzonych przez wiatr po tej wielkiej i pustej sali. Robiło to takie przykre wrażenie na wielu, że się co chwila oglądali, a w ruchliwych cieniach tłuką-

cych się po ścianach od czasu do czasu ukazywała się jakaś groźna twarz z portretu z czarnemi dziurami zamiast oczów i zdawała się smutne nieść wróżby tym wnukom swoim.

Pan Niemcewicz spostrzegł ten ponowny niepokój i upadek ducha w obecnych i chcąc ich rozweselić, podniósł jakąś starą księgę, na pół rozerwaną, walającą się po podłodze i począł z niej czytać głośno różne ustępy. Był to zbiór dawnych gazet, a ich język archaiczny, styl napuszony i bombastyczny, przy odpowiednem czytaniu Niemcewicza rozweselił obecnych. Poczęto się śmiać i żartować z dawnego pismaka, który opowiadał o czarownicach, o zaślubinach jaśnie wielmożnych, o narodzinach ich i chrzcinach, a wszystko stylem pełnym przesady, uniżoności i pochlebstw, przepełnionych zwrotami łacińskiemi i szumno-brzmiącemi słowami. Ale nie na każdego jednakowo oddziaływało to czytanie. Niektórzy znużeni drzemali, a nawet zasypiali mocno, do czego przyczyniał się jednostajny szum wichru i cisza, jaka zaległa dalekie obozowiska rosyjskie. Gasły tam ognie i widocznie układano się do snu, by nabrać sił do jutrzejszej walki śmiertelnej. Od czasu do czasu wiatr tylko przynosił przeciągłe okrzyki straży rosyjskich i polskich. Zresztą senna cisza, zwiastunka bliskiej i strasznej burzy.

Naczelnik, widząc usypiających swoich sztabowców, skinął na pana Niemcewicza, ażeby zaprzestał czytania, mówiąc:

— Czas spocząć. Nikogo z waćpanów nie zatrzymuję, bo trzeba się wywczasować choć trochę, ile że przypuszczam, iż nieprzyjaciel równo ze świtem nas zaatakuje. Dobranoc więc waćpanom. Adjutanta Juljana proszę za mną.

Poszedł pan Niemcewicz z Naczelnikiem do sąsiedniej izby, gdzie już przygotowano dla wodza jakąś sofkę, cu-

dem ocalałą i poduszkę skórzaną. Na środku stał stolik i przybory do pisania. Gdy zamknięto drzwi, Naczelnik rzekł:

— Siadaj no Julek i pisz ordynans do Ponińskiego.

— Dobrze, tylko widzi mi się, że ordynans ten Poniński nie prędko otrzyma.

— A to dla czego?

— Wszak już jest koło godziny ósmej, a o ile wiem, Poniński stoi o trzy do czterech mil stąd oddalony. Zresztą czy przypuszczasz Naczelniku, że Fersen nas istotnie jutro świtaniem zaatakuje?

— Czy jutro świtaniem to zrobi, nie wiem. Przypuszczam, że nie, i dlatego rozkaz do Ponińskiego dojdzie na czas. Siadaj i pisz.

Niemcewicz usiadł i pisał pod dyktandem Naczelnika, żeby Poniński jutro wcześnie wyruszył ze swego stanowiska i maszerował do wsi Życzyna nad Wisłą. Rozkaz ten Naczelnik podpisał i kazał go Niemcewiczowi natychmiast wysłać przez umyślnego gońca.

— A teraz prześpię się trochę — kończył Naczelnik i zaraz położył się na swej twardej sofce, nie rozbierając się wcale.

Niemcewicz owinąwszy się w swój płaszcz z pelerynkami, wyszedł na dwór, ażeby owego gońca wysłać. Noc była tak ciemna, pochmurna i wietrzna. Ani jednej gwiazdy na niebie nie było widać, a wicher północno-wschodni nie przestawał wyć między ogromnemi lipami, otaczającemi dziedziniec zamkowy. W obozie nieprzyjacielskim tu i ówdzie migotały blade, mętne światła, przesłonięte mgłą wilgotną, która na tej bagnistej płaszczyźnie unosiła się całemi chmurami. Na stanowiskach polskich także było ciemno i cicho. Gdzie niegdzie tylko błysnęła latarka oficera dyżurnego lub podoficera, dążącego do zmiany czaty. W obszernym parku leżącym z tyłu zamku, pełnym szumu

i jęku wiatru i szelestu liści, spadających nieustannie, przez który szedł pan Niemcewicz, chcąc się dostać do jazdy województwa Brzesko-litewskiego, z pomiędzy której chciał wybrać gońca do jenerała Ponińskiego, spał na trawnikach i klombach regiment grenadjerów krakowskich, mając kosy o drzewo poopierane. Gdzie niegdzie tylko zasłonięte krzakami błyszczały małe, nikłe światełka, przesunął się jakiś cień, słychać było stłumiony szept głosów. Wszystko to robiło dziwnie smutne wrażenie.

Pan Niemcewicz odszukał sobie znajomego młodego szlachcica Czarnowskiego, nazwiskiem, oddał mu ordynans Naczelnika, mówiąc:

— Siadaj waść na konia i leć do jenerała Ponińskiego, który stoi pod Baranowem nad Wieprzem, i rozkaz ten oddaj mu do rąk własnych. Wiesz gdzie Baranów?

— Wiem, byliśmy tam z jenerałem Kopciem.

— Więc nie trać czasu i nie żałuj konia, bo rzecz jest ważna i pilna.

Czarnowski, chłopak młody, podrapał się po bujnej czuprynie, bo nie bardzo mu się chciało opuszczać obozu i spoczynku nocnego, ale rozkaz był, trzeba jechać. Pan Niemcewicz czekał, aż siadł na konia i ruszył kłusem, wtedy dopiero wracać zaczął wolno przez park i w zamku ułożył się spać na podłodze, w tej samej komnacie, w której Naczelnik używał chwilowego wczasu.

Ów słaby mglisty ogień, który pan Niemcewicz widział za krzakami w parku, pochodził od dużej stajennej latarni, którą gdzieś odszukali kosynierzy i zapaliwszy w niej świeczkę łojową, tak zwaną smarkatkę, oddali sierżantowi Kawce. Przy jej blasku, osłonięci od wiatru, leżeli na wiązce na pół zgniłej i zdeptanej słomy, sam Kawka z podoficerami Rędziną i Kłonicą, raczyli się gorzałką, której całą butlę, niewiadomo skąd wydobytą,

mieli przed sobą, zagryzając czarnym chlebem z solą i rozmawiając o jutrzejszej batalji.

— Słuchajno, Kłonica, — mówił Kawka — ty przecie tutejszy, musisz pewnie znać jak to tu jest. Gadają ludzie, co tu są okolusieńko wielkie błota i że nijak do nas nie dojdzie nieprzyjaciel. Prawda to?

— Prawda, co niema być prawda — odrzekł Kłonica, mając całe usta zapchane razowcem, obficie solą posypanym.

— Ale jakże to jest, gadajno.

— Jużcić bywał ja tu nie raz i nie dziesięć razy. I furmanił ja w Maciejowicach, i z rusznicząką też zachodziłem, bo tu na ten przykład są wielgie lasy i zwierzyny straśna moc, i dziki, jelenie, i sarny. A choć ta ze dworu był surowy nakaz, coby w ich lasach nie polować, ale upilnuje to? Raz tom ubił maciorę z pięciu warchlakami i żydy w Żelechowie zakupili ją odemnie i do Warsiawy powieźli. A co tu ryb! Ja i na ryby chodziłem z podrywką. Wszyćko to żydy brały i hen do Warsiawy wieźli.

— Ale gadajno jak to tu jest?

— Niby cóż?

— O tych bagnach. Mogą to óni dojść do naszego obozu?

— Nie mogliby to? przecie, że mogą. Bagna są, prawda, ale zawdy są drogi suche i przez nie przejechać można.

— Z harmatami?

— A choćby i z harmatami.

— To po cóż ludzie gadają, że tu nie przejdzie?

— Wiem ja to, po co tak gadają?

— Ot głupi chłop — zawołał z niechęcią Kawka — jego się pytają co jest i jak jest, a on peda, co nic nie wie. Byłeś tu, furmaniłeś, kradłeś zwierzynę i nic nie wiesz. Ty masz kapustę na karku a nie głowę. Za co ciebie zro-

bili podoficjerem, to ja nijak tego zrozumieć nie potrafię.

— Czekajcie no sierżancie — odezwał się na to milczący dotąd Rędzina — nie gniewajcie się, Kłonica nie taki głupi jak się wydaje. Zrobili go podoficjerem, bo jest straśnie bitki chciwy i dobrze machał kosą w karczmie, kiej go opadli kieby osy kozunie. Wczoraj też kiejśwa chodzili do pana Zaleskiego do Uchacza, też nie stchórzył ani na krzynę, chocia to nie była rzecz przezpieczna, bośwa wleźli w sam ich środek, kieby w paszczękę wilka. Jużcić bagna tu są, to wiadomo, ale tu przecie ludzie mieszkają i hrabski to majątek, więc i drogi muszą być, po których jeżdżą i w bagnach się nie topią. Temi drogami zawdy nieprzyjaciel może dojść do nas. A od Uchacza to przecie bagien aż tu, do Zamku, nie ma. Nie widzieliśta jak nasze ułany i ich huzary śmigały bez pola? Grunt tu twardy i tędy nie tylko ludzie, ale i konie i harmaty przejadą. Naczelnik to wie dobrze i dlatego nakazał coby była wielga baczność i czaty rozstawili naokolusieńko, że i mysz się nie przemknie. Nocka ci taka ciemna, że choć w pysk bij. A co ta ludzie gadają, że bez te bagna nie przeńdzie, to głupstwo i temu wierzyć nie należy. Ale Naczelnik przecie nakazał sypać wały, żeby ónym zabronić przejścia bez one bagna. Jak ustawią na tych wałach harmaty, to co ci się jeno na drogach bez błota ukaże, zara ubiją...

— Wały, wały! — odrzekł Kawka — albo to je sypią?

— Gadali co sypią.

— Usypali ci ta trochę a potem zaniechali!

— Naprawdę?

— A naprawdę. Samem widzioł. Któż będzie sypał? Ludzie ci zdrożeni wszyćcy, że niech Bóg broni. Na to potrza czasu, a jest tu czas? i krzepy potrza, a ma ją to kto? kiej kużdy głodny i jeno pasa przyciąga, bo mu w żywocie bez głód kruczy. Naczelnik to widzioł, a że jest pan

miłosierny, ulitował się nad mizerakami i przykazał coby zaniechali. Nijakich wałów nie będzie.

— To źle, bo choć chłop jest głodny, ale zawdy wytrzymały i wały mogli usypać.

— A na co?

— Na to, że byłaby im trudność drapać się na wały.

— Nijakich wałów nie było pod Racławicami i nie daliśwa się, jeszcześwa dwanaście harmat wzięli. Tak samo będzie i teraz. I ja zapowiadam, żebyśta wiedzieli, że kto jeno stchórzy, temu ja zara łeb kosą utnę i do Naczelnika zaniosę. Żebyśta wiedzieli! Kiejśwa ju poszli na żołnierzy, to potrza mężnie za ojczyznę stawać. No! niech ręka Boska broni tego, kto stchórzy i nie póndzie, choćby na harmaty. Nijakich wałów nie potrza, kiej się ma kosę w garści.

— Jużcić prawda wasza sierżancie, że nijakich wałów nie potrza, i Naczelnik to wie lepiej od nas, bo pan jest mądry i wszelakie śtuki wojenne zna. Nauczny ón jest tego i kiej wałów zaniechali, to widać, że tak musi należy. Ale my tu gadamy, a nocka płynie i przed jutrzejszą batalją wartałoby krzynę się przespać.

Rada była dobra i Walek Kłonica dawno już przyszedł do takiego samego przekonania, bo kiedy Rędzina i Kawka gadali, on obaczywszy, że w butli już niema gorzałki, a na trawie ani chleba, ani soli, położył się na ziemi i spał jak zabity i tak chrapał jakby chciał odstraszyć tem nieprzyjaciela. Za jego przykładem zrobili to samo Wojtek Rędzina i sierżant Kawka i już za krzakami w hrabskim parku, nie było słychać żadnej rozmowy, tylko głośne sapanie i świszczenie. Świeczka w latarni tliła się, tliła, aż wypaliwszy się do cna, z głośnem skwierczeniem zgasła i ciemności zalegly dokoła.

Tymczasem w zamku wszystko także spało. Cały sztab, jenerałowie, pomieścili się jak mogli, na stołkach, stołach, garściach słomy, gdzieś wypadkiem znalezionej. Czuwał

tylko adjutant Fiszer, przygotowujący rozkazy na jutro i adjutant służbowy Kuniewski, siedzący w tym samym pokoju gdzie Fiszer, i drzemiący na jakiejś połamanej ławie. Po opustoszałych salach i pokojach tej pańskiej przed chwilą siedziby, przedostawał się przez wybite szyby w oknach wiatr i wył i jęczał przeraźliwie, nadając tej nocy, poprzedzającej jutrzejszy bój śmiertelny, cechę ponurą i smutną. Posępna cisza pozatem leżała dokoła, tylko kiedy niekiedy zabrzęczała broń straży i przeciągłe okrzyki wysuniętych przed obóz czat.

Dobrze już po północy, między pierwszą a drugą godziną, Naczelnik obudził się i z nerwowym niepokojem zerwał się ze swej twardej i połamanej sofki i spojrzał dokoła. W kącie komnaty spał mocnym snem na garści słomy, otulony w swój płaszcz z pelerynkami pan Niemcewicz, a jego oddech równy i głęboki słychać było wyraźnie. Świeczki w szyjkach od butelek dogorywały już i w izbie tej zamkniętej czuć było woń roztopionego łoju. Przez chwilę Naczelnik patrzał na Niemcewicza i zdawał się pilnie słuchać jego oddechu i odgłosów dochodzących z zewnątrz, a głównie ponurego wycia wichru, który właśnie zerwał teraz jakąś okiennicę i chwiał nią z nieznośnem skrzypieniem i piskiem. Naczelnik powstał, przetarł oczy i począł tam i napowrót przechadzać się z niepokojem po komnacie, głęboko zamyślony. Po jego nerwowej twarzy ślizgały się dogasające blaski świeczek, oświecając ją raz wyraźnie, to znów pogrążając się w cieniu. Chodził, chodził, wreszcie zbliżył się do śpiącego Niemcewicza i począł go budzić.

— Wstawaj panie Juljanie! — wołał.

Pan Juljan zerwał się, patrzał zdziwionemi, trochę przestraszonemi oczami na stojącego nad nim wodza i pytał na pół nieprzytomny:

— Co to? co to się stało?

— Wstawaj, trzeba ordynans posłać do Ponińskiego.

— A przecież już posłałem.

— Poślesz drugi. Wstawaj, czas nagli.

Pan Niemcewicz zerwał się, ziewając głośno i przeciągając się leniwie, i mówił:

— Widzi mi się, że się to na nic nie zda. Jeżeli jenerał chcesz, by Poniński wziął udział w jutrzejszej bitwie, to on nie zdąży, chybaby skrzydła miał.

— Zdąży, trzy mile, to przecież niedaleko. Siadaj i pisz.

Nic już nie rzekł Niemcewicz i siadł przy stole, przy skwierczących niegodziwie świeczkach i począł pisać pod dyktandem Naczelnika.

— Napisz datę, dziesiątego Oktobra o godzinie 1-ej i pół po północy.

— O! to jeszcze tak wcześnie? — spytał Niemcewicz.

— Tak. Napisałeś?

— Napisałem.

Więc Naczelnik dyktował dalej, aby Poniński po otrzymaniu tego rozkazu ruszył natychmiast do Tyrzyna i zalecał mu „największą pilność w marszu". Gdy Niemcewicz skończył Naczelnik podpisał i rzekł:

— Wyślij zaraz ten ordynans, a dobierz dobrego gońca.

Niemcewicz otulił się w swój płaszcz z pelerynkami, nacisnął czapkę na głowę i ruszył do swych kompatrjotów do regimentu kawalerji narodowej Brzesko-litewskiego województwa. W parku, przez który przechodził, ciemno było takie, że choć oko wykol i wichrzysko wyło, porywając na ścieżkach zeschłe liście jesienne i z głuchym szelestem pędząc je, podnosząc w górę, by w wirowatym tańcu rzucić je znowu na ziemię. Nigdzie żadnego światła nie było widać, tylko gdzieś na końcu parku, wśród mgły nocnej czerwienił się mały płomyczek, chwie-

jąc się na wszystkie strony. Ta senna, martwa cisza przed jutrzejszą burzą dziwnie przygnębiająco oddziaływała na wrażliwą, poetycką duszę Niemcewicza. Szedł wzdychając ciężko, pełen najgorszych przeczuć.

Upłynęła blisko godzina, nim pan Niemcewicz, który zresztą nie wierzył temu, by Poniński zdołał na czas przymaszerować na pole bitwy, odszukał komendanta regimentu, nim się go dobudzono, nim znaleziono takiego jeźdźca, który by znał te strony, nim ten się nakoniec wybrał i wyruszył.

— Naczelnik rozkazał, — mówił do komendanta Niemcewicz — więc wypełnić to trzeba, ale widzi mi się, że z tej mąki placka nie będzie. Bo zważ jeno waćpan, trzy mile ma przebieżeć goniec nocą, po drogach najgorszych i nie bardzo je znając. Choćby leciał jak najszybciej, to nie będzie w Baranowie jak o szóstej lub siódmej rano. Pomyśl dalej, że nim Poniński się zbierze, upłynie godzina i nie wyruszy wcześniej jak o ósmej. Mając przed sobą trzy opętane mile, czyż będzie w możności stanąć na placu boju wcześniej jak o dwunastej lub pierwszej?

— Hm, jużcić masz waćpan panie adjutancie rację.

— A ręczę za to, że Fersen nie będzie czekał, tylko równo ze dniem nas zaatakuje. Wprawdzie połamie on sobie zęby nim nam co zrobi, ale zawsze... Pozycja jest mocna i jeno od czoła można na nas uderzyć, brać byka za rogi.

— No... więc wytrzymamy, a tymczasem Poniński choćby lazł jak żółw zawsze nadejdzie i weźmie Fersena z boku w dobre opały. Gdzie to kazał Naczelnik mu stanąć?

— W Tyrzynie.

— Wiem gdzie to jest. Nad samą Wisłą. Tam Ponin-

ski zajmie tył Fersenowi a wtedy sprawimy mu dobre cięgi.

— Jestem tego pewny, ale zawsze by było lepiej, żeby Poniński jeszcze wczoraj z Korytnicy taki ordynans dostał. No! dowidzenia z waćpanem. Szkaradna noc, wichrzysko wyje jak stado potępieńców. Musiał się kto powiesić — zaśmiał się Niemcewicz.

— Albo może kogo powieszono! — dodał komendant — bo o to teraz nietrudno, a słyszałem, że Naczelnik wyjeżdżając z Warszawy lękał się, by się tam znowu nie zaczęło wieszanie.

— Ej nie — zostawił dostateczną ilość wojska i pan Zajączek tam jest. No, do widzenia!

Ruszył zpowrotem przez park ciemny i pełen głosów wyjącego wichru i szelestu liści. Z boku, wśród gęstwiny błyszczało jeszcze ciągle owe światełko chwiejące się, jakie zauważył idąc do regimentu jazdy Brzesko-litewskiej. Zaciekawiony coby to takiego było, skierował się w tamtą stronę i oto co ujrzał. Na jakimś pniaku, czy kamieniu, siedział kapelan grenadjerów krakowskich, ojciec Ansgary, z kapturem na głowę naciśniętym, z białą pasyjką w ręku, a przy nim klęczał na ziemi ogromny kosynier i spowiadał się. Latarka ze świeczką stała obok i swem migotliwem światłem oblewała i postać zakonnika i pokutę czyniącego, kajającego się ze swych grzechów grenadjera. Klęczał on pochylony prawie do ziemi, i bił się pięścią w piersi, aż się rozlegało i szeptał:

— Boże bądź miłościw mnie grzesznemu, Boże bądź miłościw mnie grzesznemu!

A ojciec Ansgary żegnał go pasyjką i absolucję mu dawał po łacinie, a wiatr świszczał po dawnemu i niebo czarne, bezgwiezdne patrzało na tego grzesznika w przeddzień może jego śmierci za ojczyznę.

XVII.

Szary, mętny, pełen nieokreślonego smutku świt przedostawał się przez okna i tłumił żółte światło paru świeczek na stole, przy którym siedział Naczelnik, z adjutantami Fiszerem i Niemcewiczem i podpisywał ostatnie rozkazy. Uskuteczniwszy to powstał i rzekł:

— A więc tak: prawem skrzydłem ma dowodzić jenerał Kamiński, środkiem Sierakowski, lewem Kniaziewicz. Wyślij waćpan mości Fiszerze, natychmiast to rozporządzenie. Przypuszczam, że Fersen nie zaraz nas zaatakuje, wszelako należy być w gotowości. Żeby tylko Poniński zdążył na czas, to obawiać się nie mamy czego. Cokolwiek bądź, należy nam tu stać, choćbyśmy wszyscy poledz mieli i zagrodzić drogę Fersenowi. Od tego zależy los Polski.

Rzekłszy to, podszedł do okna i patrzał w milczeniu na mgły białe, kłębiące się po nadwiślańskiej nizinie i zakrywające dalszy widok, i szepnął na pół do siebie, na pół do obecnych:

— Jaki smutny poranek!

W istocie niewypowiedziana melancholja drżała w tym świecie szarym, wolno się rozjaśniającym. Promienie wschodzącego gdzieś poza drzewami parku słońca, z trudnością przebijały się przez mgłę, leniwie się rozwłóczącą dokoła. Wiatr ustał i wielka cisza leżała w naturze, tylko liście z drzew z szelestem spadały. Gromady wron i kawek zrywały się ze swych nocnych legowisk i gdzieś w gó-

rze, bo z powodu mgły trudno je było dojrzeć, złowróżbnem krakaniem mąciły tę ciszę.

W izbie panowało milczenie. Adjutant Fiszer wyszedł, by rozesłać rozkazy, Naczelnik patrzył przez okno, głęboko zamyślony, a Niemcewicz drzemał na krześle, niewyspany, z rozburzonym włosem, ziewający. Z zewnątrz dochodził gwar budzącego się obozu, szykujących się szeregów, i po parku zwijali się kosynierzy krakowscy, formując się na głównej jego alei i brzęcząc kosami. A gdy się już uformowali w długi szereg, zjawił się przed nimi, jakby z ziemi wyrósł ojciec Ansgary, w kapturze na głowę nadzianym, z pod którego jeno siwa, rozwiana broda wyglądała w habicie podkasanym, tak że widać było jego bose nogi w drewnianych trepkach, i podniósłszy do góry swą białą pasyjkę, począł nią znak krzyża robić nad kosynierami. Ci zdjęli magierki ze swych, po większej części płowym włosem okrytych głów i żegnali się nabożnie, aż kosy jeno brzęczały, jak pszczoły gdy się roić poczną, a kruki i wrony krakały gdzieś pod mglistem niebem. Potem Ojciec Ansgary padł na kolana i podnosząc ręce do góry, zaczął drżącym od starości głosem śpiewać:

„Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami“.

Cała kosynierka tak jak stała runęła z głośnym chrzęstem na kolana, kosy pokładły się jak snopy zboża na ziemię, i zagrzmiał chór tak potężny, że zapewne dobiegł on do obozowisk rosyjskich, chór żałośliwy, przypominający swą lękliwą, modlitewną nutą, skazańców na śmierć idących, gladjatorów konających na arenie rzymskiej. Było coś dziwnie rzewliwego w tej pieśni o świcie dnia jesiennego na sennych bagniskach nadwiślańskich.

Naczelnik stał w oknie i patrzył na to wszystko i coraz smutniej mu się na duszy robiło, nawet drzemiący pan Niemcewicz się podniósł i słuchał tej pieśni polskiej. bła-

gającej Boga o zmiłowanie. Jeszcze się ona nie skończyła i Naczelnik nie odszedł od okna, gdy wpadł do komnaty adjutant służbowy Kuniewski i, stając we drzwiach, głosem donośnym zaraportował:

— Obywatelu Naczelniku, nieprzyjaciel w szyku wojennym postępuje naprzód.

— Już! — szepnął Kościuszko i odszedł od okna i spytał Kuniewskiego.

— Skąd nieprzyjaciel idzie?

— Od wsi Komory ku Oronnemu.

— To jest ku naszemu lewemu flankowi?

— Tak jest obywatelu Naczelniku.

Nic już nie rzekł. Włożył na głowę białą swą magierkę ze zwiędłą gałązką jedliny i pośpiesznie wyszedł wołając za sobą pana Niemcewicza. Znalazłszy się na dziedzińcu krzyknął, by podawano konia, a gdy siadł na niego, cwałem ruszył ku lewemu skrzydłu, gdzie stał regiment Czapskiego, „Czapnikami“ przez kosynierów zwany, strzelcy Działyńskiego i Dembowskiego, oraz brygada jenerała Kopcia. Słońce wychyliło się już do połowy i mgłę rozpędzać zaczęło, tak, że przy jego blasku można było dostrzedz wysuwające się powoli i ciężko, z lasu ciemne masy piechoty nieprzyjacielskiej. Zaraz przed lasem, w bok nieco od drogi wznosiły się piaszczyste wzgórza, na które wyjechało kilkanaście dużego kalibru armat. Widać je było doskonale i w złocistym ich śpiżu przeglądało się poranne słońce, zapalało ogniste, migotliwe blaski, a obok nich i za nimi szykowała się piechota, najeżona bagnetami i jazda w błyszczących hełmach, przed którą cwałowali oficerowie, bębny warczały i trąbki nieustannie grały. Jednocześnie wysypał się cały rój kozactwa, rozbiegli się po polu i zajeżdżali z boku aż pod samo Oronne, okrążając lewe skrzydło polskie. W tejże chwili z ponad armat prysnął biały dym, rozległ się huk i wielkie

kule ze świstem przeleciały ponad głowami nieruchomie stojących pułków polskich, i zaryły się gdzieś za nimi w piasku i wodach Okrzejki.

Naczelnik, który zatrzymał się ujrzawszy wysuwające się z lasu szeregi nieprzyjaciela, wziął lunetę z ręki Kuniewskiego i patrzył, patrzył długo, a potem rzekł:

— To Denisow.

I w tejże chwili zauważywszy, że kozacy dopadają do wsi Oronne, skinął na Kuniewskiego i rzekł:

— Jedź, powiedz brygadjerowi Kopciowi, żeby wieś tę zapalił, i miał oko na nią, by go nieprzyjaciel od lewego nie oskrzydlił.

Gdy Kuniewski pocwałował z tym rozkazem, Naczelnik wolno pojechał za nim, wzdłuż szeregów lewego flanku, witany przez żołnierzy radosnemi okrzykami, zachęcając ich do męstwa i wytrwania. Zaraz też ze wsi buchnęły kłęby czarnego dymu i rozległ się płacz i jęk wieśniaków, wypędzających bydło, unoszących swą chudobę, żony i dzieci, i biegnących z krzykiem do pobliskiego lasu. A nieprzyjaciel tymczasem ryczał ze swych armat, zasypując gradem pocisków szeregi, gdyż armaty polskie odpowiadać jeszcze nie mogły, bo były mniejszego kalibru, stąd nie tak donośne. Już było wielu rannych i zabitych i ich jęki i krzyki budziły w sercach żal i smutek. Nadbiegli też adjutanci i donieśli Naczelnikowi, że nieprzyjaciel atakuje także środek i prawe skrzydło.

Słońce wśród tego wzeszło zupełnie, rozpędziło mgłę i oblało jasnym blaskiem to straszne, krwawe widowisko. Gdy Naczelnik znalazł się przed Zamkiem, już nieprzyjaciel tak się zbliżył, i że i polska działobitnia grać poczęła, a tak skutecznie, że każdy wymiot kartaczowy wyrywał krwawe szczerby w szeregach nieprzyjacielskich. Mimo to z dziwną pogardą śmierci parły one naprzód. Sam Naczelnik zeszedł z konia i kierował armatami. Za nim

w zwartych szeregach stali muszkieterowie pułku Działyńskich i grenadjerzy krakowscy z kosami do góry wzniesionemi. Po kosach tych brzęczały kule, ryły się w ścianach Zamku, tłukły szyby, łamały gałęzie, strącały liście, zasypując nimi wodza i jego otoczenie. Nagle granat padł między Naczelnika i jego adjutantów Fiszera i Niemcewicza, zarył się w piasku, wyrzucił go w górę niby fontannę i pękłszy ze straszliwym łoskotem, zabił kanoniera, a wodza zasypał wszelkiemi szczątkami.

Nie przerażało to jednak nikogo. Kapitan Brzeziński, dowodzący w tem miejscu działobitnią polską, choć mu wszystkie konie padły i połowa kanonierów leżała zabita lub poraniona, nie myślał ustępować. Siedząc na wielkiej kasztanowatej kobyle, rozogniony cały, zbryzgany krwią, kazał po dwie puszki kartaczy wkładać w lufy działowe i głosem ochrypłym komenderował: cel! pal! Grzmiały też polskie armatki nieustannie, miażdżąc szeregi wraże na krwawe błoto, wstrzymując je chwilami od dalszego posuwania się naprzód. Dym ogarnął całe pobojowisko, a słońce za tą zasłoną, wyglądało jak miedziana, ciemnokrwawa kula. Pociski sypały się jak grad, roznosząc wszędzie śmierć i zniszczenie.

Gdy nakoniec nieprzyjaciel zbliżył się na strzał karabinowy, Działyńczycy rozpoczęli także ogień. Wtedy z obu stron istna ulewa kul leciała, a gdy spojrzeć było na owijającą się dymem dolinę nadwiślańską, wszędzie czerniały nowe kolumny nieprzyjaciela, zewsząd wysuwały się nowe jego szeregi. To odbierało odwagę wielu. Nawet sierżant Kawka zwątpił o możności zwycięstwa.

— Cóż — mówił — choćbyśwa poszli tak jak pod Racławicami z kosami naprzód, damy to im radę? W Racławicach było nas samych chłopów krakowskich dwa tysiące, a tu nas niema i sześciuset, a ich jest okrutna chmara. Gdzie jeno spojrzyć, wszędzie są. A harmat ile!...

Chryste Panie jeszczem też nigdy nie słyszał takiego huku. Święta Maryo Częstochowska miej nas w swej opiece!

Ale Kościuszko, ten wódz w chłopskiej sukmance i magierce, nie tracił ani odwagi, ani nadziei. Ze zwiędłą, na pół przestrzeloną przez kulę gałązką jedliny, wszędzie był obecny, wszędzie zachęcał z twarzą spokojną, jakby natchnioną w tej ostatniej chwili konania dawnej republiki szlacheckiej. W oczach miał jakby błysk nadziei, jakby rozświecenie przyszłości, jakby widział to tajne brzemię lat, które wyda kiedyś płód nowej kmiecej Polski a tak potężnej i silnej, że nie zachwieją nią już żadne huragany i żadne burze. Więc z tem natchnionem i pełnem nieziemskiego spokoju obliczem, które zdawało się mówić, padniemy teraz na tych Termopilach polskich, ale z kości naszych narodzi się nowa Polska wolna, niepodległa, biegał on przed szeregami, wszędzie zachęcał do wytrwałości, dodawał odwagi i wołał:

— Jeno patrzeć jak Poniński nadejdzie.

Kiedy na lewem skrzydle ogromna przemoc opadła garść polską, tak że strzelcy Florjana Dembowskiego chwiać się i ustępować zaczęli, to wódz przybiegł i pchnął dwa zbiorowe bataljony Szyszkowskiego, by bagnetem odparły nieprzyjaciela, wołając:

— Naprzód chłopcy, lada chwila Poniński nadejdzie, a wtedy zwycięstwo przy nas!

Ale Poniński nie nadchodził i nadejść wcale nie miał, a wojownicy polscy choć mężnie walczyli i nie ustępowali, widzieli jednak niepodobieństwo zwycięstwa. Już nieprzyjaciel zajął folwark Podzamcze i widać było przez rozdzierającą się zasłonę dymów jak bataljony grenadjerów i muszkieterów rosyjskich, w ogromnych giwerach na głowach, złożywszy z siebie tornistry i płaszcze, ruszyły z pochylonym bagnetem naprzód. Pułkownik Krzycki

bez czapki na głowie, którą mu kula zerwała, włosem rozwianym, z gołą szablą w garści, pędem przebiegł szeregi regimentu Czapskiego i wołał:

— Wiara! nie ustępować, kolbą i bagnetem!

Ale w szeregach ozwały się głosy:

— Nie mamy naboi!

Więc skoczył do kosynierów i cały rozogniony krzyknął:

— Naprzód chłopcy, pokażcie co potrafi kosa Racławicka!

Sierżant Kawka, przed chwilą modlący się trwożliwie, teraz, na te słowa, wypadł na czoło i potrząsając kosą wołał:

— Za mną kto w Boga wierzy!

A ojciec Ansgary zawsze z kapturem na głowie, w swym podkasanym wysoko habicie z pod którego nagie, chude jak piszczele nogi było widać, obute jeno w trepki drewniane, podniósł wysoko swą białą pasyjkę i wołał dygocącym od starości głosem:

— Jezus, Marja, Józef! naprzód! naprzód!

I biegł wprost na wdzierających się na wzgórze zamkowe strasznych, rozjuszonych, dyszących mordem grenadjerów Sybirskich. Za nim rwał ze wszystkich sił, aż ziemia z pod jego ciężkich bucisków pryskała, Walek Kłonica i, nie wiedząc jak zachęcić swych grenadjerów, krzyczał:

— Reta! reta! hejże na tych *szubrawców!*

Więc runęła kosynierka chłopska, tocząc się naprzód niby lawina śnieżna, a pułkownik Krzycki porwał swoich „Czapników" i cwałował przed nimi z mieczem do góry wzniesionym, krzycząc z całej piersi:

— Niech żyje Polska!

I zdawało się, że gdy dopędzą, to wszystko roztrącą przed sobą, a biada będzie tym strasznym grenadjerom



Bitwa pod Maciejowicami

Sybirskim, którzy lecą poparci przez muszkieterów Kurskich i krzyczą swoje dzikie: ura! ura! i zachęcając się nawzajem wołają: „pomnij Warszawu! pomnij Warszawu!“ Oni to bowiem w niezapomnianych dniach kwietniowych, w Wielki Tydzień polski zostali wyparci ze stolicy polskiej, kiedy to po jej ulicach rozlegał się śpiew:

„Wiwat! wiwat polska cnota
I Kiliński patryota!“

Teraz pragnęli się pomścić swej klęski i sromotnej ucieczki przed „czernią“ jak mówili, i zapłacić ciężko za krew swych towarzyszy, poległych na ulicach warszawskich. Na pół pijani, straszni, dzicy wdzierali się na wzgórze zamkowe, niepowstrzymani niczem, zdecydowani na wszystko, nieprzytomni, chciwi krwi i mordu. Starcie tych dwu chmur, ciężarnych gromami i krwią, obiecywało być straszne.

Niestety! zaledwie „Czapnicy“ i kosynierka wysunęła się naprzód, gdy powitana została z boku taką ulewą kartaczy, wymierzonych z działobitni rosyjskiej, że całe szeregi padły pokotem, runął z koniem na ziemię pułkownik Krzycki, padł ojciec Ansgary, padł sierżant Kawka, a trupy zaległy całą drogę, a setki rannych krwią broczyło. Ojciec Ansgary z głową od krwi purpurową, bo mu kartacz zerwał kaptur a z kapturem wierzch czaszki, zerwał się jeszcze na kolana, podniósł do góry swą białą pasyjkę i głosem okropnym, głosem konania, krzyknął:

— Naprzód!

I padł nieżywy.

Walek Kłonica potknął się o jakiegoś trupa i runął jak długi na ziemię i zdawało mu się, że jest zabity. Ale nie czując żadnego bólu, słysząc wrzaski nieprzyjaciela, huk strzałów i świst kul, nabył przekonania, że jeszcze żyje i jednym skokiem zerwał się na nogi. „Czapnicy“ i kosy-

nierzy, strasznie przerzedzeni, zbici w niekształtną kupę, nie uciekli co prawda, ale już stracili całą pierwotną siłę pędu kręcili się na miejscu jak szaleni. W tejże chwili gdzieś z boku, przedzierając się przez krzaki ze strasznym krzykiem i piskiem pędziła gromada huzarów *moskiewskich* i kozaków. Walek, powstawszy, jednym rzutem oka obejrzał to wszystko i na chwilę ujrzał pana Niemcewicza, jak z dobytym pałaszem w ręku, ubrany w swój płaszczyk z pelerynkami, spinał konia ostrogami i wołał na pstrokato ubraną milicję Brzesko-litewską, swych „kompatrjotów" jak mawiał, by szli za nim przeciw kawalerji nieprzyjacielskiej, która chciała dobić „Czapników" i grenadjerów krakowskich, straszliwie trzebionych nieustannym ogniem kartaczowym. Starła się ta milicja z huzarami, ale w jednej chwili rozbita została i pan Niemcewicz ranny w rękę przeleciał koło Walka, brocząc krwią. Jeszcze się Walek nie mógł zupełnie zorjentować, gdy go już opadli huzary i kozacy. Na szczęście skupiło się koło niego kilku innych kosynierów, a między nimi mężny Rędzina i oparłszy się o siebie plecami, tak dzielnie machali kosami, że łby i ręce kozackie padały dokoła jak wióry, tak że nikt do tej garstki straceńców zbliżyć się nie śmiał. Skorzystali oni z tego i skoczyli poza plecy regimentu Działyńczyków, który już bił się bagnetami z grenadjerami Sybirskiemi.

Tutaj to na dziedzińcu zamkowym i w samym Zamku rozegrały się ostatnie epizody tej krwawej bitwy. Działyńczycy dzielnie się opierali, kłuli bagnetami, walili kolbami, a gdy broni zabrakło chwytali nieprzyjaciela za gardło i w śmiertelnym uścisku padali. Ale coraz więcej przybiegało nieprzyjaciół. Otoczyli prawie dokoła Działyńczyków i ci padali jak kłosy zżęte na polu a rozżarty nieprzyjaciel mordował krzycząc: „to za Warszawu, pomnij Warszawu!" Wielu naszych, cofając się przed nacis-

kiem wroga schroniło się do Zamku, w którym wszystkie prawie komnaty, zapełnione były rannymi, schronił się i Walek z Rędziną i oparci plecami o mur, bronili się długo. Ale w ciasnej sieni nie mogli dobrze machać kosami i padli skłóci bagnetami, a nieprzyjaciel wdarł się do środka i mordował wszystkich kogo napotkał, dobijał rannych, pastwił się straszliwie.

Wśród tej rzezi okropnej zjawił się nagle Naczelnik i głosem donośnym począł wołać na opierających się jeszcze Działyńczyków, by formowali czworobok. Był bez czapki, z włosami rozwianemi, bez broni tylko ze szpicrutą w ręku i miał ten wyraz natchnienia w twarzy, który zdawał się mówić, że położy się tu trupem na mogile konającej rzeczypospolitej szlacheckiej... Ale zaledwie resztki dzielnego regimentu, na głos ulubionego wodza szykować się zaczęły, gdy nagle rozległ się głos rozpaczliwy:

— Nieprzyjaciel z tyłu!

Wtedy wszystko się rozprzęgło. Ci dzielni żołnierze walczyli do ostatka, ale wobec nowego wroga złamała się w nich siła oporu. Wielu widząc nadbiegające z tyłu liczne szwadrony jazdy *moskiewskiej*, rzucali broń, padali na ziemię wołając pardonu. Bitwa właściwie już nie trwała, była tylko rzeź...

Bitwa, która rozstrzygnęła losy resztek Rzeczypospolitej polskiej, ustała koło godziny 1-ej w południe. Prawie wszyscy jenerałowie polscy dostali się do niewoli. Sierakowski, Kniaziewicz, Kamiński, któremu wrony w Korytnicy smutne zdawały się przepowiadać losy, niestety! teraz ziszczone; dzielny brygadjer Kopeć, adjutanci Fiszer i Niemcewicz. Tego ostatniego, obdartego doszczętnie, przybranego tylko w jakiś obszerny i pokrwawiony mun-

dur żołnierza polskiego, przyprowadzili kozacy, schwytawszy go gdzieś w bagnach, otaczających pobojowisko.

A pobojowisko to przedstawiało straszny widok, wszędzie trupy, szczątki broni, armaty z potrzaskanemi lawetami, jęki rannych. Cały, dzielny pułk Działyńskich położył się na pobojowisku i stanowisko jego rozpoznać można było po różowych rabatach i żółtych kołnierzach i naramiennikach. W zamku wszystkie pokoje, schody i piwnice zapełnione były rannymi i trupami. Krew po schodach ciurkiem ciekła. Większość poległych polskich bohaterów była obdarta do naga i dziwne robił wrażenie widok tych tęgich, w sile wieku postaci, nagich, krwawych, szklannemi patrzących oczyma w niebo.

Około godziny 5-tej czterech kozaków zjawiło się w Zamku, niosąc na pikach krwią zbroczonego, poranionego ciężko Naczelnika Kościuszkę. Był śmiertelnie blady, i nieprzytomny. Kornet Łysienko z charkowskiego pułku lekkokonnego, przyszedł z temi jak się zdawało zwłokami wodza, który heroicznie nie chciał przeżyć upadającej ojczyzny, i twierdził, że on to dopadł Naczelnika, zranił go i wziął do niewoli. Naczelnik jednak żył. Opatrzność chciała, by wypił w niewoli do dna kielich goryczy.

Dziś po stu trzynastu latach od tego krwawego boju, wędrowca polskiego, odbywającego pielgrzymkę do Podzamcza, na każdym nieomal kroku spotykają ślady śmiertelnej walki i żywe w tradycji ludu wspomnienia. Na pałacowem wzgórzu, gdzie właśnie główny bój się toczył, dziś sielskim urokiem ujmującym pielgrzyma, jest pięć czy sześć kul działowych, utkwionych w ścianach i z religijną, że tak powiem, czcią dotąd żachowanych. Przed pałacem rośnie, szeroko swemi konarami rozparta, olbrzymia lipa, świadek bitwy, cała nadziana kulami, których dziś niewidać, bo pokryła je kora i mech starości. Podtrzymywana jest ona z wielką starannością, a ojciec obecnego właści-



Rannego Kościuszkę przynoszą przed gen. Fersena

ciela Podzamcza, usychające, ciężko pokaleczone drzewo krwią zwierzęcą kazał podlewać, by je zachować przy życiu, i teraz, pomimo poszarpanego pociskami wnętrza, odwieczna lipa piastowska, podpierana, żelaznemi obręczami spajana, żyje i szemrze olbrzymią swą koroną o dawnych dziejach i boju krwawym...

W samym parku, w którym Ojciec Ansgary w nocy, poprzedzającej bitwę, słuchał spowiedzi mających skonać nazajutrz, tuż pod wsią Oronnem, między grupą starych olch i topoli, znajduje się dość znaczne zagłębienie, gdzie według tradycji miano pochować poległych. Na polu, na lewo od drogi, prowadzącej z Oronnego, widać kępkę drzew i zarośli, gdzie także ma się znajdować mogiła poległych wojowników. Na tych polach zresztą, pług wieśniaczy bardzo często wyorywuje kule, guziki, szczątki broni, kości ludzkie...

Ale ważniejszą od tych widzialnych pamiątek tragicznego boju, jest żywa tradycja, dotąd między ludnością miejscową przechowana. Niema nikogo, ktoby zapytany nie powiedział, że tu była bitwa, że Kościuszko tu walczył, że oto na tych polach bój śmiertelny toczono. Podniosła, idealna postać Naczelnika, tak głęboko wryła się w pamięć ludu tutejszego, że żyje po dziś dzień w podaniu, wspomnieniach, smętnym jakimś żalem zasnuta, urokiem dawności pokryta.

Tradycja ta opowiada, że ludność miejscowa i wielu żołnierzy polskich w ostatnich chwilach boju schroniło się do Zamku i do jego piwnic, i tam ich wszystkich wymordowano. Piwnice te długo potem przepełnione były kościotrupami, które przy restauracji pałacu wydobyto i pochowano zapewne w parku, w owem zagłębieniu, staremi olchami ocienionem, na prawo od drogi z Oronnego.

Historja nie powiada nam przez kogo i gdzie Kościusz-

ko ciężko poraniony, do niewoli wzięty został, tradycja za to wyraźnie to miejsce oznacza. Twierdzi ona, że Naczelnik pierwszą ranę, zapewne od pocisku, otrzymał koło Zamku, że mu ją opatrzono pod drzewem, prawdopodobnie pod ową lipą odwieczną, kulami przepełnioną, i że dostał się do niewoli we wsi Krępie. Wieś ta oddalona o milę od Podzamcza, przedzielona jest odeń bagnami, dziś na stawy zamienionemi, które tworzy rzeczka Okrzejka. Na przełaj przez te bagna, z Podzamcza do Krępy może być ze cztery wiorsty. Trzęsawiska te, leżące na tyłach linji polskiej, były w owe czasy trudne do przebycia i ciągnęła się przez nie wąska grobla, która niezmiernie utrudniała posuwanie się szybkie kolumny Rachmanowa. W tych bagnach, zawsze według podań, miały potonąć jakieś armaty, niewiadomo do której ze stron walczących należące, co jest jednak wątpliwem, gdyż przy kopaniu stawów obecnych nie natrafiono na nie wcale, co musiałoby nastąpić, gdyby w rzeczy samej tam się znajdowały.

Za temi to bagnami, za lasem leży Krępa. Lud miejscowy wskazuje miejsce „gdzie się Kościuszko obalił“. Za dworem, a raczej za pałacykiem, w gaju olszowym, rosnącym na trzęsawisku, na lewo od drogi, prowadzącej do Łaskarzewa, za płotem zwyczajnym, wznosi się kopiec pamiątkowy, usypany w roku 1862, a na nim prosty, drewniany krzyż, na ramieniu poprzecznym którego, dotąd czytelny napis: „Boże, zbaw Polskę!“, na pionowem: „Na cześć braciom poległym za wolność Ojczyzny dnia 10 Października 1794 roku“.

Do miejsca tak wielkiem zdarzeniem historycznem pamiętnego, przesiąkniętego krwią bohaterów, na którem, wśród oparów wieczornych, zdają się słaniać cienie poległych wojowników, każdy Polak powinien odprawić pielgrzymkę. Ileż tu wspomnień i jakich wspomnień!...

Tam to, przed kilku laty, pewnego wieczoru lipcowego,

skierował swe kroki w takiej żałobnej pielgrzymce, autor niniejszego, by uklęknąć u stóp posępnej mogiły, i ucałować tę ziemię, gdzie się Naczelnik obalił i gdzie z nim razem obaliła się Rzeczpospolita...

KONIEC.

Radom w sto czternastą rocznicę klęski Maciejowickiej.